

WILCZAK I WILCZAKOWA

PROFESOROWIE Z KRAJÓW WIELKOPOLSKICH

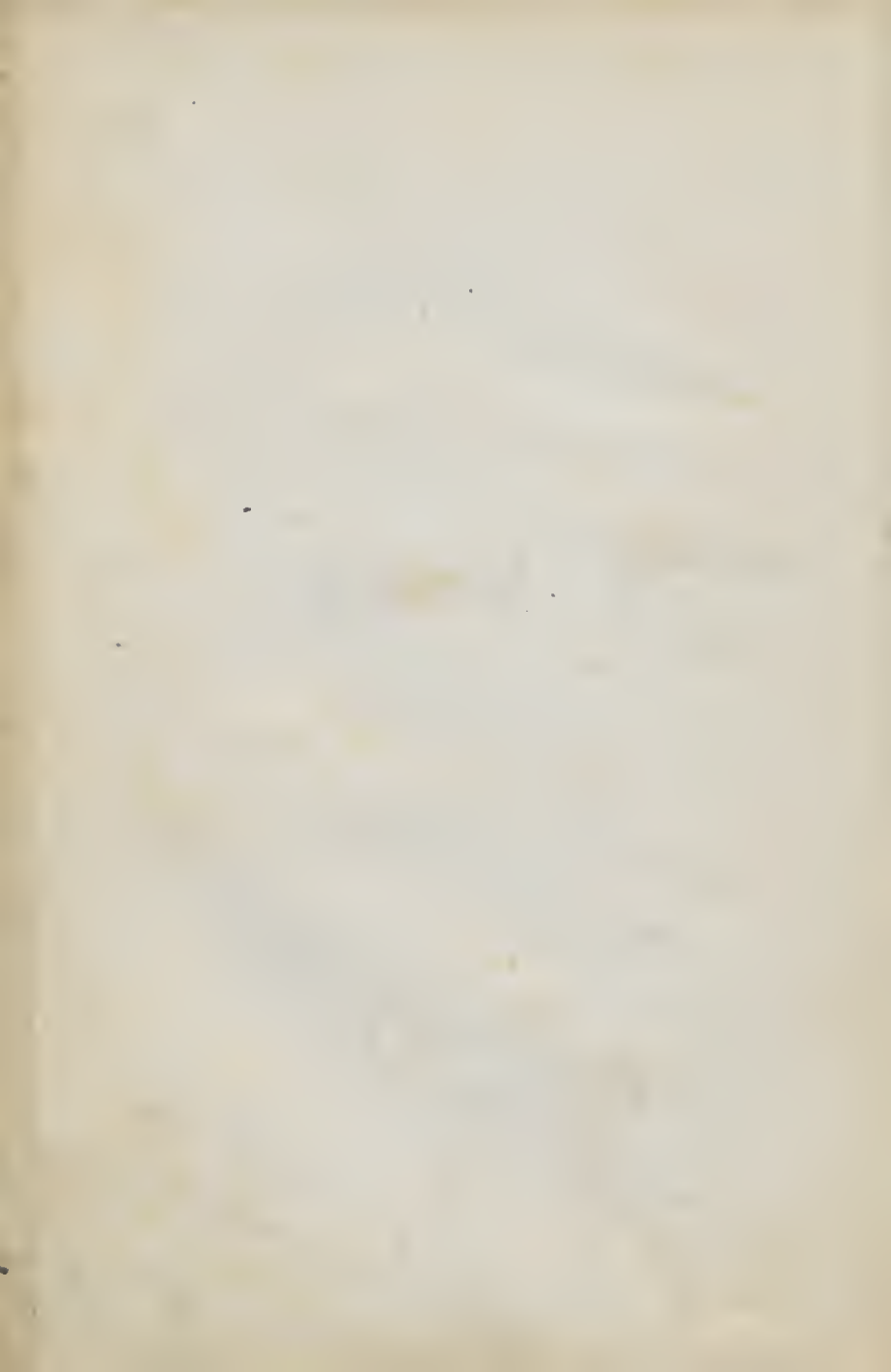
W. J. GOSKOWSKI



Maximilian . . .

1803

WILCZEK I WILCZKOWA.



WILCZEK I WILCZKOWA.

OPOWIADANIE Z KOŃCA XVIII-GO WIEKU

przez

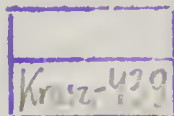
J. I. KRASZEWSKIEGO.



WARSZAWA.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

—
1884.



Дозволено Цензурою.
Варшава 17 Августа 1883 г.



~~~~~  
Warszawa.—Druk S. Niemiery, Włodzimierska N. 2a (róg Śto-Krzyżkiej).



Kochanemu Bratu

KAJETANOWI K RASZEWSKIEMU

z życzeniem dobrego Nowego roku 1878

PRZESYŁA

*Józef.*

Drezno, 1 stycznia 1878.



Dawno już temu, gdy się Wilczkowie z Rusi kędyś wynieśli i po świecie rozpierzchli; dziś i słychu o nich niéma, choć stare dzieje w pamięci ludzkiej żyją jak dzień wczorajszy. Ojcowie nasi od swoich w dzieciństwie historyi się nasłuchali, które do nas doszły całe i jeszcze drgające żywotem, jakiego dziś śladu już niéma.

Wokoło nas, żywićj niż przedtém bywało, przeobraziło się wszystko, ziemia, ludzie, ich wspólne związki. miłości serdeczne i stosunki braterskie; jedna brzydota tylko, nienawiść i niechęć z pokoleń w pokolenia przechodzą. Kochać się przestaje łatwo, a żal i ból, gdy się wjedzą w krew i ciało, wiekną spadkiem podawane. W grobie leżą ci co je zrodzili, a to potomstwo nieszczęsne rozradza się i ziemię zapługawia!

Lecz niegodzi się długo mówić o tém.

Za dziadów to naszych działa się, co opowiem.

Wilczkowie naówczas jeszcze na Rusi kijowskiej znaczne dobra mieli, chociaż ród niegdyś možny już npadać zaczynał. Przyczyną temu była ta gorąca ich krew, której nic ostudzić nie mogło.

Rodem kury czubate, powiada nie darmo przysłowie; starzy heraldycy zaprawdę téż nie próżno mówią, że ten lub ów szlachecki ród dziedziczne miał cnoty i wady: ktokolwiek patrzył na familie, ten wie, że nie tylko twarze biorą po ojcach, ale i temperamenta. Odradzają się dziadowie we wnukach.

Wilczków naturą było zawsze, iż gorącości mieli więcej niż mocy nad sobą, a choć serca szlachetne — głowy zawichrzone. I z tém, póki ich stało, dotrwali do końca.

Pan Kacper Wilczek stary, który był chorążym owruckim, jednego syna miał Michała, podobninsienkiego do siebie; a że sam wiele przez zapalczywość swą cierpiał, iż mu jejmość nie nie bronila, ani go mitygowała, zawczasu jedynaka postanowił ożenić z osobą, któraby trochę go okiełznać i trzymać na uździe umiała.

A że dziewczęta, jak to wiadomo, wszystkie do się podobne i żadna się z tém nie wydaje, czém ma być gdy na swobodę wyjdzie, tak, że poznać je a zrozumieć trudno, więc pan chorąży człek rozumny, nieco już ostygły, pod włosiem siwym,

szukał matki po którejby córkę mógł odgadnąć. Dobrze i to przysłowie, że niedaleko pada jabłko od jabłoni, szczególniej się do córek stosuje. Syn nietyłe z ojca bierze, bo z nim nie obcuje ciągle, córka od matki na krok nie odstępując, co z niej we krwi wzięła, wychowaniem w sobie rozwija, tak, że na pewno twierdzić można. jaka macierz, taka córa.

Miał więc chorąży słuszość, iż po matkach patrzył, dziewczki dla syna szukając.

Choć Owruć z Pińszczyzną zarówno osławiony u nas jest, iż w kacie leży i ludzie w nim świata Bożego nie widzą a rdzawieją, chorąży owrućki miał dobra pod Tatarowem około Żytomierza, ocierał się nienastannie o ludzi, i dużo wędrował dla spraw, bez których nigdy nie bywał.

Jednego syna mając, choć mu wychowanie dał jak przystało na możnego i starożytnego domu potomka, w początkach w szkołach u Bazylianów, potem u Jezuitów, w świat go pnszczać nie bardzo chciał z wielu przyczyn.

Naprzód może dlatego, iż życzył aby się doma i na swych śmieciach utemperował, a zbytniego ognia się pozbył, o którym wiedział, że go ze krwi mieć musi; powtóre iż go do wojska, ani na dwór, ani do palestry dawać nie myślał, chcąc aby majątności utrzymał, gospodarką na roli się

zajął i w swojej ziemi, gdyby była potrzeba, ciężar publicznych posług i godności dźwigał.

Był już Michał pod wąsem, a jeszcze go chorąży, miłując jak oko w głowie, surowo można powiedzieć na paskach trzymał. Nie zbywało mu na niczém, okrom swobody, której się wzdragał ojciec, bojąc się by jęj nie nadużył.

A no rachuba była z gruntu mylna, gdyż kto nigdy swobody nie miał, ten jęj téż pomiernie zażyć nie umie. Lepiej było może patrzeć samemu i kroki prostować, niż całe nie dać się ruszać, co tylko chęć zbytnią i krewkość pomnażało, która, acz późno, wybuchać miała.

Oprócz majątności w Owrućkiem, miał Żebry w Żytonnierskiem chorąży. a po żonie spadła nań wiosieczka nieosobliwa w Łomżyńskiem. Tę chcąc się zbyć, bo mu dla zbytnej odległości ciężarem była, jeździł kilkakroć w kraj tamten szukać kupca. Lecz, bodaj nie zawsze, gdy chcesz sprzedać nie znajdziesz ochotnika, a byleś kupić zażądał, drogę ci zastąpi tyln. że się nie dobijesz. Tak się i z chorążym stało, że w Łomżyńskie nie jeden raz, ale dwa i trzy w rok, z wielkiem swém utrapieniem włóczyć się musiał, owego folwarku zbyć z karku nie mogąc.

Człek oszczędny zabezpiecz sprzedać nie myślał. Ludzie zaś dorożumiewali się łącznie iż mu to

było kulą u nogi; temporyzowali, zmusić go chcąc, aby zuecierpliwiony zbył za cokolwiek.

Jeżdżąc tak w Łomżyńskie, niewiadomo w jaki sposób, może iż to sąsiedztwo było, zapoznał się tam z wdową panią Wojską Grzywina. Ci Grzywowie zaś idą z Kościerzów i szlachtą są, jak niemożna lepszą.

Wojska o miedzę wieś swą miała, albo i dwie, i była kobiéta można, choć żyła w pracy i wedle starego prostego obyczaju. Słysnęła z tego, że owdowiawszy przed laty dwudziestu, majątek dostawszy odłużony i w procesach, pola odłogiem, trosk bez miary, jak się wzięła do gospodarki, ba i do prawa, przyszła i do pieniędzy i do spokoju.

A powiadano o niej, że onego czasu, gdy na niej ciążyły te biedy wszelakie, co ją obsiadły po śmierci mężowskiéj, w butach chodziła do obory i na prostym wózku do miasta z papierami jeździła. Żaden jéj jurysta nie sprostął, żaden ekonom nie oszczekał, żaden pieniacz nie dał rady.

Ta Grzywina miała córek dwie, jedną już zamężną, drugą pannę, imieniem Agnieszkę.

Gdy raz pierwszy do niej do Żerdzieliszek przybył chorąży, myślał że na ubogą trafił szlachciankę, tak tam było w domu niepocześnie. Czysto, schludnie ale po gospodarsku i bez żadnej najmniejszej okazałości. Wyszła sama Wojska z głową chustą obwiązaną, z kluczymi u pasa.

podobniejsza do ochmistrzyni, niż do dziedziczki na wsiach kilku. Kobięta była zdrowa, silna, duża, rumiana, twarzy wesołej, nie piękna, choć widać po niej było że swego czasu rzeźwo i świeżo wyglądać musiała. Wygadać się też miała, a za imponować jej mało kto potrafił. Lubiła się trzymać w boki i choć chodziła ubrana z prostą, postawę miała pańską.

Uderzyło to chorążego, że w domu jej skinienia wszystko słuchało i szło bez chwywania się, spokojnie a z ładem wielkim. Więc gdy córkę Agnieszkę zobaczył, kropła w kropkę podobną do matki, tylko młodą, ładną i rumianą jak jabłko, zaraz potajemny w sercu powziął zamiar, aby ją dla syna swatać, powiedziawszy sobie: ta go utrzymać potrafi.

Ani pytał ni myślał czy się ona synowi a syn jej podoba, bo to naówczas niepraktykowana była rzecz, żeby te amory, które się w pańskich dworach gnieździły, do małżeństw miały być potrzebne. Pewna to rzecz, że nie każde serce do drugiego przystanie, ale sercu się dać rozbrykać, a fantazyi słuchać, końca potem i miary niema.

W małżeństwie zaś nie jakichś tam delicyj, które się łatwo przejadają, a uczciwój spółki dla wychowania dzieci i dźwigania ciężaru żywota szukano.



Prawda, że już za onych czasów w górze, w stolicy, u magnatów, za sprawą cudzoziemską, inaczey było. Tam się brano i rzucano, jak ono bywa w tańcu, gdzie chłopiec, dziewczkę wzięwszy, parę razy nią obróci i drugiemu ją podaje. Po szlacheckich dworach jeszcze się to nie widziało i ludzie żyli w stadłach uczciwych, w przyjaźni dogonnej, nie myśląc o balamuctwach grzesznych.

Chorąży téż wiedział, że syna gdyby i z prostą chłopką ożenić chciał, to go posłuchać musi. A i to miał w myśli, że jak mu da samemu żony szukać, dla gładkiej twarzy gotów wziąć pierwszą z brzegu; zbytniej zaś piękności obawiał się dla synowej, jak największej plagi.

Żywemu obrazkowi zachciewa się, aby choć ludzie zawsze się modlili, trzeba mu i oprawy złotej i strojów modnych, a potem i tentrum na któreby siła oczów patrzyło.

Ujrząwszy pannę Agnieszkę świeżą, zdrową, silną a poznawszy matkę jaką była, chorąży, jako był człek pobożny, zaraz zapościł na intencją, aby dziewczynę synowi za żonę dał.

Przez cały czas pobytu w Łomżyńskiem, przypatrując się Wojskiej i pannie Agnieszce, prawie z Żerdzieliszek nie wyłaził.

Aż jednego razu, gdy tam siedział, śmiejąc się, odezwała w domu do niego:

— A wiesz asindziej, panie chorąży, co ludzie prawią? asindziej wdowiec jesteś, jam téż wdowa. już nas pono swatają!

— Moja mościa dobrodziejko—odparł chorąży, na głowę nkazując i łysą i siwą—gdybym młodszym był, nie ręczę czyby mi ta impreza nie smakowała. ano dziś mnie zapóźnie, i pani Wojska téż o tém nie myślisz. Drugie małżeństwa rzadko się wiodą. Jednakże ludzie, choć złośliwi, może odgadli coś, acz nie wiedząc, w jakim kościele dzwonią.

Nie będę acani dobrodziejce tał, że widoki pewne w jój domu mam, ale nie dla siebie.

Pokiwała głową Wojska.

— Cóż to za zagadka?—spytała.

— Syna mam dobrze pod wąsem, a acani dobrodziejka córkę •dorodną. której czas pójść na własne gospodarstwo.

Spojrzał tedy na nią, stała w boki się trzymając, nie okazując po sobie nic.

— Agnieszka jeszcze młoda—odparła—mogę chorążemu mówić otwarcie, zbyt wcześnie córek wydawać nie chcę. Najteższy koń, gdy go do lat sześciu nie biorą na uzdę, a dziewczynie téż nie szkodzi, gdy do dwudziestu doczeka, nim w jarmzo pójdzie.

— Syn-by mój poczekać mógł—rzekł chorąży—gdyby łaska acani dobrodziejki nastąpiła.

Wojska popatrzyła nań milcząc.

— Choć z was, panie chorąży, dobrze o synu wróżę, przecież poznać go trzeba nim się co sklei; nie mówię ani tak, ani nie—nie nie mam przeciw. Chłopiec może sobie nie podobać Jagusi? Są gusta różne.

— A toćby oczu i rozumu nie miał!—krzyknął chorąży.

Z tej pierwszej próby tyle tylko Wilczek zrozumiał, że wszystko być mogło, ale kota w worku kupować nie chciano.

Drugi raz się więc wybierając w Łomżyńskie syna wziął z sobą. Umalował to przed nim tak, że do pisania było dużo, a oczy mu nie służyły. Znać bynajmniej nie dał po sobie iż coś zamyslał, wiedząc że młodemu często co zakazane smakuje, a co nakazane wstrętliwe.

Jechał tedy Michał z nim posłuszny, o niczem całę nie wiedząc.

Tydzień siedzieli nad papierami, do Żerdzieliszek nie zaglądając, dopiero go potem ojciec zawiózł, jakby dla respektu, który należał pani Wojskiej.

Panna nierychło wyszła, a co się spodziewać było można, że matka wiedząc już co się święci, trochę ją ogarnie staranniej, okazało się iż po domowemu ją wyprowadziła, w codziennę sukienkę, całę nie strojona—ale Agnieszce pięknie i tak

było—z włosami gładko przyczesanemi, z warkoczami puszczone mi na plecy, w przyodziewku powszednim.

Ojciec na syna oko miał, czy mu dziewczka się podoba: poznać nie mógł nic;—Michał lękał się rodzica, na pannę ledwie oczy śmiał podnieść.

Drugiego dnia, pod pozorem papierów jakichś, ojciec posłał samego już do Żerdzieliszek i to w takiej porze, aby go na obiad zatrzymano. Po kilku odwiedzinach, gdy go potém z przełaju spytał, jakby mu pama Agnieszka do serca przypadała—otrzymał odpowiedź nic nieznaczącą.

Nie nacierał nań, a nawet mu już i nie mówił więcej na razie, i do Wojskiej się udał.

— Przywiozłem asiudźce syna mojego na pokaz,—rzekł—proszę mi otwarcie powiedzieć, mogę li mieć nadzieję?

— Czemuż nie—odezwała się Wojska—chłopak zdrow, przystojny, roztropny, trochę zahukany, ale to nic nie szkodzi; lecz, kiedy się już mówi o tém, otwartość pierwszym obowiązkiem. Staralam się moją Jagusię spenetrować zawczasu. Okazało się, że był tu u nas w domu krewniak nasz daleki, któregom z łaski trzymała, do szkół go oddawałam, a teraz do Piotrkowa, do palestry wyprawiłam. Dzieci się razem wychowywały—pono się ku sobie mają. Córka moja nawykła do posłuszeństwa. więc, bom jęj to powiedziała, że za

gołego dependenta jęj nie dam—choćby do siwego włosa rntkę siać miała—ale zawsze to utrapiona rzecz. Każę jęj, pójdzie do ołtarza z tym którego wybiorę.

— Moja mościa dobrodziejko—rzekł chorąży cale nie zbity z tropu. — Z serca jęj wdzięczem jestem za otwartość, ale co to ma do tego, że dziewczyna się tam trochę do kogo przywiązała? Zapomni i odwiąże się. Pożyją z sobą, da Bóg potomstwo i małżeńska miłość przyjdzie, która mocniejszą jest nad bałamuctwa dziecinne.

— I ja tak myślę—odezwala się Wojska—przecież czasu trzeba, aby to trochę zwietrzało.

Postanowiono więc nie śpieszyć; Wilczek zaś z syna wyrozumiał powoli, że od małżeństwa z urodziwą panną nie był.

Zatrzymali się myślnie w Łomżyńskim i za pozwoleniem chorążego pan Michał już do panny dojeżdżać począł, nie tając ani swych sentymentów, ani zamiar. Chłopen się Wojszczanka podobala wielce, a że mu dotąd stary na kobiety patrzeć nawet nie dopuszczał, niedziw że mu pierwsze owe konkury bardzo smakowały.

Natruy zaś będąc wielce bujnej i unoszącej się łatwo, wprędce rozmiłował się aż do zbytku w gładkiej twarzy, choć ona mu się chłodną i chłodną prezentowała.

Wilczek stary, koniecznie chcąc dobić targu, uczynił tak, iż pod pozorem gospodarstwa pilnego na Ruś wyruszył, syna zostawiając w Łomżyńskiem i do zrozumienia mu dając, żeby do panny docierał, o matce nie zapominając — gdyż od téj wszystko zawisło.

Akomodował się więc Wilczek pani Wojskiej, służąc i dając się na wszystkie wypróbowywać strony. Posyłała go, kazała mu różne spełniać obowiązki, wyręczając się nim, a Michał chętnie to czynił, byle na Agnieszkę zarobił.

Tak wreszcie już w domu poufale był przyjmowany, iż z nim nie czyniono ceremonii żadnej. i Wojska go z Agnieszką w izbie bawialnej, naglądając tylko z bokówki, godzinami zostawiała. Raz tedy, jak potém Wilczek opowiadał, trafiło się iż Jagnię samę zastał nad robotą, która, jak zawsze, przywitawszy go przystojnie sama rozmowy nie poczyniała, w krośnach szyjąc.

Staął tedy Michał nad niemi, a widząc porę po temu sposobną, odezwał się do niéj:

— Panna Agnieszka niełaskawa jest na mnie. Daremnie się jéj staram zalecić, serca pozyskać nie mogę.

Tedy panna od krosien głowę podniósłszy, rzekła:

— Mylisz się pan, panie Michale, gdyż ja

przyjaźń dlań mam szczerą, awo, jeśli o serce chodzi, rzecz inna—tego ja dać mu nie mogę.

— Dlaczego?—spytał Wilczek.

Zarumieniła się panienka i po namyśle poczęła, ośmielając się:

— Sercu się nie rozkazuje.

— Albo je już inny wziął?—wtrącił Wilczek.

— Nie będę się zapierała — odrzekła panna, szyjąc znowu pilno.—Nie od dziś ja to widzę, że uasi rodzice chcą nas z sobą powiązać węzłem wiekiustym; że pan też nieprzeciwным jesteś temu.

— Jak życia tego pragnę!—zawołał Wilczek.

Ujrzał, mówiąc to, jak dziewczęcin z oczów łzy grochem u krośna padały, przecie głosem jasnym mówiła dalej:

— Woli pani matki méj opierać się nie mogę, boć przykazanie to Boże, byśmy rodziców słuchali, a za niebłogosławieństwo ich srogą karą Pan Bóg nas chloszcze. Więc przykaże pani matka, nie będę się sprzeciwiała, posłuszną być muszę. Cóż wam z tego, że ciało bez duszy weźmiecie? Małżonką wierną, przysięgłszy, potrafię wam być, a co wam po mém posłuszeństwie i poszanowaniu, gdy serca nakłonić nie potrafię...

Słuchając tego, Wilczek aż ręce łamał; serce mu się rozdzierało, gdyż ją jeszcze piękniejszą i dostojniejszą znajdował gdy to mówiła, niż gdy była milczącą.



— Panno Agnieszko dobrodziejko!—zawolał—  
Bóg mi świadkiem iż o dozgonną jej przyjaźń się  
starając. pracować postanowilem, aby ją pozyskać  
i na serce zasłużyć. Dlaczegoż byście, widząc  
mnie tak dla siebie oddanym, nie mieli się ulitować  
i przywiązać?

Ja najnieszczęśliwszym zostanę na cały żywot  
mój. jeśli mnie odepchniecie.

A jej lzy na krosienka wciąż kapaly.

— Już nie mam co wam rzec, bom wszystko  
wyznała—rzekła piękna panna—tylko niech się  
Bóg nademną ulitnje.

Wilczek. że miał naturę otworzystą i szla-  
chetną, gdy mu owa historia palestranta nie była  
tajną, wnet z nią wystąpił.

— Panno Agnieszko dobrodziejko—zawolał—  
niech zrznę z serca co mam. Wiem ci ja, że serce  
jej do palestry piotrkowskiej z panem Żegotą  
Otwinowskim powędrowało. ale wiem i to, że pani  
Wojska zakłęła się że na małżeństwo z nim. póki  
żywa. nie dozwoli, i po najdluższem. da Bóg, ży-  
cin. pod błogosławieństwem nie dopuści ślubu.  
Dlaczegoż inny ma jej być narzeczonym. boć panna  
do klasztoru nie pójdzie, a może taki co dla niej  
będzie jeszcze nademnie niemilszym? Weź panna  
mnie, który ją kocham. aby w małżeństwie choć  
jedna miłość była, co je znośném uczyni, cóż gdy  
żadnej?



Panna płakała, milcząc ze spuszczoną głową, nie odpowiadała nic, a posłyszawszy zbliżającą się matkę, prędko lży otarłszy, do bokówki wybiegła.

Nie nalegał zbyt pan Michał, sądząc że czas, który ma moc wielką, zwłaszcza gdy gasi—wreszcie i to przywiązanie jakie okazywał dla Wojszczanki, zmoże ją w końcu. Atoli nie zmieniła się bynajmniej.

Gdy ją potem raz drugi ponownie obligował, rzekła mu:

— Wola Boża niechaj się dzieje nademną. Oporu pani matce stawieć nie mogę; jaką mnie pan znasz, taką mieć będziesz. Szczęścia nie przyniosę w dom, ale mu wstydu nie uczynię.

Co miał czynić, rozmiłowanym w niej będąc coraz mocniej? Postanowił, nie zważając już na nic, targu dobijać. Przyjechał chorąży niecierpliwym, rad widzieć syna ożenionym, jawne się więc już konkrny poczęły i oświadczenie, przy którym panna, nie oponując się, nie płacząc nawet, jako statua marmurowa dała z sobą czynić wedle matki rozkazania, pierścionki zamieniać i do ślubu gotować. Pan Michał szczęśliwym był, sobie obiecując iż miłością wielką ją zwycięży. Ojciec też najlepszych skutków się spodziewał z połączenia, bo syna był pewnym, że kocha swą przyszlą i potrafi się jój zasługiwać.

Wojska także dobrej myśli była. Nie zwlekając, byle wyprawy resztę doszyto tylko, termin ślubu był naznaczony. Zdawało się nawet z panny, że konieczności nległszy, serce może nakłoniła ku małżonkowi przyszlenn. była bowiem spokojną, a choć twarz miała bladą i chłodną się okazywała, przypisywano to skromności niewieściej i trwodze.

W czasie na ślub naznaczonym odbyć się on wszakże nie mógł, gdyż panna Agnieszka obłożnie zachorowała. Słabość ta, zdaniem Niemca doktora, ze zbyt surowego postu i zaziębienia pochodzić miała—przeto wcale nie zachwiała postanowieniami rodziców, i jak tylko panna Agnieszka powstała z niej, choć osłabiona i zmieniona, ślub odbył się w Żerdzieliszkach, ze zwykłemi obrzędami, przy nader wielkiej frekwencyi obywatelstwa i wesołości wielkiej.

Chorąży téż, nie chcąc się dać zakasować, smptem wielkim przenosiny do swojego folwarku sprawił, sprosiwszy sąsiedztwo, przywiózłszy z Rusi powinowatych i nie żałując nic. Wilczkowie z tego znani byli, że na pół nic nie czynili, a raczej we dwójnasób niż zamało. Jedynaka téż żeniąc, nikty nie żałował.

Przenosiny tydzień cały trwały, przy nienstannej muzyce, wiwatach i strzelaniu z moździerzy. Naówczas już jednak nic dobrego tem małżeństwu nie prognostykowano, gdyż pani młoda, choć

do tańca iść i zabawiać się musiała, obracała się jak martwa, ni razu się nawet nie uśmiechnąwszy, a pociechu mówiono, że kilkakroć mdlała i że ją wodą oblewać musiano. Lecz że i matka tam była i mąż się frasował, miała tę moc nad sobą iż ledwie otrzeźwiona, do tańca się dała ciągnąć i nie okazywała nic po sobie.

Zaraz tedy po weselu, ponieważ chorąży utrzymywał, że zmiana miejsca na humor wpływa, pojechali państwo młodzi na Ruś, a ojciec z nimi, aby ich tam znowu przyjmować i zabawiać. I on sam i młody mąż około pani na palcach chodzili, dogadzając we wszystkiém, a spodziewając się, że ją wreszcie tém pozyszczą. Puścił pan chorąży majątność swą żytomierską całą synowi, dlatego iż dwór w niej nad samym brzegiem Teterowa postawiony, w miejscu kędy było stare niegdyś zameczysko i okopy, obszerny był i dogodniejszy niż w Owrenkiem—gdzie też świata i ludzi, jako to kraj ubogi i nienrodzajny, mało by mieli.

Zdało się iż małżeństwo w istocie, z pomocą i za błogosławieństwem Bożém, przyjdzie do ładu i porozumienia, gdyż pani Wilczkowa spokojniejszą coraz się okazywała, a zaledwie stanąwszy tam, gdzie już gniazdo na cały żywot słać mieli, w żadne lamenty i melancholie się nie wdając, poczęła zaraz obowiązki gospodyni domu sprawować.

Rusinki wszystkie wydziwować się nie mogły, jak pilną, pracowitą i zabieglwą była. Chwili jednéj we dniu nie próżnując, natychmiast objęła swe gospodarstwo niewieście, potrosze téż i męzkiego zagarniając, bo pan Michał nie okazywał się ku niemu sposobnym.

Miłując żonę mocno, radby był z nią całe dnie trawił, nic oprócz niéj nie widząc, o niczém nie myśląc, a tu często się trafiało, że ją ledwie chwilę ujrzął—tak ciągle była zajęta.

Była dlań wielce powolną i posłuszną, tak że skarżyć się nie mógł, ale téż nie okazywała mu, czego w sercu nie miała, i czułości żadnéj doprosić się było niepodobna. Wilczek cierpiał, winy jéj nie mogąc przypisać żadnéj, gdyż zawczasu wiedział co brał i co go czekać miało. Chybić mu nie chciała w niczém, owszem, jako pana i małżonka szanowała i posłuszną była jego skinieniom—ale wszystko to mu nie starczyło. Przy obcych téż ludziach tak się umiała okazywać z twarzą nawet wesołą i spokojną, że nie mógł nikt odgadnąć jak z sobą żyli, i wszyscy, aż do ojca, panną młodą jego szczęśliwości winszowali.

Tynczasem pan Michał coraz smętniejszy chodził i ciągle jéj to we cztery oczy powtarzał, iż się ze statną kamienną ożenił, której chłód życie mu wystudza. Na co ona nic nie odpowiadała—oprócz że inną być nie może.

Zadać jej też najmniejszej rzeczy nie mógł. bo niewiasta była powagi i majestatu wielkiego, nie czyniąca w skrytości nic, — prócz może iż nocą się łzy polały.

Po roku pożycia takiego, uradował się wielce Choraży stary, gdy mu o narodzinach wnuka doniesiono. Widział on może, iż brakło małżeństwu afektu, bez którego jako bez kitu co łączy i spaja, niema jedności i szczęścia; ufał iż dziecie stanie się onym i serca od siebie stroniące przybliży.

Z wielką znów pompą sprawiono chrzciny małemu, któremu imię dano Jerzego, na pamiątkę pradziada co je nosił. Dodano i Kaspra dla Chorażego. Podhorodeński jeden i Pruszyński, oba dostojnicy województwa, kmmami byli.

Pani Michałowa taką wstała po słabości, jaką była wprzód, nie zmieniwszy się nic. chyba w tém, że matka przybywszy, znalazła ją świeższą i piękniejszą, co wszyscy przyznawali. Macierzyństwo też ono powagę jej dało nową i požądane zajęcie. gdyż dziecka nie opuszczała na chwilę, i mamki mu nawet dać nie dozwoliła.

Chrzciny te wnuka, przy których stary choraży imię już swe widząc w przyszłych pokoleniach zapewnione, wielce się okazywał wesółym i nad miarę gościnnym. miały dlań skutek nieszczęśliwy. Pojąc gości, sam też węgryzyna pił dnóżo i zaraz po nim na nogi zapadł mocno, które

gdy zaziębił, puchlina do góry postąpiła. tak iż w kilka tygodni po weselu tém. pogrzeb i żałoba przyszły.

Syn i synowa. o ile jój starania przy dziecieniu dozwalały. uczcili starego Chorążego wspa-  
niałym pogrzebem i stypą; uprosiwszy biskupa do  
celebry, a koadjutora do exorty, sami assystując  
nabożeństwu dwudniowemu.

Został tedy pan Michał sam. panem już wła-  
snej woli. mienia i głową domu. a że na ojca  
żyjącego, póki go miał oglądać się musiał, i choć  
żonaty zupełnej swobody nie kosztował. teraz  
dopiero odetchnął i wszystkie w nim pochopy  
a zachciaunki rozmaite rodzić się i rozrastać po-  
częły.

Naprzód tedy, gdy nań chorążtwo po zmar-  
łym spadło, bo mu je pan Pruszyński kasztelan  
wyrobił, począł się stosownie do urzędu ekwipo-  
wać, a dom urządzać wielce kosztownie i wspa-  
niale. Za tém poszło, iż ludzie się doń garnąć  
zaczęli, dom i stół a piwnicę znajdując otwartą.  
Sam téż gospodarz. przy żonie zawsze chłodnej  
dlań. nie znajdując pociechy, u ludzi rozrywki  
szukać począł.

Na tę drogę raz wszedłszy, już trudno po-  
wiedzieć zawczasu, gdzie się człek oprze; zwa-  
sza takiemu Wilczkowi. który jak ukraiński

koń z tabunu, gdy pot poczuje, świata nie widzi i zadarkszy ogona na oślep leci.

Więc i tu, gdy jejność około kolébki Jurasia i przy gospodarstwie siedziała, dnie i noce spoczynku nie mając, młody chorąży albo do domu spraszał ludzi, zażywając dobrej myśli, albo, że mu tu żona zbyt ków nie dopuszczała, począł się absentować, u innych sprawiając pohulanki.

Kilka razy już się trafiło, że pana Michała omdlalego, po zbyt niem użyciu trunku, z głową porabianą, podrapanego przywieziono do domu; około którego żona z niewymowną troskliwością chodząc, pilnując, okładając, smarując, rady téż nie skąpiła, aby z niestatecznemi ludźmi towarzystwa się wyrzekał. Przyrzekał nawet zrazu, próbował doma siedzieć, ale nigdy długo to nie trwało. Przybył gość, którego przyjąć należało, zaraz się brała pijatyka i luszytyk wielki, po którym często i szable z pochw dobyto.

Widząc że perswazye i prosby nie pomagają, pani Agnieszka już nawet męża napominać przestała, gdyż raz czy dwa ostro jęj odpowiedział.

— Byłbym może inakszym, gdybyś mi jejność lepszą twarz i serce okazywała. Czuję to, że mię nie miłujesz, cóż mam czynić z exasperacyi?

Tak powoli wciągnął się Wilczek, iż drugiego roku, gdy znowu Pan Bóg dom ich drugim synem pobłogosławił, choć niby rad był, chrzciny



sprawił dobrze winem oblane, przecie w domu już nieledwie gościem tylko bywał. Co miała czyścić jéjmość? Musiała przy kolebkach czuwać i całe gospodarstwo wziąć na głowę.

Gdyby nie to, włodarze i pisarze roznieśliby wszystko, czując że chorąży na nic nie patrzył i nie pilnował niczego. Lecz zaledwie popróbowali, gdy jéjmość okazała, że jest w domu panią. Że była milczącą i łagodną, nie spodziewali się ażeby ostro się brać mogła; jedni zuchwałstwem, drudzy wykrętami poczęli się jéj z rąk dobywać — alisci choć słowa próżnego nie rzekła, natychmiast pozbyła się opornych i postawiła na swoim.

Wilczek się w nic nie wdawał. Biegali do niego na skargi, póprzepędzał ich, Dogodnie mu było, że się miał na kogo spuścić.

Drugiego roku o szczęściu domowém ani mowy ani nadziei jego nie było! Wilczek rzadko dzień u siebie przesiedział, a gdy przybył odpocząć, albo się kładł spać zmęczony. lub do żony szukał pretensyi i wymówki jéj czynił, iż mu szczęścia w dom nie wniosła.

— Jakaście mię brali, taką mię macie.—odpowiadała cierpliwie pani Wilczkowa. Albożem zawczasu was nie przestrzegala iż serca dać nie mogę? Wiary małżeńskiej dotrzymam wamświecie, bo to w mocy ludzkiej jest, a miłować nie mogę, bo miłość jest od Boga daną. Poszanowanie i po-



słuszeństwo którem wam winna. w tych nie uchybiłam.

Więc, że coraz piękniejszą była, a rozkwitała właśnie jako róża, Michał coraz większą desperacją się nosił, iż go wciąż chłodem swym odpychała.

Do dzieci téż, choć śliczne były, serca nie miał wielkiego i pociechy już coraz częściej za domem szukał, to na łowy i myślistwa różne jeżdżąc, to do Żytomierza na roki i zjazdy, to do Owrucza, to po dworach, byle u siebie miejsca nie zagrząć.

A tak, w najpiękniejszych latach została niemal pani Wilczkowa słomianą wdową, męża za ledwie widując kiedy, a przybywającego witać nie śmiejąc, bo z wymówkami zawsze na próg wchodził i z narzekaniami ruszał precz.

Prawdą zaś a Bogiem. narzekać nie miał na co; w domu szło jak nie można lepiej. dostatek był wielki, ład najpiękniejszy, i grosz by się zbierał nawet, gdyby go panna Michałowi. na owe kości, karty, frymarki końskie. zakłady różne. dla furfantów co go odzierali. siła nie było potrzeba. Ile razy jechał z domu, trzos brał nabity, a gdy powracał, znać go na nim nie było.

Tego mu żonacale nie wyrzucała. choć dla synków téż prawo miała o przyszłości myśleć.

\*

\*

\*

Choć pomiędzy tym krajem nadteterowskim a Żerdzieliszkami, rzadkie były komunikacye, i to co się tu działo, rozgłosu mieć nie mogło, wszelako nie utaiło się to, co w Żebrach się działo.

Dowiedziała się pani Wojska o losie córki, a że była niewiasta wielkiego animuszu i mężstwa, niewiele myśląc, w początku trzeciego roku pożycia chorąztwa, wybrała się do zięcia z tą determinacyą, ażeby mu dobrze zmyć głowę.

Wcale się jój nie spodziewała pani Wilczkowa, tak że gdy bryczka się zatoczyła przed dwór i wyszła naprzeciw a zobaczyła matkę, niemało się zdumiała. Rzuciła się ku niój płacząc, a choć obie do łez zbytich skłonne nie były, w pierwszój chwili spłakały się srodze, i to im ulgę przyniosło.

Prowadziła tedy Jagusia do dzieci, z których jedno jeszcze przy piersi było, prezentując robaczki swe babce, co się niemi nacieszyć nie mogła. Mimo zgryzot bowiem i wielkiego utrapienia Wilczkowa synów wychowywała tak, że jak pączki to wyglądało i było się czém radować.

Pierwsze momenta zeszły na uściskach i pytaniach ogólnych, dopiero gdy się dzieci pospały, a Jagnieszka sama z matką pozostała, odezwwała się do niój Wojska.

— Cóż to, twojego doma niéma? Ludzie mówią, że się często absentuje? Jakież pożyte będzie wami?

— Nie mogę się skarżyć — odparła Wilczkowa. — Mąż, jak zwyczajnie mężczyźni, i z urzędu i dla utrzymania się w zachowaniu u obywateli, często jeździć musi — ależ mi nie zbywa na niczem, i źle się nie obchodzi ze mną.

— Gadaj ty sobie jak chcesz, poczęła Wojska. Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi, doszło to już do mnie że pan Michał do hulanki nawykł, że w domu z niego rzadki gość, a ty wypłakujesz oczy, niedarmo też przybyłam i ład tu zaprowadzić muszę.

Poczęła wnet, przyklękawszy przed matką, błagać i prosić Jagusia, aby nie czyniła nic, wymówek nie robiła żadnych, bo to jeszcze pogorszyć może. I dodała:

— Miłości w małżeństwie nie było, a przecież po Bożemu się żyje. Żywot nie długi, do końca się go doprowadzi bez szwanku. — Michał się z czasem utemperuje, do domu zateśkni. Za żywota ojca młodości nie nżywał, dać mu się trzeba wyburzyć.

Wojska niby się nie przeciwiała, zamilkła i na tém się skończyło. Dosiadywała jednak w Żebrach uparcie, na zięcia czekając.

A stało się tak, jak to najczęściej tam bywało, że przez tydzień Wilczek nosa nie pokazał.

Była jesień właśnie, wesel kilka w okolicy, przenosin, inkrotowin, chrzcin i zaręczyn, jeździł swym obyczajem, od komina do komina, nie śpiesząc do jejności.

Spytała Wojska raz i drugi: a pókiż to tego będzie?

Żona go tłumaczyła iż interesa miał, zjazdy, komportacją dokumentów, sądy polubowne, kompromisa, dukty i wizye na różnych miejscach w Owrukiem. Tymczasem i drugi tydzień upływał, a pa a Michała jak nie było, tak nie było. Kazała Wojska po niego śłać, i dopiero się okazało iż nie wiadano gdzie go szukać; bo z polowania w lasach korosteczowskich dalej się puścił w Kijowskie i nikt o nim nie słyszał nawet, kędy się obracał. Widząc matkę gniewną a znużając iż z nią żartów nie było, obawiała się już pani Wilezkowa, aby zięcia na wstępie nie przyjęła zaostro, bo i on zbytniej cierpliwości nie miał. Konfliktn więc wielkiego spodziewać się było można.

Napisawszy więc słów kilka, fornała roztropnego pchnęła za jegomością z tem, aby go odszukał koniecznie, bo, choć nie wiadano gdzie był, wszystko się znajdzie na końcu języka.

Tymczasem Wojska, którój próżnować było trudno, zabawiała się z młotem, gospodarstwo ogłędając, tak że kąta nie było, gdzieby nie postać. Dziwiła się i chwaliła nieznajomy, tak tu wszyscienieko znajdowała w porządku wielkim, że i młotem dłoń lepiejby nie potrafiła.

Dola też córki cierpliwiej i spokojniej, nie-nskarżając się na nic, dziećmi zajętej, nie próżnującej na chwilę, bolała ją okrutnie, może dlatego iż potrosze sama jej winną była, dawszy ją za oczy, dla dostatku i imienia, choć serca do męża nie miała.

Trzeci już tydzień upływał, a fornała posłanego z listem ani Wilczka widać nie było. Wojska, niespokojna o gospodarstwo, choć tam drugiemu zięciowi na nie nazierać przykazała, już mówiła o wyjeździe, gdy jednego dnia bryczek trzy naraz, a na nich szlachty śpiewającej wesoło moc, zjawiło się przed domem. Wilczek był z nimi, z jednego polowania przewożąc wesołą drużynę na drugie.

W spokojnym domu odrazu się zawichrzyło wszystko, gdy pan się zjawił. A że z fornałem i listem się gdzieś rozminął, o matce żony nie wiedząc, wpadł wedle obyczajn z szumem wielkim. Wojska go pierwsza w progu powitała, ale taką twarzą i humorem, że gdyby nie byli wszyscy pod dobrą datą, z nógby ich pościnała.

Wilczek.

3

Wileczek się bynajmniej nie zbił z tropu i wnet krzyczeć począł o wino, aby zdrowie matki dobrodziejki pić.

Że obcy ludzie byli, choć z gniewu pobladła, zmitygowała się Wojska, nie rzekła nic, tylko:

— Idź-no asindziej wprzód choć przywitaj się z żoną. którój oto trzeci tydzień temu nie widziałeś na oczy.

Posłuszny pan Michał poszedł, a tam mu jéjmość szepnęła, aby z matką ostrożnym był, bo do niego żal miała.

— To co? przez to się ja nie obwieszę! zawołał desperacko, a jak mi baba nauki prawie zechce, język téż w gębie mam niczego.

Że pod hełmem był, trudno było go powstrzymać.

Wieczór jednak i wieczerza zeszły spokojnie, gdyż Wojska na trzeźwego czekać postanowiła do rana. Jakoż do dnia nazajutrz zawołać go kazała do swojej izby. Stawił się Wileczek z fantazyą dobrą: gdy spojrzawszy na twarz świekry, spostrzegł, że tu nie przelewki były.

— Słuchaj-no acan, rzekła—ja tu nie w gościnę przyjechałam, ale jako sędzia, który sprawy ma pytać; nie do kogo, tylko do was. Córkę wam dała nie na to, aby się marnowała opuszczona i pogardzona... Przysięgałeś, żeś ją miłował nad

życie, a uieszczęśliwą ją czynisz i w oczach ludzkich potępiasz. Wiedziałeś coś brał...

— A no! pewnie!—odparł bntuo Wilczek— i jeśli tu kto winien, to nie ja, tylko jójmość. Więc zamiast mię upominać, raczójby przystało panią Jaguieszkę do rozumu przywodzić matce. W domu szczęścia nie mam.

— Cóż ci brak?—zapytała Wojska. gachów ci nie naprowadza, gospodarzy, daj Boże do wieku. posłuszna jest i w niczém ci krzywdy nie czyni.

— Ale miłości kn mnie nie ma!—rzekł Wilczek.

— Boś ją bez niój brał i tój ci nie obiecywała — zawołała Wojska. — Co w małżeństwie przystojne i potrzebne, wszystko masz, ani wydziwiać się godzi. Sameś winien nie pilnując domu, rozpustując z luźnymi ludźmi. Jeśli ci na świecie źle. zatém lub się popraw, albo musi tak być jak jest, żonę wezmę ażeby się nie zamęczyła nadaremnie...

— I będzie temu rada — oprysknał rozgniewany Wilczek — bo może i ów pan Otwinowski się tam nadarzy, aby jójmość zabawiał!

Jeszcze słów tych nie domówił Wilczek. gdy od Wojskiej w gębę dostał.

Impetyk był straszny, chwycił się zrazu jak wściekły do świekry, ale spojrzawszy na nią, ręce



mu opadły. Oglądał się na stronę i pieniać się prawie ze złości, krzyknął:

— Konie zaprzęgać kaźcie i żeby mi tu was za godzinę nie było! Żony nie дам! Fora ze dwóra! Jam tu pan! Od dziś dnia między nami wszystko skończone.

I wypadłszy z izby, na nic nie zważając, dla Wojskiej dysponował wnet aby brykę jój gotowano, a sam na koń siadłszy, z przyjaciół jechał w las.

Tu tedy prawdziwie było można rzec, że trafiła kosa na kamień. Wbiegła stara jójmość do córki w furji wielkiej, opisując jój co się stało a żądając gwałtownie, ażeby z nią natychmiast, zabrawszy dzieci, do Żerdzieliszek jechała. A tu się okazał ów charakter wielki i animusz niezłomny Wilczkowej. gdy matce do nóg npadłszy, zawołała:

— Nie żądajcie tego po mnie, ażebym ztąd szła, gdzie mię wieknisty ślub wiąże, od tego który ojcem jest dziełek moich i któremu wiarę i posłuszeństwo przysięgała. Daliście mnie jemu, dajcież mi wypić moję czarę do dna, jakakolwiek jest zgotowana. Nie skarżę się, cierpieć potrafię i dotrwam, jako Bóg przykazał, do dni moich ostatka.

Wojska starała się jój okazać, że teraz mąż, mszcząc się na niej, męczyć i znęcać się będzie —



lecz wcale nie poruszyła tém Jagnieszki, która cokolwiekbądź ją spotkać miało od męża, wytrwać odważnie, przy łasce Bożej, postanawiała. Czém matka do łez prawie rozczulona, widząc że jój nie zmoże i nie przekona, gdy nawet na krótki czas bez zezwolenia mężowskiego oddalić się nie chciała, musiała sama do domu powracać.

Jakże tam było między Wojską a córką rozstanie i żegnanie, na które się serce krajalo obn, opisać trudno. Piérwszy raz w życiu odezwiała się stara z tém, iż sama winna była, córkę dając przeciw skłonności jój, dla której bodaj lepiej było z ubogim los dzielić, albo wcale za mąż nie być wydaną.

Gdy odjechała Wojska, zakławszy się iż tu więcéj noga jój nie postanie, padła biedna Jagnieszka na modlitwę, młodszą dziecinę do piersi tnąc, a w męztwo się zbrojąc wielkie, bo czuła że się dla niój ciężkie rozpoczną czasy.

Dzień cały szedł na łzach i oczekiwaniu, ażali myśliwi z łowów nie powrócą. Dobry wieczór już był, gdy trąbki i ujadające psy, a myśliwska pieśń na całe gardło rznęła, oznajmiła iż panowie z łowów jechali, naprzeciw którym pani Chorażyna wychodzić nie myślała, za kolébki dzieci swych jako za mur forteczny się chroniąc i na wszystko będąc gotową.

Wieczera zdawna była już dla myśliwych dysponowana, o którą natychmiast głodni dopominać się zaczęli. Pili tymczasem pogrzebowe, a wrzawa była że dzieci przestraszone usnąć nie mogły. Gdy w izbie stołowej misy już stały i oznajmiono ichmościom że jadło gotowe, wszedłszy Wilczek, nie widząc żony, zachmurzył się i pacholika popchnął, żeby jójmość zaraz do stołu szła....

Gdy jój ten rozkaz przyniesiono, jak zawsze posłuszną była. tak i teraz, łzy otarłszy, obmywszy oczy, aby się obcy nie domyślali nic i nie szydzili, suknię włożyła i na rozkazanie mężowskie stawiała się do stołu.

Goście, że pewno nic o zajściu nie wiedzieli, poczęli witać panią z respektem, i tak biesiada się poczęła wesoło, choć jójmości serce się krajało. Michał, patrząc na nią, że tak śliczną była iż się jój wszyscy dziwowali, i z miłości jakiegoś dziłkić i z gniewu oczyma płomienie na nią ciskał i pioruny.

Tu była potrzeba całego kunsztu niewieściego i odwagi nadludzkiej prawie. aby cierpiąca kobiéta poznać po sobie nie dała, co się z nią działo. Musiała się do jednych uśmiechać, drugim na żarty odpowiadać i na tym stołku męczeńskim prawie do końca nczty dosiadywać. jak na żarzających węglach.

Przez trzecią izbę był pokój dziecienny, gdzie niańki synaczków do snu nie mogły ululać, więc głosy ich płaczliwe pod koniec eksknuły były, iż się podniosła i odejść mogła. a nikt się temu nie dziwował.

Dopiero po odejściu jój, z pasywi wielkiej Wilczek gasiory kazał nosić i kielichy saskie ogromne. zachęcając do picia i zmuszając na wszelkie sposoby. A że mu tam i drudzy dobrze dostawali kroku. wszczęła się pijatyka na zabój. straszliwa, tak że słudzy. widząc to. prorokowali. iż daj Boże aby jednego tylko na marach ztąd wyniesiono.

Do białego dnia pito, a gdy się mieli rozehdzić, trzeba było służbę wołać. bo nikt o swój siłę do drzwi nie trafił, a dwu czy trzech pod stołem chrapali. Wilczek jako stał, że głowę miał mocną, choć zataczając się, wprost poszedł do żony. Od rana się z gniewem nosił i wydychać policzka świekry jeszcze nie mógł.

Jéjmość, mało co zasnawszy. już była wstała, sposobiąc się do gospodarstwa iść. gdy Michał wpadł do niej. Nie było co z nim mówić, ani rozprawiać.

Miał tyle przytomności tylko. że nim na łóżku legł. zawołał do żony:

— Matka twoja policzek mi dała; jeden to raz w życiu ręka ludzka twarzy mojej dotknęła! Gdyby nie była kobietą, jużbym trupem ją polo-

żył;—uszyła cało, ale ty mi za nią zapłacisz? Na co nie nie odpowiadając, uszyła mu z oczów prędko.

Spał. rzucając się do pół dnia, a gdy się przebudził. już i drudzy. głowy wodą oblawszy, jeść wolali, więc się rozpoczęła uczta na nowo i trwała do nocy. Ledwie trzeciego dnia szlachta rozjeżdżać się zaczęła. a Wilczek, chorym będąc, bo się w nim krew i żółć zburzyła. w łóżko się położył.

Jęjmość ani słowa nie mówiąc, porzeka, jak wiedziała i znała, ziółkami go jeła leczyć. głowę okładać i pielegnować, której on łajaniem i słowy bezecnemu za to płacił.

Więc co był czyścić w początku, teraz piekło istne w domu się rozpostarło.

Tydzień cały chorzał pan Chorąży, a gdy słabość snem długim, pokrzepiającym się skończyła, wstał nareszcie. albo się zwłóknął, wcale nie polepszywszy na humorze. Do żony prawie nie gadał, a gdy ta nad zdrowiem jego czuwała, łajaniem ją odprawiał.

Kto raz takiego żywota zakosztuje. na jakie tu poszło. temu potem z niego się już wywikłać trudno. Zaledwie wydobrzwawszy, ruszył Chorąży na łowy w Owrućkie i tam kilka tygodni siedział. znaku życia nie dając. Byłoby to znośnem jeszcze. lecz z powrotem przyjeżdżał gniewliwszy i. na ludzi nie zważając. nad żoną się znęcał. Anieli-

skieję trzeba było cierpliwości. aby znieść milcząc szyderstwa i obelgi, nie odpowiadając na nie. Czasem tylko rumieniec wybiegł na twarz, łza się zakręciła w oku, zadrżała biedna, jakby jęj zabrakło siły. potem na dzieci popatrzwszy, dzwigała dalej brzemię.

Złożyło się życie w osobliwy sposób, bo choć w jednym domu mieszkali, coraz się spotykali rzadziej. Michał albo polował. lub jeździł, a jeśli do domu przybył, spał lub gości przyjmował. Czasem żonie wychodzić kazał, niekiedy. gdy weszła. precz ją pędził. nie chcąc widzieć na oczy.

Przy ludziach jeszcze wystrzegał się i szło jako tako. ale gdy go czasem wściekłość jakaś napadła, a sammasam się zostali, wydziwiał i wyszydzał się, jakby ją chcąc z cierpliwości wyprowadzić. Głowieło go to właśnie iż milczeniem zbywała. lub takiemi słowy. za które się srożyć nie było podobna. Niczem mu dogodzić naówczas nie było można; niecierpliwiło go milczenie, złościł się za to iż spokojnie odpowiadała. czasem zdało się iż porwie się bić. choć do tego nie przyszło.

Najczęściej zaś wypominał jęj Otwinowskiego palestranta, obiecując uroczyście i zaklinając się. że gdziekolwiek go napotka z życiem mu nie ujdzie.

W początkach męczeństwa tego, gdy jój odchodzić nie pozwalał. a godziny całemi dokuczał biednej kobiécie, łzami się zalewała, — potém już i tę moc nad sobą nyzyskała. że mogła słuchać krzyku i szyderstw, kropli nie uрониwszy.

Więc ją kamienną zwał i bezduszną—a z téj pasyi przeciwko matce, zawział potém nienawiść dla dzieci, że im się prawie na oczy pokazywać nie dawał i musiano je przed nim chować, aby wstępu do rodzica nie powzięły.

Rok w takich ntrapieniach upływał już, a najszczęśliwsze chwile miała pani Chorążyna gdy go w domu nie było. Naówczas spoczywała. dzieci pielęgnując i gospodarstwem się zabawiając. Lndzie téż wszyscy patrząc na to co się działo litość nad nią mieli i poszanowanie takie, że skienienia jój słuchano.

Ze wszystkiém w świecie powoli się obyć można, a gdy kto wielką ma siłę duszną. hartuje się jako stał w ogniu i krzepi.

Tak właśnie Chorążyna mocy nabierała w téj nieznosnej walce. jaka na nią przypadła. i niktby był po niej nie poznał co cierpiała, bo miała postawę piękną, spokojną, czoło pogodne a umysł zawsze przytomny.

Działo się to za panowania saskiego, gdy poczynały się mmożyć rozwoły, o które bardzo było łatwo, nie jeden więc z sąsiadów i sąsiadek

wotował. aby Chorążyna do konsystorza się udała o rozdział prosząc, któryby jęj otrzymać było nie trudno.

Nie dochodziło to do nięj, bo mało kogo widywała, a z tych którzy się zbliżali, nikt odwagi nie miał z tém wystąpić. Nie zapraszała do domu. żyjąc nstromnie i zamknięta. Raz jednak sam Wilczek na polowaniu będąc w sąsiedztwie, pana Baranowskiego do siebie wezwał. aby mu się wywdzięczył; wówczas pani Baranowska stolnikowa, kobieta rezolutna, rzekła mu wbrew:

— A mnie to asindziej do siebie nie prosisz? Przecie bym rada choć zobaczyć jejmość dobrodziejkę, o której wiele słyszyny. a mało ją, chyba w kościele widzimy.

— Cóż państwo o nięj tak wiele słyszeć mogli? odparł Chorąży.

— Wiele dobrego. rzekła Baranowska, aleś pono waszmość o nią zazdrosny, że ją zamurowaną trzymasz.

— Jako żywo, — odezwał się Wilczek. — ona sama w dziurze siedzieć woli — a ja jęj gwałtn zadawać nie chcę.

Tak się zręcznie wzięła do tego Baranowska, że ją musiał zaprosić. Pojechała tedy do Żebrów, a że wiedziała jak się obejść, rozumna była i zręczna. wcisnęła się łatwo. w dobrą zachodząc komitywę z Chorążyną, a tak się Wilczkowi sta-



wiąc, że i on przeciw temu nie miał nic. Był pewny, że żona się nie poskarży przez samą dumnę, jaką w niej znał.

W téj samotności Chorążyna pani Baranowskiej była rada, zwłaszcza że przy pierwszych odwiedzinach dzieci zobaczywszy wychwalać je zaczęła, co serce macierzyńskie polechtało.

Wilczek się nie sprzeciwił, aby żona odplaciła sąsiadce odwiedzinami. pojechała więc do niej Chorążyna. Baranowska starsza była, doświadczona, filut wielki ale stateczna. Nie okazywała tego po sobie, że Wilczka cierpieć nie mogła. bo głośném już to było jak się z żoną obchodził. Postanowiła zwolna nakłonić Chorążynę ażeby albo do matki się z dziećmi wyniosła lub o rozwód prosiła.

Nierychło jednak przyszło do otwartéj o tém rozmowy.

Dopiero raz we łzach zastawszy biedną kobietę nad kolebką, wybuchnęła Baranowska.

— Moja Chorążyno — patrzeć na waszą dolę suchém okiem niepodobna. Już się w tém poprawę spodziewać darmo; człek dziki, mściwy. życia masz przed sobą dosyć. Wydali cię przeciw woli, rzucił do licha tego kata, nikt nie powie inaczej, tylko że się dobrze stało.

— Niech Bóg mię od tego uchroni — odparła Wilczkowa. nie kuście mię i nie mówcie tak.



Rodzona matka nawet nie wymogłaby tego na mnie.

Przysięgam się związała u ołtarza, dotrzymam jęj póki życia.

Napróżno na różne sposoby starała się ją konwikować, nie pomogło to nic, Wilczkowa i słuchać nie chciała, uszy sobie zatykając. wreszcie wzięwszy z kolebki młodszego synka, przyniosła go Baranowskiej.

— Patrz, moja droga pani. rzekła. toć dziecię jęgo. Miałażbym sumienie odrywać od ojca jęgo potomstwo. albo sama je rzucić? Odbierać mu dzieci nikt nie ma prawa, a dla mnie one są wszystkięm życiem i jedynęm szczęściem.

— A właśnie. odparła Baranowska, dla synów powinnaś to uczynić abys ich zabrawszy precz ztąd szła. Co się oni tn, przyszedłszy do rozumu, nauczą dobrego? Będą patrzeć na rozpustę ojcowską i ją naśladować.

— Moja to rzecz abym im widzieć jęj nie dała, i zawczasu obrzydziła—rzekła Wilczkowa.

— A obrzydzając ją musisz im zarazem ojca zohydzić,—przerwała sąsiadka. Toż dla miłości ojca należałoby aby na niego nie patrzyli.

Twarde to były argumenta, na które nie miała co odpowiedzieć biedna kobięta, wszelako w sumieniu swęm czuła, że dezercya z domu. potępieniem męża była i zerwaniem z nim, a ona się

pocieszała nadzieją tą, że młodość wykipi i człek się nstatknje.

Tymczasem się jednak na to nie zanosilo.

Wcale nie zmieniając się, życie takie jak przedtem trwało ciągle, tyle tylko że jakąkolwiek pociechę miała pani Jagnieszka z pozyskanej przyjaźni. kobiety statecznej. lecz daleko śmielszej i rezolutniejszej niż ona była.

Baranowska, przyjaźń dla niej powziawszy i spoufaliwszy się z obojgiem, bo mąż jej zapalony myśliwy żył dobrze z Wilczkiem, pracowała po swojemu nad jaką taką poprawą losu Chorążyniej.

Ona też sama szczęścia się w młodości marzonego wyrzekłszy, już tylko spokoju i ładu w domu pilnowała; a miała z męża zrobić różnemi środkami, co chciała, nie wahając się, gdy tego była potrzeba i przymilić się i nasrożyć. Na Wilczkowej zaś tego nie mogła wymódz by się uśmiechnęła na żart i z musu. albo nachmurzyła dla grozy. Chodziła jako posąg, nie zadając sobie trudu aby osłodzić życie.

Widząc że jej nie przerobi. pani Baranowska szepnęła coś mężowi, z którym czyniła co chciała. i kazała mu ściągnąć Wilczka na kilka dni do siebie. Obmyślano polowanie z obławą, a miały też być i charty dla tych co karku nadłamać zyczyli.

Przybył Wilczek, a to była rzecz w moni sobliwa, że jak w domu nieznosnym był i zjadliwym, tak z obcymi najmiłszy człowiek w świecie. Trudno nawet uwierzyć było, kto go lepiej nie znał, że ten wesóły, powolny, żartobliwy, zawsze gotów każdemu do jego humorn i zabawy Choraży—doma tyranem był.

Ale kto zna ludzi wie to dobrze iż częstokroć ci kochani powszechnie, a dla obcych wyłani, dla swoich są ciężarem i ntrapieniem.

Po wieczerzy myśliwskiej, gdy w dobrych wszyscy humorach od niej wstali, Baranowska się do Wilczka przysunęła.

— Byłam u Chorażynéj!—rzekła.

Wilczek zerknął i marsa nastawił, usta mu się skrzywiły, Baranowska patrzyła mu w oczy.

— No cóż tam w Żebrach słyhać? odparł szydersko Wilczek.

— Dobrze pytanie, ciągnęła dalej jejmość — bo istotnie pan Choraży możesz czasem obcych pytać co się w jego domu dzieje. Żona mi mówiła, że go dawno nie widziała.

— A poco się mam tam śpieszyć? — spytał przez zęby cedząc słowa, powoli Wilczek.

— To panu nie tęskno? rzekła Baranowska.

— A za kim mam tęsknić? odparł Wilczek. Dzieci jeszcze smarkate, a jejmość, toć to pani nie tajno, nie ma serca do mnie.

— Któż temu winien? odezwala się Baranowska.

— Ja nie wiem! szepnął Wilczek.

— Mnie się zdaje że asindziej sam,—bo, dała skromnie — w stadle małżeńskiem gdy się złe dzieje, zawsze mąż winien.

— E! e! rozśmiał się Wilczek, któż to panią tego nauczył?

— A no! własne doświadczenie.

— Co też ja słyszę — bryznął Wilczek, bez urazy, chyba trzeba ażeby tak jak u państwa, mąż żonie był posłuszny.

Baranowskiej oczy zaiskrzyły się.

— Choćby i tak, rzekła—kto w stadle słabszy, ten lepiej ażeby mocniejszego słuchał, a nie wierzgał, bo to się na nic nie zdało!

— Ja się słabszym nie czuję! Odparł Wilczek. Niech pani nankę tę da mojej Jagnieszce.

— Cóż jęj macie do zarzucenia? pytała Baranowska, nie dając nciec Wilczkowi, który się już do kart i do maryasza oglądał.

— Nic nadto, że serca do mnie nie ma!—rzekł Chorąży.

— A gdyś ją asindziej brał?

Tu Wilczek tak spojrział na Baranowską groźno, że mówić dalej nie mogła.

— Znać że się acani dobrodziejce wypowiadała! zawołał. Dobrze to wiedzieć, że się już skarży na mnie i arkana małżeńskie rozgłasza!

— Przepraszam pana Chorążego — zawołała jejmość, ręczyć mogę słowem uczciwém, że mi ona nie powiadała nic. To, co wiem, słyszałam od nieboszczyka ojca waszego, który was żeniąc rozpowiadał wszystkim, że panna choć idzie po woli, przez posłuszeństwo dla matki, dlatego żoną dobrą będzie.

Brałeś ją panie Chorąży, wiedząc iż posłuszną niewiastę mieć będziesz, ale nie rozmiłowaną w was; a teraz, daruj że prawdę powiem — nie starasz się jój sobie pozyskać.

— Radbym żebyś mię pani tego sekretu nauczyła, jak to ja ją mam do siebie przywiązać — szydersko począł Wilczek. Robiłem co mogłem, dzieci dwoje Bóg dał i to jój nie skłoniło ku mnie. Nie przystało mężczyźnie dopraszać się jako łąski tego co mu należy z prawa.

— Balamncisz, panie Chorąży—zawołała Baranowska. Z prawa ci się wiara, uczciwość i posłuszeństwo należą, więcéj nic. Serce trzeba pozyskać.

— Cóż? chyba się o lubczyk postaram, czy co? rozśmiał się Wilczek, a wnet dodał poważniéj. Wiem, że to pani mówisz z serca dobrego i przy-

• Wilczek.

jaźni, ale na to rady niema, chybaby Pan Bóg sam z niebios zstąpił i cnd uczynił! Nie mówmy o tém.

— Owszem, mówmy — zawołała gospodyni. — Ja acaństwu obojgu życzę dobrze, mówmy.

Wilczkowi twarz paląca coraz mocniej i zży-mał się, ta go jak na nwiezi trzymała.

— Wie pani co! jest tylko jedna rada — za-wołał bystro. Gdy gangrena się wda w ciało. to ją balwierz nożem wyrzyna. Muszę wysznkać moją gangrenę, tego dyabła rogatego Otwinowskiego, za którym jejmość wzdycha, i życie mu wziąć. To jedyny sposób; jak go na świecie nie stanie, odpłace jejmość, bosiny odprawi. i może serce kn mnie nakloni.

— Kn zabójcy? odparła Baranowska — co bo się pami dzieje?

Wilczek nie chciał odpowiadać; ażeby się od jejmości odczepić, która młodą i przystojną jeszcze była, przysiadł się do niej, w żart obracając rozmowę, aby go ona przez miłosierdzie pocieszyć chciała. Uśmiechnęła się gospośia.

— Kobięta się do waćpana żadna nie przy-wiąże, rzekła mu, ani go zechce pocieszyć. boś człek srogi i okrutny, a my lubimy łagodnych i dobrych. Naostatek, choćby który dobrym nie był, to przynajmniej powinien się akomodować — a tego waćpanu nie miesz.

— I takem nieszczęśliwy, że mię żadna pocieszyć nie chce! rozsiął się Wilczek.

Gdy to mówił podstolina pogroziła mu na nosie. głową potrząsła, i pocichu, obejrzawszy się dokoła, rzuciła mu jedno tylko imię — półgłosem:

— A Rózieczka?

Wilczek się aż wstrząsł i wzdrygnął.

— Czy i o tém od mojej jejmości pani słyszała? wybuchnął gniewnie.

— Nie. dzięki Bogu, ona o tém nie wie przynajmniej do czasu, ale całe sąsiedztwo bębni.

— He? bębni! bębni! krzyknął Chorąży — niechże rozbębniąją jako chcą, to mi wszystko jedno. Jak mi jejmość moja słowo rzecze, na złość jej na folwarku ją posadzę!

Zerwała się Baranowska z gniewem téż wielkim, ale mitygując się dla oczów ludzkich, szepnęła cicho odchodząc:

— Zły z waćpana mąż i niedobry człek. Gniewaj się sobie, a ja tego utrzymać nie mogę!

I zostawując Wilczka z jego miną szyderską wpół, napół sierdzistą, poszła do innych gości. Chorąży pociągnął wnet do kielichów znowu.

Że się częstokroć w życiu ludzkiem składają przygody jak w bajce, temu nikt zaprzeczyć nie może: i zowią to trafem, co raczej przejrzeniem Pańskiem zwaćby się powinno. Bywa iż ktoś na nieszczęście narzeka, gdy właśnie ręka



Wszechmocna wyrywa go z przepaści, bywa iż się kto szczęściem cieszy, gdy już na skrawku stoi, a paść ma... W tém wszystkiém ciemno nam, stawiamy kroki omackiem, przecie gdy się rejestr żywota zsumuje, wypada iż Pan Bóg wiedział co czynił, a sprawiedliwości domierzył.

Lecz my tu jeno o przygodzie mówić mamy, bo w sprawiedliwości wykłady się wdawać nie nasza rzecz; niezawsze ona widna, choć zawsze na dnie siedzi.

Wilczek po rozmowie z panią Baranowską, co się miał poprawić, gorzej się rozpuścił i rozsierdził na żonę. Nie chciał temn wierzyć ażeby jejność od kogo innego wiedzieć miała sekreta małżeńskie jego, tylko od żony.

To go do passyi doprowadziło, ale się trzymał, i ndawał jakby mu nie nie było.

Zawział się tylko teraz na owego Otwinowskiego, którego nigdy w żywe oczy nie widział, o którym słychn nie było—w nim npatrniając wszystką nieszczęść swoich przyczynę.

Klął go i hezcześcił bezustanku. Lecz gdzie go po świecie miał szukać? myśleć o tém nawet nie było sposobu. Tymczasem wypadło iż ów folwark w Łomżyńskim, który teraz zastawą szedł, chciano mu wydrzeć, podstawiwszy rachunki i pre tensye, kondykta różne i niepoczeiwe jurysterye.



Z Wilczkiem sprawa łatwa nie była. Gdyby folwark na Rusi się znajdował, ani by pytał: zjechałby, zastawnika precz wyrzucił i — dopiero dał mu się prawować; — ale w Łomżyńskim ów Juraha, bo się tak zwał zastawnik, wszystkich za sobą miał. Ani go ukąsić.

Trzeba się było procesować. Nie wiemy *qui titulo* sprawa poszła do Piotrkowa; musiał Wilczek jechać sam, żeby sobie ku pomocy wziąć prawnika.

Ani mu nawet na myśl nie przyszło iż w Piotrkowie z owym Otwinowskim zetknąć się może. Nie było mu to w głowie; imna go złość i gniewy opanowały, a z niemi tak zawsze jest, że który gniew jest świeższy ten mocniejszy i stare tłumi, aby sam królował. Nie szło mu nawet tyle o wieś, co o postawienie na swoim. i nauczanie rozumu zuchwalca, który się mierzyć z nim pretendował...

Ruszył tedy do Piotrkowa.

Tębiunał w tym roku jakoś przypadał bardzo huczny i ludny; zjechało się szlachty moc. potentatów niemało, a że wszystkie naówczas sprawy nie nasucho się przygotowywały i nie sucho rozwiązywały, więc nim co do czego przyszło, szalano, pito i hałasowano okrutnie.

Wilczkowi w to graj.

Gdy tu wpadł, jednego drugiego poznał, z tym i owym podpił; że wesół był i towarzyszył do biesiady, jak nie można lepszy, poczęli go w kumy brać, że ledwie owym chrzcinom z wina starczył. Ano głowę miał taką, że choć trunku nadużył, i nie dobrego (bo tam często kwas i lnę dla miłości braterskiej chlać było trzeba)—nigdy mu to nie szkodziło.

Szedł naówczas pod studnię, choćby zima była, i pacholikowi sobie kazał na głowę ceber jeden, drugi świeżej wody lać; wytarł się, wyszorował, przespał, spotniał a wstawał rzeźwy i zdrów, jakby po dryakwi weneckiej.

W kilka dni bez Wilczka już tam nie było traktamentu, bo nikt nad niego lepiej nie umiał kielichów wnosić z temi przypowiastkami staremi, które tak konwinkowały, że się nikt pod infamią i psem, wymówić nie śmiał.

Kochali go też wszyscy, ściskali, podarkami obsypywali, a że on się też w kaszy jeść nie dał, zaraz we dwójnasób oddawał co wziął. Tymczasem o zastawie swój ledwie że miał moment wolny z mecenasem pogadać. Był pewny swego, że mu tu deputaci, marszałek, palestra cała krzywdy uczynić nie dadzą.

Schadzała się naówczas wszystka palestra, pacyenci i wielu deputatów u Janasza pod kościołem, który wprost z Węgier wina prowadził.

a miał téż i małmazją i cypryjskie, i czego dusza mogła zapragnąć. Jednak kto zdrów pragnął być, nie pił tylko węgryzna, dlatego że fama chodziła, iż wszelakie inne wina Janasz ten, mądry człek, umiał z różnemi przyprawami tak podrobić jak chciał.

Wydało się to jednego razu, gdy z wieczora, rozstap się ziemio, zabrakło małmazyi. a naza-jutrz rano znalazła się tak przedziwna. jakiej dawno nie bywało.

Janasz tylko w piwnicy posiedział, czegoś nalał, coś dosypał i z węgryzna uczynił co mu się zachciało. Placić téż sobie kazał dobrze, i prawda czy nie, podwójną kredką pisać umiał na desce. To téż potém majątność zebrawszy bardzo znaczną, córkę za szlachcica wydał, choć nie z dobrej woli.

Szlachcic mu ją w oknie upatrzywszy, że była piękna, czarnooka, biała i pulchna, gdyby świeżo upieczona bułeczka, nocą na dom uaszedł, pannę porwał i ślub wzięwszy dopiero się z nią submi-tował ojcu. Ale to do naszej sprawy nie należy.

U Janasza tedy siódmego czy ósmego dnia, gdy w najlepsze pito i przepijano od asana do asana—z niezuajomymi nawet, jak to bywa pod dobry humor—trafiło się, że Wilczek z kielichem się natkuął na ogromnego draba, którego cale nie znał.



Był ów palestrant wzrostu takiego, że Wilczka głową przechodził prawie, w plecach szeroki i w karku mocny jak żubr, twarzy przystojnej, włosów jasnych, oka wesołego, niebieskiego i w głębie mu język chodził jak koło we młynie, gdy je dobrze posmarują.

Wilczek się przemówił z nim o coś przy tym kieliszku, a od słowa do słowa, gdy sobie przypiekać poczęli, krzyknął:

— Coś waś zaczął?

— A wy?

— Choraży Wilczek.

— A ja dependent Otwinowski!

Posłyszawszy nazwisko, w mig jeden Wilczek już szabli dobył. Ten też nie był bez żelaza i swoje obnażył.

Skoczyli ich godzić — ano sposobu nie było. Wilczek nie już słuchać nie chciał, krzycząc:

— Stawaj i rąb się!

— Nie od tego! rzekł Otwinowski.

Widząc że ich nie przejednávają, i że się na razach musi skończyć, odstąpili wszyscy. Nie pierwszy to raz i nieostatni z wina się krew toczyć miała — chleb to był powszedni. Nikomu kresa przez łeb nie szkodziła, wielu do opamiętania pomogła. Obstąpili ich kołem, bacząc tylko na to, żeby się w śmierć i na kalectwo nie zasiękli.

Otwinowski o czém Chorąży nie wiedział. był rębacz sławny, siłacz okrutny, wzrost mu i pleczystość dawały zamach straszny, szabelkę też miał niepozorną, ale do ręki przypadającą i damascenkę starą. co żelazo siekała na wióry.

Wilczek bił się nieszpetynie, tylko wadę miał, że sierdzystym będąc i zapamiętałym, zbyt się nastawiał i plecu a karku nie szczędził. Jak osa skakał do oczów, rzucał się niespokojnie, i w pierwszym spotkaniu. kto go nie znał, niebezpiecznym był. a jeśli to przeszło, zawsze prawie sam szwauk odnosił.

Cichusienko się zrobiło w gospodzie, choć mak siać, ledwie gdzie lampka brzęknęła. Przybiegł Janasz gospodarz suplikując, ale go precz odpchnięto—w kark i za drzwi.

Zwarli się tedy i Wilczek na adwersarza skoczył jak kot. a ten murem mu stojąc, szablą się oganiał powolnie. jakby mu komary pod nosem latały.

Chorążemu w téj pierwszej napaści nie udało się go drasnąć, ale też i sam nic nie oberwał.

Otwinowski trochę się przygarbiwszy—bo mu wzrost wadził nieco, ciężkim go czyniąc — jak nogi w podłogę wwarł. stał kamieniem. Twarz mu pobladła. usta się ścięły, zmienił się—widać było iż mu i o reputacją szło. aby się nie poszkapić.

Wilczek co przyskoczy doń, to tylko szable dźwiękną w powietrzu; raz, drugi, trzeci... jakby z sobą menueta tańczyli.

Chorażemu z czoła pot się począł lać, ani ukąsić Otwinowskiego;—parę razy ciał po sukni. nawet krwi nie upuścił, aż tu dependent, dopatrzwszy sposobny moment, kiedy chlaśnie—szabla wypadła z ręki Wilczkowi i drugą się chwycił za nią. Krew trysnęła do sufitu.

Patrzę, aż tu ręka zwisała. napół odcięta, tylko się na skórze trzymając; jeszcze Choraży — Jezus Marya! krzyknął, i padł jak nieżywy.

Skoczyli wszyscy do niego. gdy Otwinowski najspokojniej w świecie szablę połą zaczął ocierać ze krwi, już ani patrząc. Pobiegł pacholek po balwierza aby z plastrami śpieszył, sądzono bowiem że się ręka da przystawić.

Wilczka się dotrzeźwić nie było podobna, krew strumieniem się z niego lała. Nadbiegł balwierz, popatrzył i rzekł z flegmą, że z ręki nie będzie nic, tylko ją odciąć do reszty i na cmentarzu pochować, a ratować życie.

Napadli wszyscy na Otwinowskiego, który ramionami ruszał.

— Dostał czego chciał—rzekł, jam temu nie winien, siły w sobie strzymać nie umiem. Jaką mi Pan Bóg dał, taką żyję. Drudzy się nań odgrażali, lecz nikt następować nie myślał.

Tymczasem Wilczka srodze pokaranego trzeba było do jego gospody nieść, bo coraz to omdlewał, krew się zatamować nie dawała i rękę musiał balwierz uciąć, bo się na nie nie zdala. Mniejsza zresztą było zostać mańkutem, byle życie ratować; i za te ręczyć nikt nie mógł. Ci co wiele i różnych ran widywali w rozmaitych przypadkach, takiego cięcia nie pamiętali. Srogie było, goliatowe, i żeby się w kark dostało, głowa-by od niego zleciała z karku, jak makówka.

Gdy nazajutrz z obwiązaną, obciętą ręką trochę oprzytomniał Wilczek, a spytał balwierza jak długo się lizać będzie musiał, ten mu nic powiedzieć nie chciał. Drugim pocichu oznajmił, że ta rana jeśli się do niej nic nie przerzuci, goić się musi miesiący kilka. a broń Boże krew się okaże popsutą nie wiadomo co z niej jeszcze być może—srogie kalectwo lub śmierć.

Chorąży z powodu utraty krwi czuł się tak osłabłym, iż z łóżka ani mógł wstać, ani się podnieść. Ludzie go musieli obracać... Przyplątała się zaraz gorączka, a że długiem hulaniem poburzone były humory, rzucił się w niej jak wściekły, wywołując Otwinowskiego ciagle.

Kalmanse mu różne doktor dawał, okładania, mikstury, lekarstwa najdroższe, a gdy ustąpiła owa febris, przyszła po niej słabość — ani ręką ani nogą.



Rana téż jak mówił cyrulik, nieciekawie wyglądała; krajali ją tam, palili, zasypywali, zao-guięła się strasznie—ręka do ramienia puchła.

Wszyscy żalowali nieszczęśliwego, lecz nikt nie przeczył, że sam sobie winien był i przy pochmieln bez racyi słusznój. nie wiedzieć zaco i dlaczego skoczył na dependenta.

Doznał Chorąży co się zwykle trafia wszystkim przy podobnych okazjach. że pókiś zdrów, wesół, potrzebny, na rękach cię noszą, niechże się osłiżnie noga, niech przyjdzie choroba, mie-szek wypróżni, pustki będą do koła, żywa się dusza nie zjawi.

W Piotrkowie o chorym nikt myśleć nawet nie miał czasu ni ochoty: pomówiono parę dni, zapomniano zapiwszy sprawę. Czasem kto w ulicy spotkawszy cyrulika—natrącił: a cóż tam plejzy-rowany?

— A no stęka!

— Dobrze mn tak! choć biedne człeczysko.

Wszyscy, oprócz doktora, cyrulika i aptekarza, którzy rejestra nań pisali—odstąpili od ka-leki. Płacić trzeba było ogromnie, darł każdy ze sposobności korzystając, co się rzadko trafia oka-zya taka.

Już myślał Wilczek czyby nie lepiej było albo kolebki dostawszy w nią do domu ruszyć, lub na



noszach się dać nieść, choćby i pół roku podróż trwać miała. W Piotrkowie zostać nie było sposobu.

Gdy się jeszcze gryzł, nie wiedząc co pocnie, bo w domu też życie mu nie miłym było, dnia jednego nadjechała Wojska. O nieszczęściu się dowiedziawszy, kobieta z determinacją choć pewną była że zięć jej nie zapomniął policzka, nie wzdragała mu się na oczy stanąć.

Kazała tylko naprzód dać znać przez doktora, że przybyła do niego i po niego. Rzucił się Wilczek z krzykiem, żeby nie puszczano, że na oczy jej widzieć nie chce. Ta tymczasem weszła, nie sobie z tego nie czyniąc, do łóżka się zbliżyła, witawszy go, rzekła tylko:

— Kolebkę wzięłam od pana Kasztelana dla waszmości, trzeba ztąd jechać przed zimą. A że bez baby się w chorobie i nieszczęściu nie obejdzie, dopóki żona nie nadjedzie, ja jej miejsce zastąpię.

Chciał się oponować Wilczek, ale mu usta zamknęła.

— No, nie irytuj się asindziej, co było a nie jest nie pisze się w rejestr. Co obowiązek to obowiązek. Kochaj sobie nas czy nie kochaj, mnie to już wszystko jedno, a od nas co się należy, my zrobić musimy.

Wilczek, czy że chorobą był złamany, czy z innego powodu, bo to człowieka zrozumieć trudno, wyburzywszy się, narzucawszy, koniec koni-

cem dał jój z sobą robić co chciała i słowa nie pisał. Wojska się wzięła tegoż dnia rozpatrywać we wszystkim; kazała podać rejestra. kasę w trzosie zrewidowała, który na suchoty chorował. cyrulika zburezała, s'użbę w ryżę wzięła. i trzeciego dnia w kolebce dla chorego łożę usławszy. zajęła się przeprowadzeniem go do Żerdzieliszek.

Nim to jednak nastąpiło, miała jeszcze z panem Otwinowskim przeprawę. Ten dowiedziawszy się o swój dawnój dobrodziejce, choć się wahał czy ma przed nią stanąć czy nie, zięcia jój obciążwszy. w końcu rezygnował się na traktament jaki wiedział że go musi spotkać, czując obowiązek pokłonenia się benefaktorce. Szedł tedy do niej na gospodę. z pokorą wielką, ale ta ledwie go zobaczyła, słowa mówić nie dając, na drzwi pokazała.

— Idźże ty mi z oczów. rozbójniku jakiś! Znać cię nie chcę! Ha! powiesz że cię wyzwał! a nie mogłeś to go obciąć nie czyniąc kalekę! Jeżeli ty myślisz że zgładziwszy go ze świata. dopniesz tego coś sobie uplanował, to się mylisz; póki ja żyję. noga twa nie postanie n nas. a Jagnieszka wie moje rozkazanie—pod błogosławieństwem. Ruszaj mi ztąd—ani słówka.

Otwinowski poszedł jak zmyty.

Podróż do Żerdzieliszek. choć do niej dla bezpieczeństwa cyrulika przybrano—srogą była męczarnią. Wilczek cierpiał i czasami wykrzyzczeć się musiał, aby mu lżej było;—kilka razy wśród pól i lasów burza ich napadła. Karczmy po drodze znajdowali szkaradne. dwory puste. wlekli się też noga za nogą; Wojska jednak to wszystko przetrwać umiała cierpliwie, mężnie. często pieszo idąc przy kolebce dlatego, że gdy ją widział chory. sromął się i nie dziwaczył.

A gdzie mu już było teraz z dawną swą fantazją na harc wychodzić;—stracił jęj wiele. Co spojrzał na rękę obciętą. wzdychał i lzy mu się toczyły.

Tu. choć nie w smak nam z tém. musimy dawniejszych sięgając czasów, wytłumaczyć, co pani Baranowska miała na myśli. gdy grożąc Wilczkowi Rózieczkę mu naponknęła.

Jeszcze za życia nieboszczyka pana Chorążego, gdy już pod wąsem będącego Michała, trzymał on w strasznój ryzie, osobliwie od kobiet go strzegąc. na Owruńskięj majątności rządził u nich ekonom. szlachcic ubogi, niejaki Mazanowski. Ten miał córkę Rózię, dziewczynę ładną. jedynaczkę, pieśczoną. rozśpiewaną. rozbujalą. zalotną i niezważającą na panią matkę ani na ojca, gdy jęj co w głupiej głowinie zaświtało.

Choraży stary o téj dziewczynie prawie nie wiedział, bo ją kiedyś tam dzieckiem bosém raz spostrzegł i zapomniał. Ale to dorosło, rozkwitło i wypiękniało napodziw.

Jeżdżąc za rozkazaniem ojcowskiém w Owrućkie panicz, dopatrzył się Rózi na folwarku. Rózia ładnemu paniczowi była rada. Rodzice albo nie wiedzieli, albo się z tego nic złego, owszem dobrego spodziewali. Wzięły się tedy schadzki u płota, na przełazie, we wrotach, po sieniach i bałamuctwo takie, że Choraży coś zasłyszawszy, synowi bizumani zagroził. Pewnieby ich był nie dotrzymał, ale z tradycyi i obyczaju musiał je obiecać, bo zgorszenia żadnego w domu zniesć nie mógł, a żenić się z ubogą ekonomówną, i to jeszcze Mazanowską, ani myślał pozwolić.

Wśród największych czułości, więc schadzki nstać musiały. Michałowi jeździć w Owrućkie zakazano, a Rózia lamentując za paniczem, byłaby z desperacyi umarła, gdyby jój prędko zamąż nie wydano. Małżeństwo było niedobrane, bo się z nią wprowadzie majątny bardzo szlachcic ożenił, ale piędziesiąt kilka lat mający, i na nogi chory. Tymczasem pan Michał o Rózi zapomniał, ojciec go zaswatał, nastąpiło ożenienie, a potem to cośmy opowiedzieli,—pożycie niecznośne.

Pojechał na polowanie Pan Michał w Owrućkie, aż jednego razu z ostępu wracając napędził

bryczkę. W dyszlu szedł koń brudno kasztanowaty, gruby, mocny, z konopiatą grzywą, jakiego właśnie do czwórki było potrzeba Chorążemu; dogonił więc brykę i zajrzał w nią, żeby się dowiedzieć czyje konie były. Gdy się z konia swego pochylił, ze środka bndy krzyk się dał słyszeć. Woźnica nie wiedząc co się dzieje, zatrzymał konie. W bryczce siedziała Rózia, którą pan Michał poznał zaraz, choć była zmieniona znacznie, bo utyla, rozkwitła jeszcze bardziej, i w dobrym bycie wyglądała jak róża prawdziwa.

Wilczek zaraz z wierzchowca skoczył, jejmość z bryczki wysiadła, poczęli się witać, a że to młode amory rade się odnawiają, jak stare rany—oboje sobie byli bardzo radzi.

Co z sobą mówili, nawet woźnica nie słyszał, bo w bok zeszli, a gdy do bryczki wracali, pan Michał już o brudno kasztanowatego pytał, a Rózia mu odpowiedziała:

— Niechno pan Chorąży do nas przyjedzie, ja mężowi powiem, to kasztanowatego sprzeda.

Woźnica zaraz panią odjechawszy trochę reflektował, że brudno kasztanowatego się zbywać grzech było, był bowiem koń najlepszy do pociągu i nieopłacony.

— At! co ty tam wiesz! odparła pani. Jedź i nosa swego pilnuj. A stało się jak powiedziała.

Wilczek.

5

Choraży przybył do nich, którego mąż jejności do kolan się kłaniając przyjmował uroczyscie, wielce szczęśliwy iż takiego pana miał u siebie. Brudno kasztanowatego pan Michał kupił i na tém się nie skończyło. Wzięła się nadzwyczajna przyjaźń między Chorażym a szlachcicem, tak że on z żoną jeździł do sąsiada, a sąsiad tam całe dnie przesiadywał.

Pili z sobą, maryasza grali i w komitywę taką zaszli, jakby równy z równym. A im sobie pan Wilczek więcej przykrzył żonę i życie w domu, tém częściej w Owrućkie uciekał.

Szlachcic na nogi chory, jakoś wkrótce potem zmarł, bo mu ta puchlina do serca podstaąpiła, a w testamencie Chorażego opiekunem naznaczył dla żony i synka. Z tego powodu musiał Wilczek często bywać w Owrućkiem i u wdowy już przesiadywał jak w domu.

Ludzie o tém wiedzieli, gadali, dla tego to pani Baranowska napomknęła o niej Chorażemu, i pogroziła mu.

Gdy Wilczek tak szpetnie został cięty w Piotrkowie, nie zaraz się to rozniosło i na Ruś doszło, ale Wojska jak się tylko dowiedziała, napisała do córki nie obwijając w baweinę i rozkazała jej przybywać, zmiarkowawszy że ta rana może dla małżeństwa być zbawienną. Nim się jednak Chorażyna wybrała, obmyślając co ma z dziećmi zro-

bić, brać je czy zostawić, rozeszła się wieść po sąsiedztwie i dobiegła do owéj Rózi. Téj dawny przyjaciel a terazniejszy opiekun był widać bardzo drogi, bo synka zostawiwszy na łasce Bożéj i staréj baby ze wsi, nie wiele myśląc, kopnęła się do Piotrkowa.

Tu już Wilczka nie zastała. a w gospodzie więcéj jéj nie powiedziano nad to. że z cyrulikiem w Łomżyńskie ruszył.

Ponieważ Rózi tajném nie było iż Chorąży miał tam majątek, była pewną że go doń wieziono. Niecierpliwa kobiéta, nie spoczawszy nawet, na całą noc się puściła, goniąc Wilczka. łzami zalana. lamentująca. w rozpacz. Właśnie się kolebka powoli piaskami w lesie wlekła, a Wojska opodal idąc bokiem różaniec odmawiała, gdy bryczka wioząca Rózię, nadciągnęła i ona wyskoczywszy z niéj, do Chorążego, płacząc i krzycząc, przybiegła.

Wilczek drzemał, a gdy ją zobaczył oczom mu się wierzyć nie chciało; wnet zmiarkował co to tu się za historia gotuje. gdy Wojska tę jéjmość zobaczy.

Rózia zaś zapamiętała, rozgorączkowana, na ludzi nie zważając. jak przyskoczyła do kolebki. którą zatrzymać kazała, krzyczeć poczęła. że aż Wojska dosłyszała. Chorąży chciał ją przestrzedz, ale się téż rozczulił witając, i nie miał czasu



jeszcze oznajmić o świekrze, gdy ta stanęła z boku i podsluchawszy jak się młoda jéjmość z sentymentami oświadczała, w okrutną furę wpadła. Nie mogła się omylić, widziała jawnie co się święci, a choć nigdy o żadnej Rózi nie miała najmniejszej wiadomości, łatwo się domyśliła balamuctwa.

Jeszcze się młoda jéjmość we łzach rozpląwała, najśłodszemi wyrazy nazywając Chorążego, gdy Wojska przypadła.

— A nie pójdziesz ty mi precz! A co ty tu możesz mieć do zięcia mojego! Jak ty śmiesz...

Rózi téż na śmiałości nie zbywało. a że poruszoną była, postawiła się téż ostro.

— Jeszcze on waszym zięciem nie myślał być, kiedym ja go znała! zawołała. Opiekniem moim jest, mam prawo do niego...

— Ktoś ty, coś ty? poczęła Wojska. I na śród gościńca stanęły oko w oko, a tu się dopiero posypały słowa z jednej i drugiej strony, jak grad gęste, jak grad ostre i zabijające.

Co jedna drugiej nagadala. tego my powtórzyć nie potrafimy. Onego czasu język był u ludzi niepohamowany w gniewie, a u niewiast gdy się zwarzyły, takie się trafiły wyrażenia. iżby ich dziś nie zrozumiano.

Koniec końców jak huknęła Wojska na ludzi. jak zagroziła, Rózia musiała się do swéj bryczki



salwować. i nawet jechać już nie śmiała za opiekunem.

Wojska do popasu ani spojrzała na zięcia, ani przemówiła do niego—dała mu się wyburzyć. Spoglądała tylko za siebie. czy bryczka z tą jejmością nie wlecze się za nimi. Wdowa zmiarkowawszy że z Wojską, będącą w swém prawie. nie da rady. musiała wypłakawszy się wracać do domu.

Dziwną rzeczą było. że gdy na popas potem stanęli i Wojska się musiała spotkać z zięciem, nie powiedziała mu słowa. nie uczyniła wymówki. nakarmiła. napoiła. ranę kazała opatrzyć przy sobie. a on też ani z pretensją się żądać nie odezwał, ani tłumaczył.

Drugiego dnia dopiero, ni ztego ni z owego. kwaśno rzekł do świekry:

— Niepotrzebnie jejmość awanturę zrobiła. bo to kobieta, której mnie opiekunem zrobiono...

— Niech i opiekunem — odezwała się kręcąc głową Wojska, acan teraz sam potrzebujesz opieki. Daj-no pokój! Ja takie pupille znam. ano gdzie ja jestem, tam im nie bywać. Mężczyźnie się wiele przebacza, a zgorszenia publicznego—ja nie zniosę. Niechaj sobie starszego weźmie za opiekuna... Z oczów jej dyablem patrzy.

Wilczek nie odpowiedział, pomruczał tylko coś. dał się jejmości wyburzyć i na tem się skończyło. Ciągnęli dalej gdy Chorąży, nie śmiejąc świe-

kry o to zaczepiać, bo z nią sprawa była trudna, u ludzi zaczął rozpytywać dokąd go wieziono — czy do jego folwarku, czy do Żerdzieliszek. Słudzy odpowiedzieli mu iż od Wojskiej słyszeli, że wprost do niej z chorym jechać mają. Tak też mu oznajmili. Chorąży, choć się akomodował swój opiekunce i był jej posłusznym, mocno zmarkotniał, dowiedziawszy się o tém; gdyż wymiarkował, że w Żerdzieliszkach na lasce świekry i jak w niewoli by być musiał, pod panowaniem trzech aż bab: świekry, żony i siostry jej, która często dojeżdżała. Tego mu już było zawiele i choć chory, osłably, zamyślał się oponować.

Korzystając więc z tego, że przy kolebce często szła Wojska, to poduszki na których leżał poprawując mu, to pomagając gdy chciał położenie odmienić, zagaił zaraz Wilczek o tém, iż do domu chce być zawiezionym.

Wojska pomilezała trochę.

— Nic bym ja przeciwko temu nie miała. rzekła, ale acan się ruszyć nie możesz, pomocy potrzebujesz, ja przy was siedzieć ciągle bym nie mogła, bo mam gospodarstwo na głowie; a nim żonisko przybędzie, nie miałbyś dozoru. Więc — nie. Jak żona przyjedzie, jedźcie sobie gdzie chcecie, moja sprawa będzie skończona, tymczasem do Żerdzieliszek.

— Ja chcę do domu! rzekł Chorąży.

— Mało czego się komu zachciewa, odparła świekra. nie racya to aby zaraz się słuchać miało! Sobą waszeć nie władasz, jesteś chory, posłusznym być musisz. Pojedziemy do mnie.

— Ja chcę do siebie, do domu, powtórzył Chorąży.

— A ja zawiozę do mnie, — odparła sucho Wojska, — daremna rzecz, konie moje, ludzie moi, acan słaby i nie ruszasz się; w kurateli mojej jesteś. Gniewaj się kiedy chcesz, inaczéj nie będzie.

I dłużéj dysputować nie myśląc, odeszła stara. a wedle rozkazania jéj daléj ciągniono do Żerdzieliszek. Kłął pan Chorąży, lecz z babą wojny prowadzić nie mógł. Osobliwa kobiéta. bo choć mu wolę swą czuć dawała. i wyklóciła się z nim tego, gdy w téjże chwili potrzebawał pomocy, obowiązania, posługi, — pełniła ją ochotnie, nie okazując wstrętu i z największém politowaniem nad stanem nieszczęśliwego. Rzadko od niéj dobre słowo usłyszał. lecz ręce jéj pocziwie i macierzyńsko około niego chodziły. Nieraz i w nocy wstała gdy jęknął, i siebie nie żałowała.

Nieraz-by się chciał sierzcić na nią Chorąży, a nie było sposobu, bo co językiem popsuka, to potém troskliwością naprawiła. Próbował pocichu ludzi przez cyrulika namawiać, aby go nocą

z ostatniego noclegu do jego wsi dostawili, lecz ci się bali świekry i nie myśleli go słuchać.

Rad nie rad musiał do Żerdzieliszek jechać. dokąd przodem posłała jójmość, dając znać starszej córce, pani Borkowej, aby jej w pomoc przybyła. i izbę po nieboszczyku Wojskim dla chorego przyrzędziła, wywietrzyła, wykadziła jak należało.

Na rękach go musiano wynieść z kolebki, bo jeszcze osłabionym będąc i zmęczonym drogą, o swój siłę nie chodził. i położono na gotowej pościeli;— biedny Wilczek skazany na świekrę i panią Borkową, w oczekiwaniu przybycia żony, został na łasce ich, tylko-że nie płacząc z desperacyi i ułdów strasznych.

Coto było dla takiego jak on człowieka, już znarowionego samowolą, nawykłego do swobodnego wykrzykiwania, hałasów, śmiechu, ba i pijatyki niepomiernej, dostać się tu na takie suchoty i rekolekcyje.

Świekra mu dla rekreacyi położyła na stole parę książek pobożnych. parę świeczek, jakie się znalazły w domu. a pod pozorem żeby się rana nie jątrzyła. choć karmiła zdrowo i dobrze. piwa i wina ledwie pokosztować dawała. Musiał za swój miły grosz przez cyrulika sobie sekretnie coś sprowadzać Chorąży. a i to gdy się wydało, bnrę dostał i pilność była odtąd. aby mu nie bez dozwolenia świekry nie przynoszono.

— Chcesz asiudziéj krew w sobie popsnać i przedczasem umierać, jabym nic przeciw temu nie miała. ale wnukom moim i żonie jesteś potrzebny. a nie desperują że się poprawisz. Bóg łaskaw... Inni doktorowie przy ranach, gdy się jątrzą, radzi na kleiku i na owsiance z grzanką chorych trzymają, nawet mięsa nie dając.

Borkowa, starsza od pani Jaguieszki. której imię było Elżbieta, miała naturę do matki i siostry wielce podobną. Kobięta była stateczna, chłodna, rozważna. w czułości się zbytnie nie wdająca, surowego obyczaju i skąpego słowa. Z nią pan Wilczek zabawy żadnej mieć nie mógł, bo się nigdy ani uśmiechnęła nawet, a że go winnym znała względem siostry, obchodziła się z nim z pewnym wstrętem, którego mu nie taila. Wszelako jak matka tak i ona pilnowały chorego pocziwie. a do przewinięcia rany, do obmycia jęj. do obandażowania nie było jak Borkowa. bo ani wstrętu ni obawy nie miała — rękę pewną i siłę dużą.

Że się przybycie pani Jaguieszki z tak oddalonego kraju, a pono i z dziećmi razem jadącój, opóźniało, pani Wojska, widząc że codzień zięć był chmurniejszym i więcej sobie pobyt przykrzył. nie miała innego sposobu. tylko musiała dla zabawy jego sprowadzić pana Sołotwinę.

Sołotwinę naówczas na kilkanaście mil wokoło znano, bo, uczciwszy uszy, grał po dworach rolę wędrownego błazna. A był to szlachcic i *bene natus* i *possessionatus*, niegdyś pan na dwóch tęgich wioskach, które wraz z kapitałem przez nieboszczyka ojca mu pozostawionym, w niewielu latach z wesołą drużyną przeszastał. I tak dawniej po dworach ze skrzypką na której grywał, i śpiewkami a dykteryjkami jeździł, gromadząc ku sobie takich jakim sam był, tak i teraz nie zostało mu nic tylko w początku kałamazka, potem już z żydkiem lub pieszo wędrować—myśl wesołą niosąc z sobą. Strata majątku i konsyderacyi nic go nie obchodziła. Powiadano o nim, że gdy mu na innej kompanii zbywało, gotów był w karczmie z chłopami się zabawić. Nieraz go gbury poszturchały, a co szlachta, to sponiewieranego człeka za boże nie miała stworzenie. Nieraz go i za drzwi wypchnięto i obito i wylajano;—wszystko Solotwina przyjmował żartując, odcinając się, śmiejąc i nigdy nie dając się pobudzić do gniewu.

Przybycie Solotwiny do jakiego dworn—dzieci, młodzież witała jak najwysmienitszą zabawkę, bo i sztuki pokazywał różne bardzo mądre z ogniem i wodą, i prawił takie rzeczy że się za boki trzymać było potrzeba. A umiał się zastosować zawsze do słuchaczów; przy dzieciach nigdy nie nie-



skromnego nie wybąkał. przy starszych jak statysta trefny różne historye opowiadał, dla niewiast wiersze i piosnki miał jakich dusza zachciała.

Był Solotwina mały. pękaty jak dzbauszek, z twarzą krągłą, nosem zawsze na końcu czerwonym, z oczkami krągłymi, czarnymi, z włosiem na kołnierzu spadającym już przerzedziałym; fertyczny, zwinny, podskakujący, a gdy się do skrzyпки wziął, którą zawsze woził z sobą, najlepszego muzykusa zakasował. Przyczém uczył na różne tony, a w pewnych miejscach, palec zręcznie w usta włożywszy, gębą strzelał jak z pistoletu. Nikt lepiej od niego nie śpiewał żydowskiego Majufesu. sławniej pieśni o pożarze Lnbliu. Grywał téż na drómli cygańskiej, a gdy sobie podochocił, choć otyły, kozaka tańczył z takimi przysindami, iż zdawało się patrzącym, że się w kawałki połamie. Słowem, człek był osobliwy dla rozerwania smutnych myśli, i pewnieby mu nigdy na kawałku chleba nie zbywało, bo go po dworach tygodniami utrzymywano. zwłaszcza że powinszowania, oracye, teksty różne komponował i pisał, ale z tém wszystkiém człowiek był niebezpieczny. Plotki siać, pośredniczyć do bilecików, do panien, usługić w lichój sprawie nie wahał się nigdy, byle na tém co zarobił. choć i guza czasem się trafiło: a przytem nie poszanował nigdy nikogo, nie pokochał, nie przywiązał się. Ze wszystkich za oczy

sztydził, choć się im w oczy kłamał nisko, kłamał jak pióro osmalił i na grosz był strasznie łakomy. choć go zaraz puścił, jakby mu w kieszeni świe-rzbiał...

Sołotwiny do dworn w Żerdzieliszkach nigdy w świecie nie puszczano. i on téż od niego stro-nił, bojąc się pani Wojskiej, która w błazeństwach nie smakowała; przecież teraz, gdy trzeba było melancholią chorego rozrywać, posłano po niego, i pani Borkowa potrafiła go skłonić ażeby na czas przybył. obiecując mu i nowy kubraczek sprawić i talarów parę, jeśli się nieczwie a dobrze za-chował. Choć mu się do Żerdzieliszek nie bardzo chciało, przybył wrescie Sołotwina.

---

Izba w której leżał chory, po nieboszczyku Wojskim, oddawna pusta, dla chorego teraz oczy-szczona i przyrządzona, wcale była obszerną i do-godną. Dwoje okien z niej na ogród wychodziło. było łóżko z pawilonem, stolów i stolców staro-świeckich prostych podostatkiem, powietrza i słońca dużo. Przez sięń tylko pokój jéjności naprzeciw zaraz leżał. Wilczek miał zawsze na wszelki wy-padek chłopaka, który na zydelku u drzwi na zawołanie siadywał, a było-li mu co potrzeba, Pawluczek zaraz do starszój jéjności znać dawał.



Wyjawszy to że napojów mu nie dawano, i ludzi nie widział, nie mógł się na nic skarżyć Choraży— miał wygody wszelkie. Ano ani z Wojską, ani z Borkową rozmowa nie szła, bo kobiety były poważne, a Wilczek już temi kilka latami rozwyrzony. Węc mu jak dziecku popsutemu dla naprawienia humoru sprowadzono Solotwinę. Temu naprzód sama Wojska dała instrukcyą.

— Człek chory, skwaszony, bo rękę utracił w zwadzie. nawykły nadto do wesołego życia. więc żeby teraz nie melancholizował acan go staraj się zabawiać — ino, proszę nie bardzo sobie pozwalać. Ja często gęsto za drzwiami słuchać będę. Jak mi się asan sprawisz dobrze, nagrodzę sowicie...

Solotwina, który ludzi penetrował wnet jak skoro oczyma kogo zmierzył, a panią Wojską znał z reputacyi, sklonił się i czapkę podnosząc do góry, podskoczył fertycznie. nie tracąc rezonu od groźby.

— Jasnie wielmożna Wojska, dobrodziejko moja najlaskawsza — zawołał, pochlebiam sobie że Solotwina znany światu. Gdzie on jest ztamtąd smutki za góry uciekają, dobra myśl, zdrowie, wesele przylatują w gości!! Solotwinę znają dalekie kraje—i zaśpiewa i luknie i potańczy i sztukę sprawi i wierszyk powie i do śmiechu umierającego pobudzi. Lepszy ze mnie lekarz niż niejeden fizyk niemiecki, którego dukatami nie opła-

cię; a ja honorowy człek, szlachcie, nic nie biorę, tylko co łaska panów braci. Z tém się tylko nie kryję, że gardło mi zasycha i odwilżać je potrzebuję, a wszelki kwas i lura mi szkodzi. Przyczem, submitując się, do pacyenta spieszę...

To mówiąc skłonił się i gdy mu drzwi wskazano, na palcach wszedł do izby Wilczka.

Jak żywo Chorąży go niewidział, a nawet jeśli kiedy słyszał o nim to zapomniał, aże mu go nie oznajmiono. zdziwił się zobaczywszy gościa tego, którego kwalifikacyi nie sposób się było domysleć: ofycyalista był, cyrulik, włóczęga—czy lichu go wie co zacz.

Mała ta figurka zwinna, uśmiechnięta, pokorna z ustami już tak do wiekuistego wyrazu wesomości nawykłemi, że smutne być nie umiały—zbliżyła się w krygach i krokach osobliwych ku łożu chorego, skłoniła nisko, wyprostowała i poczęła:

— Mam honor submitować się panu Chorążemu dobrodziejowi, Matensz Aleksey, dwu imion Sołotwina, herbu Kierdeja, dawniej osiadły, dziś swobodny *liber baro.* rozpędzający złe humory; przyjaciel dobrej myśli... Pan Chorąży sobie mnie nie przypomina?

— Nie! odparł zdziwiony chory.

— Ano—dziwu nie ma, gdyż bodaj, że nie miałem honoru nigdy go spotkać, chociaż czcigo-

dnego ojca jego szczyliem się znajomością, i raz byłem przez niego obdarzony nawet.

To mówiąc Sołotwina stołek sobie przysunął i usiadł w pewném oddaleniu, na brzeżku, a że siedzenie było dla ludzi wzrostu większego obra Chowane, nogami nawet zawisł nad podłogą i związał je bardzo misternie razem.

— Cóż-to, pan Chorąży, słyszę, chory? dodał Sołotwina.

Wilczek wpatrując się w niego ciekawie milczał, nie w smak mu był ten drwiącej miny wesolek, przysłany, jak się domyslał, aby go zabawił jak dziecko. Mierzył go wzrokiem dosyć pogardliwym, lecz Sołotwina się tém nie zwykł był zrażać.

— Pan Chorąży, ciągnął dalej gość — może się dziwuje że mnie tu widzi? Jestem obywatelem świata teraz, ani domu ani łomu, peregrynuję dyogenesowym obyczajem od komina do komina, wesolą myśl niosąc z sobą. I mogę się tém poszczycić, że nawet u pana Wojewody, u IMPana Kasztelana, wszędzie po dworach jestem widywany i przyjmowany łaskawie. Przechodząc tedy mimo Żerdzieliszek, choć czcigodnej matrony pani Woj-skiej cale nieznany, zasłyszawszy o rannym bohaterze, za powinność sobie poczytałem pokłonić mu się i w téj samotności służby mu moje ofiarować?

Choraży popatrzał nań.

— Coza służby? zapytał—cyrulikiem acan nie jesteś? doktorem też nie, a i księdzem pewnie jeszcze...

— A! nie księdzem, to nie! rozśmiał się Solotwina, wenerując ten stan i suknię, ale jeszcze w szkołach byłem gdy ze mnie bizunem szatany wyganiano, i mimo to zawsze któryś sobie siedzibę w tym zlepku gliny upodobawszy, przycupnął w nim—więc do stanu duchownego się nie zdałem. Co się tyczy medycyny, téj się nie zarzekam. Trafiały mi się cudowne kuracje melancholii, ba i imych słabości.

— Ale nie ran jak moja! odparł ponuro Wilczek.

— Czemu? Czemu? począł ożywiając się Solotwina. Jest to aksjomatem w medycynie, o czém słyszałem od doktora Anabinsa, iż od dobrej krwi zależy ran leczenie, a od dobrego humoru, dobra krew... Niech mi Choraży uwierzy...

— A mądry byś był, gdybyś mię humorem obdarzył—odezwał się Choraży kwaśno—bo oto i w téj chwili, gdybym chory nie leżał—biłbym kto z brzega!

Solotwina się obejrzał ostrożnie, palcem pokazał na drzwi i chrząknął. Potém rękę przyłożył do ust i cicho rzekł—Babyl!

Wilczek kiwnął głową.

— O ile, począł Solotwina. młode, piękne, wesole a przylepki bardzo bywają zdrowiu i humorowi ludzkiemu pożyteczne, o tyle... Chrząknął, wskazując na drzwi.

To Chorążego usposobiło lepiej dla gościa, nie rzekł jednak nic. Solotwina już myślał czém dalej ma rozrywać melancholika.

— Pieśni pan lubi i muzykę? spytał.

— Daj mi pokój z niemi!

— Figielki mogą okazać całę zabawne...

Sięgnął do kieszeni po kubki.

Naprzykład...

Schowaj to — zawołał nakazująco Chorąży, jam nie dziecko!

Nie zmieszany Solotwina, westchnął i włosy potarł..

— Jadę właśnie od pana Wojewody. rzekł;— stała się u niego we dworze pocieszna przygoda—słyszał pan?

— Zkądże u kata chcesz bym wiedział co się na świecie dzieje, gdym tu zamruwany! zamruczał Wilczek.

— A prawda! Historya godna, aby ją ktoś kumance zapalczywych młodzieńców zapisał w kroniki.

Wilczek milczał. Solotwina mówił dalej:

— Na dworze IM Pani Wojewodziny. jak wiadomo. z wielkiego w Rzeczypospolitej Lanckoroń-Wilczek.

skich domn, bawiła, a raczėj wychowywała się pańienka krwią z nią połączona. wielkiej piękności i nie mniejszych zalet a przymiotów. We dworze IMPana Wojewody zostawał. ćwicząc się u boku dostojnego senatora. młodzieniec niemniej z imienia i mężkich cnót estymowany, nazwijmy go naprzykład... Żubrem, choć innego zwierzęcia nosił godło. Ten tedy Żubr w owėj Europy imienia godnej jałowce. IMPannie Emilii mocno rozkochany. płomienistą ku niėj gorzał miłością..... od zmysłów prawie odchodząc.

Aże francymer Wojewodzinėj w surowej był trzymany klauzurze. do którego przystęp, szczególnie dla młodzieży. cale się stawał niepodobnym, więc rozpacz ogarniała biednego Żubra. Nadzór zaś nad francymerem powierzonym był. niezbyt jeszcze wiekowėj. choć już podżyłej matronie surowej, panie cześnikównie Horbaczewskiej. W jej tedy łaski usiłując się wkraść młodzieniec. ażeby przez nią miał do adlorowanej przystęp. począł się zalecać Cześnikównie. Ta choć może domyslała się kto był celem zabiegów dworaka, sama ku niemu powzięła gwałtowną pasyą. Udając iż pośredniczy między pańienką a Żubrem, utrzymywała chłopca w nadziei. i w końcu pomoc mu swą przyrzekłszy oświadczyła, że pan-na się wykraść da. do czego ona, przez miłosierdzie, dopomódz jest gotową, byle kawaler księdza

miał na pogotowiu umówionego, któryby mu ślub uatychmiast mógł dać.

Cóż się tedy dzieje? Wykrada Żubr suponowaną pannę Emilią nocą, lecą co koń wyskoczy do kościoła. ksiądz zakwefionej (jako było umówiono) ślub daje, stulą ich przy świadkach wiąże, a gdy twarz odsłoniła, okazuje się, że Żubr Horbaczewską zaślubił.

Kłamka zapadła! lament i uarzekanie, ale próżne żale, kawaler wyposażoną Cześnikówną, o lat dziesięć starszą od siebie. musiał się kontentować, z czego wszystkiemu uciecha i nauka wielka, jako po nocy zakwefionych panienek. kota w worku, zaślubiać niebezpiecznie.

Wojewoda i Wojewodzina dla przykładu drugim obstali przytém, aby się małżeństwo utrzymało.....

Tą dykteryjką począł Solotwina, lecz spodziewając się z niej rozweselenia. postrzegł zdziwiony, że Wilczek w ścianę patrzył i cale go nie słuchał.

Gdy zamilkł. Chorąży nań popatrzył z politowaniem.

— A historyja srokatęgo charta pana Podkomorzego. znaną pannu czy nie?

— Z chartami i takiemi błazeństwami daj ty mi pokój—zawołał Wilczek—dobre to przy kuflu, nie na klejkowym sosie.



— Kleik owsiany, panie Chorąży dobrodzieju—przerwał Sołotwina, ma przymioty wielkie. Widzimy moc owsa na koniach, które nim żyjąc ogony przecież zadzierają i człowieka siłą przechodzą.

— Ano do owsa trzeba koniem być — rzekł Chorąży.

I odwrócił się ku ścianie.

Sołotwinie się nie wiodło, lecz nie zdesperował—czekał aż się powoli horyzont rozjaśni, próbując poczynął z różnych beczek, i w godzin parę do tyła rozruszał Chorążego, iż się kilka razy uśmiechnął. Do wieczoru już było lepiej i Wilczek drwił z niego, co mu robiło satysfakcyę. Humor się poprawił, chory rozgadał, błazeństwa zaczynały go śmieszyć.

Tak przeszedł dzień pierwszy, a na drugi gotowe już były podwaliny. Sołotwina przyszedł z gotowym planem, z przysposobionemi dykteryjkami do smaku chorego, który miał czas poprzedzającego dnia rozpoznać. Na baby w ogólności wygadywał straszliwie. Chorąży mu pomagał. Upokarzało go to, że Wojska się okazała wyższą charakterem i energiczniejszą nad niego. Przewidywał, że żona też nadjedzie i miłosierną się dłoń okazując, zawstydzi go.

Sołotwina, choć wprowadzony do domu przez Wojską, obyczajem swoim, gdy tylko mógł, figla

splatać, gotów doń był. Jak tylko dostrzegł, że Choraży coś ma na sercu, począł go na słowo wyciągać. Wojska choć się odgrażała, że podedrzwiani słuchać będzie, wcale o tém nie myślała, widząc sama i wiedząc przez Borkową, że Solotwina nie mógł Wilczka rozechmurzyć i nadto sobie pozwalać nie myślał.

Trzeciego dnia Solotwina i Choraży szeptali z sobą ponownie, w doskonałej będąc komitywie.

— Słuchaj, bratku, mówił Wilczek — ja tu z rany się może wyleczę, ale z młdów i babskiego regimentu — zdechnę. Salwuj mi życie, nagrodzę po królewsku. Jedź do mojej wsi, powiedz ludziom, niech się z dobrze wysłanym wozem nocą pod dwór podkradną zbrojni i mnie ztąd wezmą. Jak tu jeszcze moja magnifika do tych dwu, co tu są, się przyłączy, tomi przepadł z kretesem....

Chociaż niebezpieczną było rzeczą w wojnę z panią Wojską się wdać i przeciw niej w intrygę taką wchodzić, Solotwina nie namyślał się długo. Gdyby się sekret wydał, a jego złapano co najgorzej plagi by mógł dostać na kobiercu. Choraży zaś obiecywał remuneracją usług znaczną i uśmiechało się to, że wścibski mógł tego figla splatać, którego opowiadanie po dworach by w okolo obwoził jak nowaliją.

Cicho więc szepnął Solotwina:

— Pomyślmy—ale sza! bądź pan dobrą myśli. trzeba baby obalumnić!

Nazajutrz poszedł peregrynant do Wojskiej.

— Pani Wojska dobrodziejka mi dozwoli się absentować na dzień jeden. Słowo się dało. miszę.

— Dokąd? poco? gdy właśnie zięcia mi cokolwiek rozruszałeś! dajże pokój!

— Ja wrócę jutro... Chorąży tymczasem nie zakwaśniej mi—rzekł Sołotwina.

Puszczono więc szlachcica. powrót mu zalecając, a ten do karczemki na trakcie się dostawszy. furkę do Maczków wziął i ruszył...

Miał informacją do dzierżawcy zastawnego, że Chorąży z nim gotów dobrą zgodę zrobić. mimo że proces miał nadzieję wygrać. byle go teraz wspomógł ludźmi. i wziął do siebie do dworu.

Proces był na tym stopniu. że zastawnik mógł po nim wyjść bez kosztu. chwycił się więc szczęśliwego składu okoliczności i ofiarował pomoc swoją.

Stanęła umowa. że dzierżawca IMPan Kwaśota z ludźmi dworskimi nocą podjechawszy pod Żerdzieliszki. ogrodem wnijdą pod dom. z kądem oknem chorego na rękach wynieść będzie łatwo. Drzwi sypialni miały być wewnątrz zatarasowane, aby nikt tu wtargnąć nie mógł, a gdyby się Wojska obudziła i opór stawiono. broń ludzie z sobą nieli wieść i stanąć z nią dla odstraszenia—w gotowości.

Tak pocichn o dzień i godzinę się ułożywszy Sołotwina wrócił wesolutenki do Wojskiej. pokorniejszy niż był, submitujący się, całujący stopy i sławiący wysokie cnoty téj „heroiny chrześcijańskiej.“ jak ją nazywał. Nie posądzała go wcale o czarną zdradę. ani się jęj mogła domyslać.

Parę dni nplłynęło spokojnie; — wesoly człeczyna czując zbliżający się termin fatalny, rad się był zawczasu wynieść z Żerdzieliszek. Zrana zawiązał sobie gębę chustką, zrobił minę smutną i cierpiącą. i jako nie czujący się na siłach do spełniania rozweselających obowiązków, prosił o uwolnienie. z tego téż powodu. iż pewnego korzenia. nader na opuchlinę skutecznego, w lesie musiał iść poszukiwać.

Wojska dała mu talara. serek zawiędły, bułeczkę i kawał kielbasy wędzonej na drogę. poczem Sołotwina rękę jęj ucałowawszy drapnął do Maczków.

Przed nocą. choć jeszcze sił miał niewiele. Wilczek. chłopca spać odprawiwszy gdzieindziej. pod pozorem iż chrapaniem mu swóm zasnąć nie daje. dźwignął się z łóżka. drzwi zaryglował sam. okna pootwierał i czekał przyobiecanych oswobodzicieli.

Jakoż z północy stawił się pan Kwasota z dobrze zbrojnymi dziesięcin parobkami; z wozem podjechał pod ogród, furtkę wyłamano pocichn i ludzie pod dwór wtargnęli. Ale w Żerdzieliszkach

gdzie pilność była wielka, stróże chodzili nie tylko przy gumnach, ale i koło dworn, natychmiast alarm zrobiono i co żyło pozrywało się, sądząc że rozbójnicy na dwór napadli. Kobiety przestraszone powybiegały w podwórze wołać ludzi, nim się ci jednak pobudzili i chwycić mogli niektórzy koly, inni rusznice, Kwasota się uwinął ze swyni i Wilczka na wóz wyniesiono. Gdy uchodzących już napadli dworacy kupą, dwa razy do nich na wiatr strzelono, więcój nie było potrzeba.

Drzwi od izby sypialnój zamknięte, okna potwierane od ogrodu wnet tajemnicę wydały. Wojska, która ze wszystkich najmniej była przestraszona i strzelbę z kąta chwyciła na obronę, zrozumiała zaraz nie tylko co się stało, ale kto do tego dopomógł.

— Niechajże ten łotr, zdrajca Solotwina, mija zdala Żerdzieliszki. bo jak go złapię, jakim pocziwa, sto bizunów go nie minie.

W wielki gniew wpadła jejmość na zięcia, że od niej tak nocą, przy pomocy obcych ludzi uszedł jak gdyby go ona więziła nieprawnie i sekwestrowała. Gdyby nie córka, nazajtrrz by była pojechała się kłócić do Maczków; Borkowa ją ledwie uprosiła i wstrzymała.

— Jeżeli myśli łotr ten, że się od nas uwolnił, rzekła stara, myli się bardzo: — żona za nim

pojechać mnsi, gdziekolwiek będzie. i póki rozvodu niema, a do tego nigdy nie dopniemy—będzie nas miał nieodstępnych.

Na nieszczęście opóźniało się jakoś przybycie pani Chorążyněj. Tymczasem owa Rózieczka kółowała po okolicy na pastwę swą czatując. śledząc co się działo, i jak tylko chory do Maczków przybył, drugiego dnia już przy nim się znalazła.

Pani Kwasocie powiedziano, że to krewna jegomościna blizka. więc, choć przystał na to. nie mieszał się do niczego, pół dworu dziedzicowi ustąpiwszy.

Chorąży dopiero odetchnął gdy się na swobodzie nczuł. Tu już kleikowi dawszy za wygraną, zaraz posłał po wino i z Solotwiną celebrował cudowną swą z rąk świekry eliberacyą. Pomagała gadatliwa Rózieczka, która po spotkaniu na gościńcu nienawisć okrutną powziąwszy do pani Wojskiej tryumfowała z tego wyzwolenia.

Mieszkańcy Żerdzieliszek, leżących o miedzę od Maczków. wiedzieli wnet co się tam działo. nie utaiło się więc przybycie pnpilli i jej rozgospodarowanie w domu, ani bytność Solotwiny.

Wojska chodziła chmurna na córkę oczekując.

— Niedoczekanie ich, żeby sobie tu pod nosem naszym gody sprawiali—niedoczekanie!! Choćby przyszło z komornikiem żonie miejsce sobie



przynależne zając, to je zajmnie a pupillę precz wyrzucimy.

Po długiej i ciężkiej podróży przybyła biedna Jagnieszka, dzieci małe z sobą wioząc, bo ich na obce ręce zostawiać nie mogła i nie chciała. Nie-wiasta była mężna, więc choć cierpiała wiele, a to co przed sobą miała równie dla niej straszném być mogło jak to co przebyła, szła na męczeństwo z czołem pogodném.

Sądziła, że męża zastanie u matki, dowiedziała się tu o wszystkiém, i trwoga ją ogarnęła wewnętrzna; lecz wolą {matki było ażeby nie opuszczała stanowiska, sama czuła obowiązek,—nie było się co wahać. Dzieci miała zostawić na pierwszy początek w Żerdzieliskach, a nazajutrz Wojska sama z nią ofiarowała się do Maczków.

— Jeżeli myśli, niepocziwy, że od nas ncie-cze, to pozna dopiero, że my żartów z Sakramentu czynić nie dopuścimy.

Wyprawa do Maczków z pewną uroczyością została przedsięwziętą. Najlepszy powóz, konie najtłuszczejsze, ludzie najśmielsi nżyci zostali, bo się tam wszystkiego spodziewać było można.

Wilczek, choć mu tu było rażniej i weselej, więcej sobie pozwalając i jadła i trunku i wszelkiego poruszenia bo się nienastannie sierdził, odgrażał, krzyczał i miotał, co był w Żerdzieliskach wydobrzył trochę, dostał gorączki zaraz, rana przy-



gojona zaogniła się i tego dnia tak znacznie gorzej być poczęło. że po doktora posłano do pana Wojewody.

W nocy chory stracił chwilowo przytomność i pupilla się mocno przełęka: nsnawszy jednak, nad ranem zbudził się nieco nspokojony—gdy Solotwina wpadł wylekły i oznajmił. że powóz i konie Wojskiój na grobli poznano.

Rózieczka ze strachm i aprehensyi poszła się schować do Kwasoty. Solotwina drapał. bo go doszły groźby pani Wojskiój; przy chorym zostało pachole. a temu rozkaz dano aby Wojskiój nie puszcząć. Samój pani się nie spodziewano.

Wyszedł w ganek uproszony pan Kwasota. który miał napaść odegnąć.

Gdy powóz stanął. kobiety wysiadły. ani patrząc na dzierzawcę i wprost dążąc do środka. Ten im grzecznie drogę zastąpił.

— Jegomość pan Chorąży mocno chory i potrzebnie spoczynku—rzekł.

— To mu go ani żona ani matka żony nie przerwą. dumnie odparła Wojska. ręką odsuwając zastępnącego odedrzwi szlacheica. Idź asindziej—myśmy tu w domu.

Z okna. zza doniczek patrząca Rózieczka. poznała Chorążyńkę. i oczy sobie zasłoniła. Tymczasem kobiety obie szły wprost do pokoju chorego. Słyszac je nadchodzące. jnż i tak podra-

źniony a rozgorączkowany Wilczek kipiał. Żony się domysłał—obaczywszy ją w progu osłupiał.

Wojska szła przodem.

— Żonę waści przywiozłam, ażeby go pielęgnowała, jak jój obowiązek nakaznje, odezwiała się spokojnie. Niegodzi się obcym dać to czynić, co swoi powinni. Byłaby Jagnieszka dawno spełniła co do niój uależy, gdyby dzieci do pilnowania nie miała. Tymczasem one zostaną u mnie, a ona się tu gospodarstwem koło acana zajmie.

Chociaż determinowany zawsze, Wilczek na razie słów do odpowiedzi nie znalazł. Stara mu imponowała. Ile razy ją ujrzał, zdało mu się zawsze że policzek, który od niój dostał, gorzał nanowo. Nie rzekł więc nic, tylko zamruczał i na poduszkę legł, żony nawet nie przywitawszy.

W izbie chorego, w której wprzód Rózieczka przy nim siadywała, pozostawały jój różne manatki, te Wojska starannie pozbierawszy do kupy, za drzwi precz cisnęła, nie mówiąc nic.

Wilczkova stała w pośrodku izby, nie wiedząc co robić z sobą, gdy Wojska zadysponowała.

— Idź-no rozpatrz się zaraz w gospodarstwie i obejmij wszystko, aby ład wprowadzić; ja niedługo tu pobędę bo do twoich dzieci wracać muszę.

To mówiąc i na guiew z twarzy bijący pana zięcia wcale nie zważając, Wojska się zbliżyła do łóżka.

— Pokaż-że no rękę, rzekła. jestem pewna iż opatrywać nie umieli i rana się pewnie jątrzy.

Że tak było w istocie mówiliśmy już, bo i po doktora posłano. Wilczek, choć zły, że mu rana piekła i dolegała, prawie machinalnie rękę nastawił, którą jejmość zaraz śmiało rozwijać zaczęła a gdy ją obnażyła—aż krzyknęła.

— Otóż to waszeć masz korzyść z tego, żeś się na wolność chciał dobyć. Tożto ręka opuchła aż strach i cała w ogniu. a, uchowaj Boże licha, możesz ją stracić lub życie.

— Posłano po doktora! odezwał się Wilczek.

— A co doktor pomoże temu, co się sam nie chce szanować! zawołała Wojska.

Pokiwawszy głową poczęła obmywać i okładać. Wilczek ani syknął zęby zacisnąwszy, choć rana go bolała wściekle.

Gdy się to działo w izbie, we dworze popłoch panował. bo pani Chorążyna z równą matczyną krwią zimną wyszedłszy rządy obejmowała, obchodząc wszystkie kąty, pytając o klucze i ludzi zwalnając. Zmiarkował Kwasota, że się nie obronią i widząc jak rzeczy stoją, poszedł się sam submitować i pomagać.

Rózieczka tymczasem widząc, że tu miejsca nie zagrzeje, płacząc do drogi się sposobila, tymczasowo przytułku szukając w alkierzu u państwa Kwasotów. Desperowała ręce łaniąc. A tu już

głos paui Jagnieszki po domu brzmiał, jak czysty dzwonek loretański. Dysponowała wszystkiem, kazała sobie sprawę zdawać z każdej rzeczy.

Nadjechał doktor niemiec.

Ponieważ jéjmość sama chorego opatrywać miała. szła tedy z nim do łóżka, dokąd się i cyrulik przystawił, aby widzieć co robić.

Doktor Niemiec milczący, nawykły do wielkich dworów, kręcąc nosem wszedł do pokoju chorego i dopiero na łóżku kapelusz zdjawszy, gdy do opatrywania przychodziło, uietykając ręki, cyrulikowi kazał bandażę zdejmować. Widać było z miny, że mu się rana nie podobala. Zaczął tedy na polaków wydziwiał ze szwabska po polsku i żyć mać się, że chorego źle kurowano.

Podstąpiła jéjmość tłumacząc mu, że iéj tu nie było, lecz że na przyszłość ona sama pilnować będzie chorego. byle wiedziała co ma czynić.

Niemiec głową kiwał i mrnczał. Okazało się, że ranę od dzikiego mięsa i nieczystości trzeba było nwalniać z niemałym bólem, ale Wilczek przez hardość dał się krajać i palić nie syknąwszy nawet. Paui Jagnieszka wzięwszy instrukcyę sama i co i jak ma robić, co choremu dawać, czém go karmić, odprawiła Niemca, który na obiad poszedł do Kwasoty, gdzie nanowo polaków łajał i przedrwiwał. Ponieważ tu doktora rzadko widywano, co było zadawaniouych chorób

i guzów zbiegło się do niego, na czém szwab dobrze wyszedł, bo sobie za każdego pacyenta osobno płacić kazał. Tynfy do kieszeni zmiatał i dobry humor odzyskał. Solotwina miał narosć na karku, której żadnóm zielem własnego wynalazku nie mógł rozpędzić, bardzo téż pragnął się poradzić, ale tak się obiecanych bizunów pani Wojskiej obawiał, iż wołał w cieniu pozostać, czekając wieczoru, aby się w świat puścić.

Taż sama ostateczność oczekiwała Rózieczkę, która miarkowała że tu cierpianą nie będzie, a z tego co o Wojskiej słyszała, i najrzawszy przez szparę we drzwiach Jagnieszkę, nie ważyła się stawać z niemi do walki.

Co myślał Wilczek tego się dorozumieć było trudno: ścierpiał wszystko dla rany. dyssymulował dla Wojskiej, dopiero się okazać miał jakim był, gdy żona z nim sama pozostanie.

Izba w której leżał, miała kilkoro drzwi bocznych. a jedne łączące ją dawniej z oddzieloną dla dzierżawcy połową. Przez te szpary i Kwasa i płacząca Rózieczka gotowali się śledzić i podsłuchiwać, co się między małżeństwem dzieć będzie.

Wyjechał w końcu doktor, wybrała się ledwie zięcia słowem pożegnawszy świekra, pani Jagnieszka została sama z Chorążym, porządkując w jego izbie, obok której drugą zajęła dla siebie.

Gdy zostali sami, Wilczek zrazu odwróciwszy głowę milczał długo. Już się miało ku wieczorowi, gdy jęknąwszy i westchnąwszy obejrzał się na izbę. Jagnieszka u okna siedząc pończochę robiła.

— Poco się to jękności aż tu było wlec? zawołał — poco? dzieci męczyć. gospodarstwo rzucić, doczego? niby to ja dozornie miałem? Wać, pani mi tu nie byłaś potrzebna.

— Ale mnie potrzeba było okazać, iż mi jęgomość nie jesteś obojętny—odparła żona spokojnie. Dostyć nas i tak ludzie na języki biorą.

— A mnie to co obchodzi—odparł Wilczek. Tyle z tego pociechy że tam gospodarstwo. jedyna rzecz do której mi się acani zdalaś. dyabli wezmą. Ludzie rozszarpią i rozkradną co jest, a dzieci u pani Wojskiej podziczeją.

— Jużci my tu wiekować nie będziemy, odezwala się jęgomość, acan pozdrowiejesz, zabierzemy się wszyscy na Ruś. Tu siedzieć jak w komornem, nie przystało nam.

— A jak mnie na Ruś się nie zechce? odparł Wilczek. Cóż to, pilno mi ma być popisywać się z tém, że mnie asinidzki amant kaleką uczynił?

Pani Jagnieszka zarumieniła się jak jabłko i dumnie głowę podniosła. W chwili téj podobną była do matki, tak spojrzała groźnie.



— Nie był on nigdy moim amantem — odparła zimno — tego mi nie dowiedziesz. Chowaliśmy się z młodu razem, przywiązałam się do niego. Byłabym z nim pewnie szczęśliwszą niż z człowiekiem, który własnej małżonki i matki swych dzieci szanować nie umie — ale mi waćpan nie zadasz nic... Sam się uderz w piersi.

— A co się ma bić i zaco? rozśmiał się Wilczek. Albo to ja kryję się z czém? Nie chciałam mnie asińdzka kochać jak przystało, musiałem afektu szukać gdzieindziej.

Moja pupilla tu była gdyś acani przyjechała, i jest jeszcze pewnie; a to muszę jój powiedzieć, że chcę aby przy mnie pozostała.

Po tych słowach zapanowało głucho, długie milczenie. Jagnieszka siedziała w oknie jak posąg, tylko jój pończocha, którą robiła, na kolana upadła, i chwilę namysławiając się była jak martwa.

— A ja to waćpanu muszę rzec, że ja z nią pod jednym dachem mieszkać nie będę — rzekła.

— No, to jedź do Żerdzieliszek. zawołał sztydersko Wilczek; najlepiej uczynisz...

— Ja nie pojedę — a jój tu nie będzie — odparła stanowczo Jagnieszka. Sromu domowi memu uczynić nie dam — słyszysz waćpan! Gdy ozdrowiejesz, możesz mnie przysłać, teraz jam tu pani — i co każę stać się musi.

Wilczek.



Wilczek tylko zębami zgrzytnął i głowę odwrócił. Czy się uląkł, czy uczuł bezsilnym, czy zawstydzil, ale nie odpowiedział.

Rozmowy téj zza drzwi Rózieczka owa słuchała i z lamentem odbiegła od nich, prosząc Kwasoty o konie. Nie chciała się oddalać zbyttnio, ale we dworze pozostać obawiała się dla jakiego, uchowaj Boże, despektu.

Po chwili, ponieważ godzina opatrywania rany się zbliżyła, zawołała Jagnieszka cyrulika do pomocy i razem z nim się wzięła do chorego, który twarzy nie ukazując, rękę wyciągnął i dał z nią czynić co chciano.

Zdaje się, że oczekiwał na to aby żona go opuściła i przeszła do swéj izby, bo korzystając z odsunięcia się jéj, szepnął cyrulikowi, aby mu Kwasoty zawołał gdy sam będzie.

Nadeszła jednak noc, a Jagnieszka siedząc w krześle nie odeszła ani na moment od chorego, pié mu podając, oganiając mnchy i w milczeniu posługując.

Kilka razy spać ją odprawiał, ale go nie posłuchała. Kwasota napróżno wyczekawszy do północy, ażali go nie powołają, klnąc poszedł na spoczynek. Chory téż usnął znużony, a pani Jagnieszka całą noc przedrzymała na straży.

I nie nadaremnie, bo Wilczek nocą znown gorączki srogiej dostał, rzucał się, łajał, Otwin-

wskiego wyzywał, Rózi swój wołał, kłał i sadził dyablami aż włosy na głowie stawały. Dopiero nad rankiem zdjął go sen kamienny, tak, że do pół dnia prawie nie ruszając się przespał. Gdy tylko na brzask się mieć zaczęło, jéjmość drzwi pozamykawszy, sama na palcach poszła do gospodarstwa, i Kwasota zawstydził się głos jój usłyszawszy, gdy pospanych ludzi do roboty budziła...

---

O małą milkę od Maczków, w równém od Żerdzieliszek oddaleniu, były naówczas miasteczkiem ochrzczone, do królewskich dóbr należące Przeploty. Jeden z przeszłych gubernatorów dóbr do których one wcielone zostały, zapragnął z nich uczynić miasteczko, ustanowił za przywilejem królewskim jarmarki, ściągnął izraelską ludność aby handel ożywić, pobudowano domy dokoła ogromnego targowiska, wśród którego widać było pod daszkiem stojącą kłodę czyli miarę na zboże urzędową.

Usiłowania te stworzenia miłośnicy, popierane gwałtownie, ale krótko, nie powiodły się i Przeploty pozostały czémś pośredniém między wsią a miastem. Zyskały tylko kilka nbogich rodzin żydowskich, kramiki liche i targowicę, na której kozy izraelskie i krowy mieszczan swobodnie się pasły przez większą część roku.

Tak zwani mieszczenie Przepłotów, dawnego swojego trybu życia i gospodarowania wcale nie zmienili; pozostali rolnikami i więcej się zajmowali polami i łąkami niż rzemiosłami, które dodatkowo stanowiły powołanie. Kilku z nich nosiło tytuł murarzy, cieślów, krawców, szewców i ślusarzy; lecz na prawdę nie biegli byli w swym fachu i rzadko go praktykowali, będąc w nim dyletantami. Czasu żniw i sianokosu żaden się murarz za nic nie podjął obwałonego postawić pieca. Szewcy mieli czeladź, a sami taki woleli chodzić na pola, niż siedzieć do stołka przykuci.

Urosła tylko wielce buta panów mieszczen, czapki nosili wysokie, kolorem pasów poczęli się od prostych włóścian odróżniać, i sukmany ich, z takiego samego sukna szyte co okolicznych wieśniaków, przybrały krój kapotowy.

Na wzgórku, ponad targowicą, z jednej strony był cmentarz, kościół i plebania, z drugiej cały szereg domostw żydowskich połączonych owymi mistycznymi sznurami, które je za jedną całość czasu świąt uważać pozwalają.

Wśród owych zajazdów, przez znaczniejszą część roku pustych, czasu jarmarków tylko na św. Wawrzyńca, na Trzech Króli, na Rachmańską Wielkanoc zapelnionych wozami chłopskimi, odznaczało się domostwo z półpięterkiem, drewniane jak inne, pokażniejsze od nich, należące do

sławnego z bogactw i znaczenia w okolicy Moszka Zabuzkańskiego. Zwano je Austeryą, nazywano także Ratuszem, gdyż ongi ona zastępowała Giełdę miłośnicy.

Ratusz miał chorągiewkę na dachu, z wyrzniętym na niej rokiem 1753, miał malowane okiennice z wyrazistemi ilustracyami szynkownemi; wrota zamykające się szczelnie, z furtką w nich wyrzniętą na dnie powszednie, a Moszko Zabuzkański przyjmował najdostojniejszych gości, nie potrzebując się wstydzic swój piwnicy i sklepu. Handlował on trunkami, bakaliami i w ogóle towaram wszelkim, jakiego okolica potrzebować mogła; handlował zbożem téż, drzewem, skórami i w wypadkach ważnych pieniędzy pożyczął. Moszko był uniwersalnym człowiekiem, nic, na czém tylko zarobić było można, nie czyniło mu wstrętu. Chodził téż w jedwabiach, żona jego miała czołko szyte perłami i kolce dyamentowe, a trzej synowie żonaci tymczasowo przy familiach żon odbywali zwykły nowicyat, już każdy na swą rękę handlując.

Honoracyores nie zajeżdżali tylko do Moszka, było nwlaczajacém stawac gdzieindziej. Nie dziwno téż, że Rózieczka zmuszona się oddalić z Maczków czasowo, szukała tu przytułku.

Przepłoszony Sołotwina, który pieszo był się salwował ujrzawszy Wojską, spotkał nieszczęśli-

wą wygnankę na drodze i przysiadł się na jej bryczkę.

Wzajemnie się pocieszając w tém strapieniu, dojechali do austeryi i tu Rózieczka sobie izbę zajęła w téj sperandzie, że wkrótce ją opuści, gdy jegomość pozdrowieje i do siebie ją powoła.

Sołotwina był pod wrażeniem doznanego strachu, tak że humor jego nieco szwankował.

Niepotrzebował téż mówić wiele i szafować dowcipem, bo piękna Rózieczka, potrzebująca się wygadać i wyzalić, przez całą drogę mella jak w pytlu, opowiadając życie swe, przygody, nieszczenia, losy i spowiadając się z sentymentów.

Kiedy niekiedy tylko Solotwina rzucił słówko potwierdzające, pocieszające, sentencyą jaką lub szyderstwo, którego kobiecina nie czuła.

— Ale to, moja jęmościnniu baby! to baby! panie Boże odpuść, mówił z cicha. Kto się im dostanie w kleszcze, żegnaj się z tym światem. Wilczek sierdzisty człek. nie nkąsić go, ano i tego one zjadły, ani mrumra... Musi milczeć nieborak. Zesłał z téj biedy, niech-no do sił przyjdzie.

— I ja tak mówię; niech tylko odżyje. nie da on sobie po nosie grać — mówiła Rózieczka — ja go znam! Ho! ho! Co za dziw kiedy leży w gorączce....

— Pewnie, mówił Solotwina — człowiek gorzej dziecka gdy go chorobsko złamie. Ano — że baby

odważne i zamaszyste... Słyszałaś asińdzka że na mnie Wojska dekret wydała — sto bizunów! Sto odlewanych!! Ani jeden mniój! Pięknie bym po nich wyglądał? he?

— A co mnie ona na gościńcu nagadała—aż uszy wędły! przerwała Rózieczka— ale niedoczekanie ich! ja się pomszczę! Niech tylko da Bóg pozdrowieje.

— Ja się tam już nie pokażę, westchnął Sołotwina, dopóki porządek w domu nie nastanie. Miałbym go za cztery litery, żeby dał sobie komenderować babom...

Dopiero wyrzekłszy to postrzegł się stary do kogo mówił i usta zagryzł, ale było poczasie. Chciał się jednak poprawić.

— Bo niechże nam króluje kto miłuje — rzekł, nie wstyd słuchać podwiki gdy się niewia-  
stę kocha, a dać się za nos wieść. gdyby się chciało pięścią bić—to już srom gorzej tatarskiej niewoli.

Taką mniój więcj wiodąc konwersacyą, dojechali do Przeplotów. Rózieczka w bryczce, Sołotwina na koszu jój z nogami zwieszonemi i skrzy-  
pką, w czarnym worku pod pachą.

Tu w progu stał słuszny, nie piękny, ale téż nie brzydki mężczyzna młody, plecu szerokich. twarzy niczego, z rękami w kieszeniach. rozpa-  
trując się po miasteczku. Czapkę miał na bakier



ale minę dosyć kwaśną. Gdy Sołotwina zeskończywszy z bryczki zapomniał dopomódz jéjności do wydobycia się z niej, ów nieznajomy galeńko bardzo, nie proszony się zbliżył, a widząc że i stopień był wysoki i kobiéta zafrasowana, nie mówiąc nic ujął ją lekko w pól, a choć piórkiem nie była, jak piórko ją podniósł i na ziemi postawił.

Ta usługa przyjemne widać uczyniła na smutnej wdowie wrażenie, gdyż zarumieniwszy się, wzrokiem wdzięcznym za nią podziękowała.

Młoda niewiasta, musiała téż na grzecznym jegomości uczynić nie mniejszą impresyą, gdyż pokręcił wąsa, czapki nchylił i powiodł za nią oczyma.

Taki był pierwszy wstęp do miasteczka Rózieczki, która tu przytułek znalazła. Sołotwina nie mógł jéj długo kompanii dotrzymywać, raz dlatego, że ją posądzał niesłusznie o szczupłość funduszów, a w tém położeniu zostającym usług swych ofiarować nie mógł; powtóre, iż zadnych widoków innych w miasteczku nie miał. Potrzebował tylko wydychać strach, spocząć i pomyśleć dokąd zwrócić kroki.

Wdowa więc z wyrostkiem i służącą pozostała sama jedna w Przeplotach. Smutném to było dla niej bardzo, a gdy nazajutrz ujrzała w sieniach austeryi owego pokaźnego młodzieńca, który ją dnia wczorajszego z bryczki wysadzał, za-



rumieniła się, niby cofnąć chciała. lecz doznała uczucia miłego.

Sołotwina. który tegoż wieczoru zabrał z nim znajomość. przymówiwszy się do kubka miodu, chociaż nie dowiedział się co zaczął być, opowiadał mu obszernie nie tylko własne dzieje, nie pominawszy obietnicy stu bizunów, ale i historią Rózieczki mu zakomunikował.

Dodać należy, iż jako towarzysz jój podróży starał się wdowę w lepszym nawet świetle przedstawić niżeli ją sam widział. Nie zataił tylko. że była niegdyś uarzeczoną paurą Wilczka, że wyszła za męża. owdowiała — i że miała wioszczykę w Owruckiem — za światem. O Wojskiej, o jój przybyciu, o położeniu Chorążego, wygadał co widział i wiedział tylko.

Młodzieniec słuchał z ciekawością wielką, kilka razy tak się zachwał i rzucił, jakby go ta historia zbliżka obchodziła, ale tragiczność jój to wzruszenie nawet w obcym usprawiedliwiała. Sołotwina miodem się pokrzepiwszy bawił gościa dosyć długo, a gdy w końcu chciał mieć honor dowiedzieć się z kim tak poufale obcował, szlachcic mu odparł z półśmiechem.

— E! co tam jegomości po mojem nieznaném nazwisku, kończy się na *ski*, to po wszystkiém. Mnie tu ludzie nie znają, bom obcy i przejazdem

I tak go zbył, wykręciwszy się sianem. Sołotwina téż nie napierał się tak bardzo.

Nazajutrz miał wędrować już, gdy ów szlachcic go na śniadanie poprosił. Był dzień piątkowy, kazał więc dać śledziów, sera, zakąsek różnych, wódki dobrej gdańskiej, a gdy jeszcze zrobiono jajecznicę i miód wystąpił, tak rażno było Sołotwinie, że mu zza stołu wylazić się nie chciało.

— A wiesz asiūdziej — rzekł mu śmiejąc się nieznajomy ów. że waćpana wdówka, z którą przyjechałeś, całę nie szpetna. Znalazłaby łatwo konsolatora gdyby chciała!

Sołotwina nie zaprzeczył temu. a gdy po śniadaniu dobrze podchmielony wstał i poszedł się z jéjnością żegnać, zawsze mając na myśli Przepłoty opuścić — znalazłszy ją niarkotną, począł pocieszać po swojemu.

— E, co bo asiūdźka tak melankolizujesz, rzekł — sroka z krza, dwie na kierz. Choćbyś i postradała owego Wilka z utraconą łapą, znajdziesz sobie innych łatwo.

— Dajże mi acan z tém pokój! ofuknęła wdowa.

— A, jak szczęścia pragnę, prawdę mówię świętą. ciągnął Sołotwina, oto i ten szlachcic co jéjność z bryki wysadzał. bardzo się coś zaszłapał.

Wdowa się zarumieniła.

— Nie plótlbys!

— Kiedy mi się przy kieliszku przyznał sam—  
rzekł Sołotwina.

Rózieczka zapatrzyła się czegoś w podłogę  
i szepnęła.

— Nie wiedzieć bo co....

— Chłopak całę niczego, i nie można powie-  
dzieć, w głowie umeblowano nieźle—dodał stary.

— Cóż-to za jeden? spytała wdowa, ot tak  
z niechcenia.

— Przyznam się, że przepomniałem nazwi-  
sko—mówił Sołotwina. Znać że w dorobku, ale  
koło niego extra z waszecia. No i przystojny.

Rózieczka wykrzywiła usta—na tém zamknęli  
rozmowę. Sołotwina się opatrzył, że późno było  
iść pieszo do najbliższego dworu, a okazyja furą  
się nie trafiała—zatém na noc pozostał. Potrze-  
ba zjedzenia wieczerzy nie własnym kosztem,  
w godzinie na posiłek przeznaczonój, zbliżyła go  
niby trafunkiem ku stolikowi, przy którym gość  
na *ski* zjadał... Była to mile cebulą z pieprzem  
wonejająca ryba po żydowsku. Wkupując się w ła-  
ski począł od żarcików. przysiadł się stary. i, dy-  
skursywe. po cichu. skłamał, iż wdówka go bar-  
dzo dopytywała o jegomości.

— A cóżes jój asiudziój mógł o mnie powie-  
dzieć, kiedy nie wiesz nic? spytał nieznajomy.

— Znikłuj się dobrodzieju—odparł Sołotwina, ale to właśnie wtenczas kiedy się nic nie wie, najwięcej powiedzieć można!

Rozśmiał się pożywający rybę.

— A tak! dodał Sołotwina—bo człowiek się nie krępuje niczem i może sobie cugle puścić, a panegiryk ciąć strzelisty. Znając kogoś już trudniej, to i owo wstrzymuje, hamuje, zawadza, a tak hulał dusza...

— I jakżeś mnie odmalował? zapytał zapraszając na dzwonko rozochocony szlachcic.

— Farby nie żałowałem—rozśmiał się Sołotwina—zapewniłem ją że possessionatus, z parentelą piękną, i że nie żonaty! Wszak tak.

— A! pewnie! albo bym to ożeniwszy się tak swobodnie mógł po świecie wędrować.

Trzeciego dnia Sołotwina rad nie rad powędrował po śniadaniu, obiecując sobie historią Wilczka zużytkować kwoli naciesze sąsiadów; nie było też tego pana na *ski*, ale ludzie Rózieczki wiedzieli, że on tu jeszcze powróci.

Miałbym moich czytelników za ba i bardzo, gdyby się odrazu nie domyślili że onym nieznany szlachcicem szerokich pleców, a wzrostu dorodnego był pan Otwinowski.

Poco się on tu w okolicy zjawił, tego powiedzieć nie umiem, lecz że palestra po świecie całym nieważna interesu, co za dziw że się znalazł

w tym kącie i że traf, fatalizm jakiś postawił go w jednej gospodzie z rozżaloną, a konsolacyi i opieki potrzebującą Rózieczką. Ta chociaż się sobie zaprzysięgała, że już w życiu chyba nikogo tak kochać nie będzie jak tego szalonego Wilczka, ale—mogła pokochać inaczej.

A Otwinowski, który najdłużej dni trzy miał stać w Przepłotach, pozostał tu tydzień cały.

My zwróćmy się do Maczków, gdzie króluje pani Jagnieszka.

Wilczek drugiego dnia po przybyciu żony zbudziwszy się późno, przetańszy oczy, gdy oprzytomniał a żony przy sobie nie zobaczył, na cyrulika huknął.

Jéjmość rozmawiała w dziedzińcu z Kwasotą, który sobie łaski jéj skarbił. Pierwszém pytaniem było Wilczka, zobaczywszy bałwierza:

— Nie wiesz—czy pojechała?

— Kto?

— Głupis! Któż ma być, Róza....

Cyrulik rękami machnął w dal ukazując:

— Dawuo....

Wilczek się zmarszczył.

— Wołaj mi Kwasoty, rozumiesz. ale tak by jéjmość nie wiedziała.

— A jakże ja to zrobię, kiedy pani z nim gada!

— Co? już! i jego sobie zyskała! zawołał niecierpliwie Wilczek.

Cyrulik ruszył rannionami.

Powiedz Kwasocie niech sobie dobierze godzinę jaką chce, a ja z nim mówić muszę.

— A pocóż się z tém pan ma taić! szepnął doradca.

— Masz rację! wołaj go zaraz!

Cyrulik wyszedł, prosząc dzierżawcy, ale jéjmość jak tylko zasłyszała, że się pan obudził, pociągnęła razem z powołanym. Weszli do izby, aż Wilczek w progu ją zobaczywszy rzekł:

— Chcę z panem Kwasotą się rozmówić sam na sam, rozumnie jéjmość.

Zarumieniona żona powoli do swéj izby odeszła.

— Co waćpan najlepszego robisz! odezwał się ręce załamując dzierżawca, poco drażnić kobietę? Byłbym chwilę znalazł.

— Już ty mnie nie ucz — opryskliwie rzekł Wilczek, — ja téż trochę wiem jak się z babami obchodzić. A po przestanku dodał:

— Pocóżeś wypuścił Rózię? Było ją u siebie zatrzymać, tam przecie się nie rozciąga panowanie jéjmościne? Dokądże pojechała?

— Do Przełotów!

— To dobrze, -- pojedź asan tam i powiedz niech czeka, abym wydobrzył tylko, inny tu ład zrobię; rozumiesz.

Kwasota na migi okazywał, że jejmość słucha i że jej nie trzeba zniechęcać. Wilczek za całą odpowiedź kułak zdrowej ręki ścisnąwszy, ku drzwiom izby żoniną wyciągnął groźno.

— Będzie mądra, kiedy ona tu ze mną wytrzyma, począł mruczeć. Je ona mnie, potrafię ja ją jeść, zobaczymy, kto mocniejszy, — czego chce będzie miała.

Skończył mruczając niewyraźnie i kołdry na sobie rwąc. Kwasota już patrzył tylko ku drzwiom, tak mu było pilno się ztąd oddalić.

Cyrulik też do chorą ręką się dobierał, a le dwie za dzierżawcą drzwi się zamknęły — drugimi weszła już uspokojona jejmość, trzymając flaszkę i bandaż w rękę. Spojrzał na nią Wilczek, nie było widać wrażenia żadnego na twarzy, czoło miała wypogodzone, oczy jasne, szła wprost do jego łóżka, przysiadła się przy nim i poczęła cyrulikowi pomagać — słowa nie przemówiwszy.

Wilczek też przy obcym człeku rozmowy z nią, do której się gotował, poczynać nie chciał. Tylko drgająca konwulsyjnie twarz, marszczące się czoło, wejrzenie groźne, niecierpliwe ruchy zdradzały, że w nim kipiało.

Opatrzywszy rękę, jejmość poszła po ranną polewkę, którą już sama przygotowała, przyniosła ją i grzanki, przysunęła stółek, ustawiła wygodnie śniadanie, opatrzyła czy nic nie brakło



i dopełniwszy tego usunęła się na swe miejsce do okna, w którym zasiadła z pończochą.

Wilczek był głodny, rzucił się więc jeść, na chwilę zapomniawszy o gniewie.

— A co? postawiłaś jéjmość na swoim. wypędziwszy Rózię, odezwał się otarłszy usta.

Milczała pani Jagnieszka. popatrzył na nią mąż, złość go brała tém większa, że mu nie odpowiadała.

— Zabierz że te czerepy, krzyknął odsuwając stółek. Słyszysz?

Jagnieszka wstała składając robotę. podeszła do łóżka. zabrała naczynie, odstawiła stółek, odniosła niepotrzebne talerze do drugiej izby i powróciła na swoje miejsce, zasiadając na niem z pończochą.

— Cóż-to wasani myślisz tu mi na karku siedzieć cały Boży dzień, żebym się jój lepiej mógł przypatrzeć?? zaczął chory.

To mój obowiązek, możesz waćpan czego potrzebować—odezwała się Jagnieszka.

— Toć zawołam gdy zapotrzebuję, ceremonii czynić pewnie nie będę, a ciągle na tę twarz wypominającą mi głupestwo moje patrzeć, to się do zdrowia nie przyczynił

Rozśmiał się złośliwie.

— Siadę więc w drugiej izbie, ażeby zejść z oczów, i drzwi zostawię otwarte, abyś głosu nie zrywał—odezwała się Jagnieszka.

Wilczek mruknął coś niewyraźnego, kłął. Chciał ją rozgniewać, a ta pokora i spokój z jakim mu odpowiadała, do wściekłości go drażniła.

— Idź jak najdalej! krzyknął, idź do miliona kroćset... Bogdajem cię nie oglądał.

Odchodząca już jejmość wstrzymała się i rzekła chłodno.

— Pocóż się burzysz i łajesz? widzisz, że ja po części nawykła do tego, znoszę cierpliwie, a sobie tём szkodzisz. Rana się nie zgoi gdy się będziesz jątrzył dobrowolnie. Doktor spokój nakazał.

— A pocóżeś tu wlaźła, co mi go nie dajesz! Dosyć na ciebie spojrzeć aby gangreny dostać! Zawięzałaś mi życie; jeszcze tego brakło aby gach jejmościen rękę mi odciął...

Jagnieszka zabrała zapomniany kłębszek i krokiem wolnym, milcząc wyszła do swéj izby, od której drzwi otworem pozostały.

Po wyjściu jéj Wilczek się obejrzał; wypędził ją wprawdzie, ale i to mu nie starczyło, dokuczać jéj teraz nie mógł. Na to potrzeba było wynaleźć sposób inny. Krzyknął na cyrulika. Nim on wszedł, ukazała się w progu izby żona.

— Ale ja ciebie nie potrzebuję! zawołał—niech ten przyjdzie kogo wołam.

Z cyrulikiem zwykł był Wilczek grywać w warcaby. Dawniej po całych dniach Różia siadywała

Wilczek.

obok na kufrze, a ichmość się rozprawiali w tę grę, przy której różne się wiodły rozmowy.

Posłuszny felczer przywłókł się ustawując warcabnicę. Wilczek umyślnie głos podniosłszy, począł z nim gawędę.

— Kiedy Róża wyjechała? zapytał głośno.

Cyrulik wskazał na drzwi otwarte.

— Co, milczysz? Boisz się? Nic ci się nie stanie. Sekretu przecie niema, że jójmość tamta mnie pilnowała w chorobie, i daleko lepiej niż ta, którą tu licho przymiosło.

Cyrulik truchlał, Wilczek się śmiał.

— Tamto bo była kobiéta jak ja lubię, mówił głośno Chorąży, z którą i pożartować było można i pośmiać się i wesołe słowo od niej posłyszeć. He? prawda? Cóż ty, ośle jakiś, milczysz. Juściż nie inaczej trzymasz, tylko tak jak i ja. Kwasota téż, ba i wszyscy jój żałować muszą. A no — nie martwcie się, wróci, chybabym nie żył!

Cyrulik błagające miny robił napróżno.

— A to miła rzecz dla mnie—mówił Wilczek coraz się podżegając, patrzeć na panią Chorążynę, co chodzi skrzywiona jak środa na piątek! Oj! miła! bogdajbyś był w mojej skórze, zobaczyłbyś jak to słodko nienawistną twarz mieć nieustannie przed oczyma.

Na warcabnicy co się podówczas działo, cyrulik już nie wiedział; grał tak że mm Wilczek

bił ciągle, po dwa, po trzy, i śmiał się. Lecz śmiech to był straszny, zły, wrzący, żółcią zaprawny....

Nawygadywawszy tak z godziny, odprawił cyrulika i warcaby precz, zapytawszy tylko czy Kwasota wyjechał.

— Jeszcze nie—odparł, rad z uwolnienia, zmęczony gracz.

— Powiedzże mu odemnie, niechaj dla jójności do Przepłotów zawiezie co trzeba na kuchnię i nakaże Moszkowi aby jój dostarczał, czego tylko zapragnie.

Umyślił i to powiedział Wilczek. aby żonie dogryźć. Z drugiego pokoju ani głos, ani najmniejszy szmer slyszeć się nie dał, któryby dozwolił Chorążemu pocieszyć się tém, że żonie dojadł do żywego. Płakała biedna kobieta cichemi łzami, a gdy się w niej zburzyło wszystko i buchnąć miało, modliła się, usta zatykała chustką, aby kat głosu nie posłyszał.

Nadeszła godzina obiadu, znowu Chorążyna zjawiała się z talerzami i jadłem. Wilczek wydziwiać począł.

— A idźże ty mi do trzechset dyabłów z kleikiem twojej matki, dosyć mnie nim nakarmiła w Żerdzieliszkach. Barszcz mi daj i kawał mięsa. Cóż ty chcesz mnie ze świata zgładzić, abys przedzój gacha dostała! a no, jako żywo, mnie kijem nie dobijesz... Dawaj mięso...

— Doktor nie pozwolił—odezwała się Jagnieszka cicho.

Wilczek gniewny, wszystko co na stołku było przygotowane, ręką uderzywszy, na ziemię obalił i talerz chwyciwszy cisnął nim za żonę.

Machinalnie zasłoniwszy się rękami, raz ów odwróciła od głowy i mały tylko czerep zadrasnął jej skroń, z której krew się pokazała. Z przestrachem nie o siebie, ale o rozgłos w domu, Chorążyna natychmiast chustką ucisnęła czoło, i schyliła się czerepy zbierając w milczeniu.

Chorąży krew spostrzegłszy nieco się zmieszał i zamilkł... Tymczasem jejność coprędzej zgarniała potłuczone farfury, wynosząc je do drugiej izby; wytarła ścierką podłogę, odstawiała stół i wyszła nie mówiąc.

W kwadrans potem głos grzmiący się rozległ po domu.

— Dawaj jeść! słyszysz! Cóż ty mnie tu głodem przyjechałaś zamorzyć. Jeść!

— Mogę dać tylko to co doktor pozwolił — rzekła z progu Jagnieszka.

— Bodajesz z doktorem razem przepadła—dawaj co jest.

Nauowo więc przynieść musiała jedzenie żona, a Chorąży łajac i klnąc połykał co mu zastawiono.

Nadzwyczajna cierpliwość kobiety czyniła na nim wrażenie to, że budziła złość coraz większą;

drażniła go blizna na czole, którą sam, cisknąwszy talerzem, zrobił przed chwilą i to, że się na nią nie poskarżyła.

— Zawiażże łeb — odezwał się w końcu, nie chwał się z tą blizną. Radabyś aby cię tu beatyfikowali jak męczennicę, bo nie wiedzą co za ziółko z jejności. Taka baba świętego by do wścieklizny przyprowadziła...

Jagnieszka zawiązała chustką głowę.

— Cóż chcesz abym czyniła — odezwała się w reszcie. Mów, uczynię.

— Mówiłem byś mi z oczów precz szła. odparł Wilczek. Do Żerdzieliszek, do Żebrów, na kraj świata, byle mi z oczów.

— Tn miejsce moje! odparła żona.

Wilczek splunął i odwrócił się. Jagnieszka wyszła do drugiej izby.

Najstraszniejszą rzeczą było może to dla niej, że słyszała wkoło szemrzących ludzi, którzy na te sceny podedrzwiami nadstawiali uszy. Rumieniła się za męża — wstydzila się za siebie; dzień wydawał się jej wiekiem męczarni.

Nie wiedziała o tém jednak, że gdy w początku wszyscy tu we dworze stronę Chorążego trzymali przeciwko niej i Wojskiej, starczyło tego dnia jednego, aby dla niej litość obndzić a wstręt do oszalałego człowieka. Żona Kwasoty słuchając za-  
lewała się łzami, a że mąż jój z początku pró-



bował trzymać stronę Wilczka, pięściami mu groziła, wołając, że wszyscy oni są tacy — tyrani i despoci. W końcu też i Kwasota, dla świętego spokoju w domu, począł się uakłaniać do uznania winy Chorążego, nagaśniał obejście się jego z żoną, ale przypisywał je chorobie i wypływającemu z niej rozdrażnieniu.

Żona Kwasoty powziawszy sympatyą dla nieśczęśliwój Chorążyny, będąc niewiaścą dzielną, zaraz poszła do niej z ofiarą usług i pomocy. Jagnieszka podziękowała jój grzecznie, ale żadna skarga na męża z ust się jój nie wyrwała, a gdy coś uapomknęła Kwasotowa o złym humorze chorego, odezwała się spokojnie, zmuszając do uśmiechu.

— Co za dziw moja kochana pani, że człowiek trochę zawsze prędko, z tój biedy czasem od znisłów aż odchodzi. Trudno mu to mieć za złe. Pani to wiesz, że swojemu dużo trzeba przebaczyć. Przejdzie i to...

Następnych dni widząc Wilczek, że złość się na nic nie zdała, a łajanie skutku nie ma, zamknął usta i milczał jak mur. Nie odzywał się do żony, nie gadał prawie do cyrulika, odwracał twarz do ściany, leżał całemi godzinami jak uspio-uy. W końcu Sołotwina mu przyszedł na pamięć i spytał o niego. Powiedziano mu, że pierwszego zaraz dnia umknął. Zapragnał mieć go dla rozrywki. Ponieważ nic w tém zdrożnego nie było,



jéjmość posłała aby go szukano, a że Kwasota napomnął iż się bizmów przyobiecanych obawiał kazano go zapewnić, iż może przybyć bezpiecznie.

Nielatwa to jednak rzecz była Sołotwinę znaleźć, prawdziło się na nim przysłowie — szukać wiatru w polu. Rzadko gdzie się dłużej zatrzymał, a w pielgrzymkach swych nie miał żadnego stałego planu. Człowiek więc który za nim został wyprawiony, błąkać się musiał od dworu do dworu, pytać i języka nawet z trudem mógł dostać. Tysiąc okoliczności wpływało na wędrówki tego jegomości: pogoda, przyjęcie, festyny o których zasłyszał, a na które nieomieszkał się stawić, wreszcie humor jego i — zabobonność. Niekiedy, spodziewając się jakiegoś nadzwyczajnego szczęścia, ciągnął na węzelki dokąd mu iść należało za wysnionym podarkiem magnata, który sobie obiecywał.

Tydzień téż upłynął nim nareście można było Sołotwinę wynaleźć i nakłonić aby się udał do Maczków. Dla ostrożności jednak i na wszelki wypadek drogę taką obrał, ażeby terytoryum Żerdzieliszek ominąć.

— Babie wierzyć nigdy nie można, mówił w duchu — mąż się natknę na nią przypadkiem, każe położyć i wlepi sto odlewanych...

Więc choć miał towarzysza i obrońcę, poszedł manowcami i nie odetchnął, aż Żerdzieliszki za sobą zostawił.

---

Niewiele lat jeszcze nłynęło od śmierci nieboszczyka Chorążego, a już nowe rządy pana Michała dobrze się majątności czuć dawały. Hulał i pieniądzeni rzucając jak plewą, stracił dno Wilczek, interesa poplątał, skryptów nawydawał, a że procentów nie miał zwyczaju płacić, a terminów nie pilnował, rosły dług straszliwie. Wśród tego bezkrólewia żwawsi wierzyciele pozywali i otrzymywali kondemnaty.

Oprócz procesu na Maczkach, który jeszcze stał jako tako, były inne zaniedbane na owruckiej wiosce i na nadteterowskiej.

Z Chorążym rozważnie o sprawie mówić nie było podobna, gorącował się, łajał, brał za obrazę gdy mu się kto o pieniądze upominał. Ludzie jak to pospolicie mówią, mający nosy, zwąchali już tu ruinę, na którą jak krucy na pastwę zawsze są lecieć gotowi.

Energiczne wzięcie się, rozzumny zarząd majątków byłby mógł fortunę uratować, lekceważenie następstw groziło zupełnym wywrotem. Niektórzy wierzyciele, zmówiwszy się z sobą, gro-

zili zajęciem majątków. Wilczek śmiał się, tymczasem dekreta po dekretach następowały, a źli ludzie z choroby i kalectwa korzystali.

Wiedziała pani Jaguieszka o tém co się święciło, ale do interesów prawnych się mieszać nie mogła i nie chciała.

Wilczek od czasu jak zachorował, nie myślał o niczem tylko o swój ręce i prędkim wyleczeniu się.

W Żytomierzu sprawy swe powierzył był pokornemu kauzyperdzie, niejakiemu Pętłakowskiemu, który miał dwa nieszczęśliwe w juryście przymioty: małą głowę i zajęcze serce. Niewiele rozumiał, a bał się wszystkiego. Na prowadzenie zaś spraw, które grosza wymagały, jako człek niedostatni i trwożliwy, grosza tego ani chciał wykladać, ani go miał wiele.

Co o sumieniu jego trzymać było trzeba — to się zaraz okaże.

Po wyjeździe pani Jaguieszki i rozsianych pogłóskach o niebezpiecznym stanie zdrowia Chorążego, gdy coraz naciskali interesowani, zrozpaczony Pętłakowski, po długich namysłach, nie nie umiał innego z siebie wydobyć nad to, że mu należało jechać cożywo do Chorążego, aby od niego wziąć rozkazy i pieniądze. Ruszył więc w tę podróż Pętłakowski, i jednego dnia, przez drogę jeszcze bardziej nabrawszy strachu, przybył wie-

czorem do Przeplotów, gdzie postanowił przemocować, aby nazajutrz w przyzwoitem ubraniu i godzinie stawić się przed swym jurysdatorem (tak go dosyć niewłaściwie nazywał).

Wioząc papiery prawne, o których całość się obawiał, Pętlakowski dla bezpieczeństwa zajechał do najlepszej ansterji, do Moszka.

Przez drogę wymilczawszy się i wydrzymawszy do zbytku, niezmiernie był rad, że znalazł jakiegoś przyzwoitego człowieka do rozmowy, usposobionego. Był nim pan Otwinowski.

Poznawszy się potrosze, siedli razem wieczorem do niepoczesnej wieszery, jaką im mogła dać pani Moszkowa. Powtarzała się ona codziennie z mełami wariantami, a podstawą jej była zawsze jajecznicą i ryba po żydowsku. Pętlakowski, w którego powołaniu była wymowa, mówił łatwo, chętnie i nietylko dno ale nadto.

Nie było nic w świecie łatwiejszego, jak do być z niego co kto chciał. nawet dla najmniejszego człowieka; a zręczny mógł go. jak się wyrażano naówczas, co się zowie wypatroszyć.

Na zapytanie zkąd i z czém jedzie, Pętlakowski rozpoczął jaknajbardziej szczegółowe sprawozdanie.

— Od granic województwa kijowskiego, panie dobrodzieju, to nie lada jaka lokomocya, podróż co się zowie! Ale co obowiązek to obowiązek.

Wziąłem, panie dobrodzieju, na głowę interesa Chorążego Wilczka, a co z niemi mam za utra-  
pienie. jednemu Bogu wszechmogącemu wiadomo.

— Bogate panisko! wtrącił Otwinowski.

— Juściż, pewnie, byłby bogaty, gdyby—ale  
sza! obgadywać się nie godzi. Tymczasem ła-  
twiuteńko z torbami pójść może. Jak Bóg miły...  
Kiedy z tym człowiekiem rozumnie pogadać nie  
można. Nie uwłaczam mu, animuszii wspaniałego,  
grosza nie skąpi, ale gorączka wielka i człek nie-  
pomiarowany. Gdyby tylko to stracił co ma  
w Owruckiem, niewielka by szkoda była, bo to  
nieintratne i pustynne, ale nad Teterowem zie-  
mia, panie, o której mówią. żebyś kapucyna po-  
siał to się kozak urodzi!! A i to może lichu wziąć!  
Długów, skryptów. kwitów żydowskich bez miary.

— Nie, jużby tak źle być miało? spytał Otwi-  
nowski.

— Pan go znasz? wtrącił Pętlakowski.

— Nie. tylko o nim słyszał, bo i tu wioskę  
ma w sąsiedztwie.

— A i na téj proces! dodał jurysta. Jadę do  
niego bo już głowę tracę. Na prawo pieniędzy  
nie daje, a prawa za sobą nie będzie miał nikt  
kto grosza nie ma, to darmo. Wierzycciele sypią  
i kondemnaty nam na kark jak grad padają. a po-  
tém powiedzą—kto winien? ten bałwan Pętlakow-

ski. Przepraszam. nie bałwan—co nie, to nie, ale i Salomon z próżnego nie ualeje. Nie prawdaż?

Otwinowski aksyomat ten potwierdził. Rozgadal się obszernie i do tego przyszło, że adwokat dobywszy zza kontusza konotatki, cały rejestr długów przeczytał, dodając, że o wielu jeszcze pewnie nie wie.

Szlachcic na to głową kiwał tylko i nie zdawał się zbyt zmartwionym ani interesami Wilczka, ani kłopotliwem położeniem Pełakowskiego, bo jadł i pił po młodemu.

— A tom się ja. proszę pani. wczoraj wieczór pięknych rzeczy podowiadawał—począł, siadłszy na stołku, Otwinowski. Przybył tu jurysta pana Wilczka z tego tam Żytomierza! Powiała, że tak się Chorąży zaszastał. iż mu majątki pozabierać mogą, i chyba na łasce świekry i żony zostanie.

Usłyszawszy to wdowa uderzyła w dłoń, chwyciła się potem za głowę i mało nie rozplakała.

— A cóż ja nieszczęśliwa pocznę? zawołała, a toć to ja w nim jednym nadzieję miałam. przyznaję się pannu. Moja wioseczka w Owruckiem też nie bez grzechu... Tyle mi obiecywał!

Ale czyż może być, żeby taki pan wszystko miał utracić?

— E! proszę jójmości, odezwał się Otwinowski, nie tacy jak on z kretesem się pornjno-



wali! Niechaj pani na niego nie rachuje i o nim nie myśli.

— Był moim (tu łknęła) opiekunem!

— Albo to już sobie panimicia innego nie znajdzie zaśmiał się Otwinowski. Niema co desperować, a dobrze zawczasu wiedzieć!

Zamyśliła się mocno pupilla.

— Tyle mi naobiecował. nawet, że jakby się rozwiódł z żoną. toby się ze mną ożenił.

— No, to co? odparł wesoło Otwinowski. tak jakby się tém cieszył — to co? ożeni się ktoś inny. abys jéjmość za mąż iść chciała.

Rozmowa nie posunęła się dnia tego.

A pan Pętłakowski jechał tymczasem do Maczków. Tu przybywszy zmiarkował, że choremu się tak insperate na oczy stawić nie godziło. że należało zasięgnąć informacyi, dobrać godzinę — bo dobrego nic nie wiózł, a w chorobie złą wieść czasem i śmierć z sobą niesie.

Stanąwszy więc u wrót, rozważny Pętłakowski udał się naprzód do Kwasoty, i temu wyspiewał wszystko.

Kwasotowa uznała najłepszém, naprzód wezwać na naradę jéjmość i jój oznajmić o przybyciu tego złowrogiego posła. Wyszła pani Jaguieszka, której jurysta był znany, a zobaczywszy go, już sobie nic dobrego nie wróżyła.



— Z bólem serca, pani Chorażynno dobrodziejko — odezwał się adwokat, *cum moerore* przybywam. Już żem się tu z zakraju świata przywłókł, łatwo się domysleć że nie z korowajem! Bieda, pani Chorażynno, wierzyciele nas obsiedli, jak z pozwoleniem robactwo. Rady sobie nie dam! grosza nie mam! Dobra chęć traćować! co mówię, tradują już. *Periculum in mora!* Musiałem zbiedz wołając o ratunek. *Jam proximus ardet Ucaligon!* Giniemy! tak ni Boże dopomóż!

Łaciny pono nie zrozumiała Chorażyna, ale stanu interesów oddawna się domyslała i przeczuwała go. Na wspomnienie losn dzieci łza się jęj w oczach zakręciła.

— Chociaż mąż mój mocno jeszcze cierpiący i chorobą jest zirytowany, niema co robić tajemnic, gdy interesa są tak groźne. Żal by miał do nas słuszny. Oznajmię o was, i wprowadzę.

W dłuższą się rozmowę nie wdając już, poszła pani Jagnieszka do chorego, który leżał odwrócony do ściany.

— Pętlakowski przybył z Żytomierza, odezwała się. Zdaje się, że potrzebuje dyspozycyi co do interesów.

Wilczek się żywo odwrócił.

— Tego jeszcze brakło? zawołał. Licho go i tu przyuosiło tego głupiego kanzyperdę! Dyspozycyi!

Już ja wiem co za dyspozycyi mu potrzeba? Ssałby grosz aż do szpiku kości.

— Mam go wpuścić? spytała żona.

— A niech przyjdzie, niech przyjdzie, żebym mu dobrze zmył głowę...

Oparłszy się na zdrowym łokciu, Wilczek oczekiwał na adwokata.

Ponieważ od czasu owego pojedynku i rany nie pozwalał się Wilczek golić, wymizerniał mocno i postarzał. Spojrzawszy nań Pętlakowski ręce załamał i krzyknął.

— Co to się z pana Chorążego stało?

— Widzisz! odparł Wilczek, dyabli mnie biorą, a ciebie też oni przynieśli abyś im pomagał. Czegożeś aż tu za mną gonił?

Panie Chorąży dobrodzieju — rzekł z pewną oględnością adwokat. Są różne *dubia*, kwestye, okoliczności, w których rozkazy pańskie były mi potrzebne.

— No, nie obwijaj w bawełnę i nie lżyj, proszę cię — gadaj mi prosto z mostu. Co się tam stało? mów!

Postawiony był w téj alternatywie Pętlakowski, że albo musiał kłamać i dessaymulować, albo chorego jak pałką w łeb uderzyć odrazu całą biedą, jaką wioził z sobą. Oba tryby miały swą dobrą stronę, drugi zaś wydawał się łatwiejszym i sam pacyent do niego wzywał. Rzekł więc

adwokat, macając się po kieszeni wydeptej od papierów.

— Cóż tu rozkładać na półmiski? Żle z nami i po wszystkim. Onoszek zajeżdża w Owrukiem, Brandys i Smoliński z Zawistowskim dobierają się do Żebrów.... U mnie pieniędzy ani grosza... a kondemnaty się sypią jak grad!

— A bodajżeś sto tysięcy d... zjadł z takim swoim gościńcem, człeczko przeklęty! Krzyknął Wilczek. Cóż ty myślisz że ja tu na złocie leżę i pieniądze kuję? A odczego rozum? Nie mogłeś to pożyczyć choć na lichwę?

— Nikt nie da złamanego szeląga! odparł obrażony Pętlakowski, zwłaszcza że sama jejmość była przytomną.

— To już tak? nie mam wiary? zawołał Wilczek.

Adwokat ramionami zżymnął. Nie było już co i mówić,—Wilczek mruczał niewyraźnie przekleństwa.

— Jeżeli o pieniądze chodzi, odczuwała się od progu Chorążyna—jest jeszcze nieruszone wiano moje, a wiem że matka gotowy grosz znajdzie zawsze, trzeba więc to wziąć.

Gdy Pętlakowski spoglądał z radością niewysławioną na Chorążynę, bo mu się jakby niebiosy odsłaniały. Wilczek rzucił się straszliwie na łóżko.

— A! tak! krzyknął — tego brakło żebym ja na waszój łasce był, i żebyście potém wzięły mnie w lepszą jeszcze kuratelę! Niedoczekanie! wolę u żyda na lichwę. Łaski waszój nie proszę.

— Nie jest to żadna łaska, odparła Wilczkowa spokojnie. Sprawa to naszych dzieci, dla nich majątek ratować potrzeba.

— Święte słowa! potwierdził jurysta.

— U ciebie wszystko święte co ci da grosz do pazurów! odparł Wilczek. Ja tego nie chcę. słyszysz. Radź inaczej.

Znikła z progę jejność. wprzód znak porozumienia dawszy adwokatowi, który teraz już z lepszą fantazyą reszty czekał.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Zkądże ja pieniądze mam wziąć? zapytał po namyśle Pętlakowski—zkąd? pytam?

— A odczegoż masz głowę? a doczegożes ty mi potrzebny, jeżeli i na to rozumu nie masz? he?

— Tandem — począł jurysta z nogi na nogę przestępując, wszystko ma swoje granice. Moja głowa, panie Chorąży, jest *de jure*, a nie *de capsu*. Pańska rzecz płacić, a moja prawować się.

Wilczek plmął gniewnie.

— Idź do trzystal! zawołał i do ściany się odwrócił.

To był pierwszy akt dramatu, mieszczący w sobie ekspozycyą. Adwokat postął chwilę, poczekał,

Wilczek.

papiery starannie schował za nadrę i widząc że Wilczek odwrócony nawet nie patrzy, rzekł:

— Nóżki całuję!

Na to nie otrzymawszy odpowiedzi, zdążył kn drzwiami i za sobą je zamknął z przyciskiem.

Kwasota czekał go z przekąską, siedli wzdychając.

— Jak asińdziej Chorążego znajdujesz? zapytał dzierżawca.

— Dużo zarosłym na brodzie i mocno umar-twionym na sercu,—bo łaje okrutnie—rzekł adwo-kat. Już to po prawdzie, nigdy on nie był ba-rankiem, a no teraz, szanując godność jego.—bo-dzie jak kozioł. Choremi się to wszakże prze-bacza...

— Gorący jest!

— Mało powiedzieć! westchnął jurysta. Pra-wda i to, że ja z bakaljami nie przyjechałem, ale co poseł winien?

— Cóżeście uradzili?

— Hm! chrząknął Pętłakowski, kazał mi iść za drzwi?

Weszła pani Jagnieszka, jak zawsze poważna i bynajmniej nie skonsternowana. Na widok jój powstali wszyscy.

— Panie Pętłakowski—odezwała się, z chorym niema co mówić o interesach. Wiele pan potrze-bujesz pieniędzy?

— Ja? ochoczo się poruszywszy zaczął jurysta. Jak najwięcej, pani dobrodziejko, jak najwięcej! co tylko można. Zdam rachunek co do szeląga, do dytki.

Zdawała się jéjmość namyslać.

— Wiesz pan co—przemówiła naostatek. Jest ztąd nie więcej mili do Żerdzieliszek, do matki mojej. Ona lepiej nademnie zna się na interesach, bo miała własne, ciężkie i wszystkie szczęśliwie doprowadziła do końca. Jedź waćpan do niej; tam się ułoży wszystko.

Zamilkła chwilę i dodała:

— Choremu o tém mówić nie potrzeba. Powiesz mu, że będziesz się starał poradzić na to...

Na wszystko się godził Pełlakowski, gdy mu zaświtała nadzieja zobaczenia pieniędzy. Gotów się był natychmiast wybrać do Żerdzieliszek, ale z pokoju chorego usłyszano rozlegający się głos, popierane klątwami wołanie tego—„bałwana Pełlakowskiego.“ Adwokat udał, że atrybutu nie posłyszał i pociągnął do izby, w której Wilczek znowu siedział oparty na łokciu.

— Żebyś téż ty—krzyknął obaczywszy prawnika, tego rozumu nie miał i nie wziął jakiej pół kopy szlachty mojej owruckiej, a nie dał Zawistowskiemu sto kijów za jego szelmostwa?? he? Ja mu je obiecałem dawno...

Tak przywitał nadchodzącego Wilczek.

— Widzi pan Choraży — odparł Petlakowski z flegmą. pan możesz i obiecywać i dotrzymywać takie rzeczy. jako dygnitarz i mąż w obywatelstwie mający znaczenie, to rzecz inna. Ja do tego plenipotencyi nie miałem, i, powiem szczerze, to nie moja rzecz.

— To są wszystko łotry, zbóje, którzy się spiknęli na moję zgnbę. mówił Wilczek, — co tu się z nimi procesować! Krótko, węzłowato. zbicie na gorzkie jabłko—będą znać *mores*.

Petlakowski ramionami ruszył.

— Gdybym ja tam był! krzyknął Wilczek.

— A ręka? odezwał się reflektując prawnik.

Choraży smutnie spojrział na obwiązany, obcięty kłykieć i bolesne westchnienie z piersi mu się wyrwało. Zamilkł.

Ostygnął trochę przypomnieniem swojego kalectwa.

— Więc tak jest źle? zapytał.

— Kryć nie będę. jest źle, niema co mówić, dodał Petlakowski, jednakże nie zdesperowane to rzeczy, jak tylko pieniądze będą.

— A zkadże ja ci ich wezmę? zkad? porwał się gorąco Choraży. Dyabłu duszy nie zaprzędam...

Adwokat palec zwrócił w stronę drzwi pokoju jéjmości i mrugnął.

— A jeżeli chcą dać? szepnął.



— To tak jakbym duszę mą istotnie siłę oddał nieczystej! mruknął posępnie Wilczek. Ty ich nie znasz! o! ty ich nie znasz! Czyhają one na to! chcą tego! wszystko wziąć w garść i mnie w kuratelę!

Jurysta się niedowierzająco uśmiechnął.

— Bodajeś pan zdrow był! rzekł—oto strachu niema.

Wilczek, który dotąd siedział, położył się, jęknął i nie rzekł słowa.

— Cóż my tu, panie Choraży dobrodzieju, wodę będziemy warzyli, przebaknął znużony próżném oczekiwaniem Pętlakowski. Ja długo tu siedzieć nie mogę, w moich penatach niejeden proces na mnie czeka. Tu trzeba się rezolwować prędko—a nie, ja papiery zdaję i klaniam.

— Ani mi się ty waż! krzyknął Wilczek. Znasz mnie trochę. Myślisz że bez ręki, to sobie pod nos dam., kurzyć—ja ci drugą tak dogodzę, że już żadnego w świecie procesu potrzebować nie będziesz. Tak mi Boże dopomóż i bolesna męka Jego.

Adwokat zamilkł. Choć był nawykły do podobnych traktamentów od Wilczka, uczył się przecie w godności swój obrażony.

— Pan Choraży się zapomina! wyjąknął. Klaniam uniżenie!

— Bez fanaberyi ze mną! słyszysz—dodał spokojnie Wilczek. Daję ci przestrożę i co powiedzialem dotrzymam. Pieniędzy weź na lichwę, na zastaw owrucki. na co chcesz, na własne gardło — a procesu mi nie rzucaj! ani się waż. Ja kiedyś przecie wyzdrowieję i wszystko się załatwi. a Zawistowski weźmie później z procentem sto kijów. które mu należą. Ja w tém, gwarantuję!

.Odwrócił się do ściany.

— Co powiedziawszy, piszę się najniższym sługą. Idź spać!

Odprawiony tak sumaryjnie wyszedł Pętłakowski trochę zły, lecz zaraz ochłódł przy maliniaku pana Kwasoty.

Ciemno już było na dworze. gdy na trzeci akt zawołano go znowu do Chorążego.

— Zapomniałem ci powiedzieć, odezwał się Wilczek do niego, że jeśli ty mi się ważysz wziąć pieniądze u mojej świekry, albo u żony, to cię to co Zawistowskiego nie minie.

— Hm—odezwał się spokojnie Pętłakowski—hm. *Contradictio in adjecto*. Rano pan Chorąży mi mówisz. weź z kął chcesz. na lichwę, na gardło. a wieczorem inna piosnka.

— Z kął chcesz. ale nie od tych bab! dodał Wilczek.

— Tego ograniczenia nie było — odezwał się adwokat, i ja pann Chorążemn wprost powiadam, salwować będę interesa jak zmożę. A gdyby mnie to miało spotkać co Zawistowskiego — to pana wsadzę do wieży *in fundum* i takie grzywny wyprocesuję, że się kijów na wieki odechce.

Wilczek chciał się gniewać, ale się roznął w końcu.

— Tęgi jesteś, bo widzisz że ja leżę, a jak wstanę! hej! patrzaj co cię czeka. Babskich pieńdzy i niewoli—nie chcę—rozmiesz ty to??

Pętlakowski miał się kn drzwiom bez odpowiedzi.

Nazajtrz rano pojechał do Żerdzieliszek. Spytał o niego Wilczek. powiedziano mn że się wczora zgryzł mocno, na poty musiał wziąć i w łóżkn leży.

— Jak się wygrzyzie i wypoci niech przyjdzie—zamruczał Wilczek.

Jadąc do pani Wojskiej, adwokat, który jój nie znał, pochlebiał sobie, iż tn. list od córki jój przywiozłszy, nic nie będzie miał do czynienia, tylko zjeść dobre śniadanie i zgarnąć pieniądze. W tém się nieborak mocno przerachował; szczęściem że papiery wziął z sobą, nawykłszy je wozzić zawsze. Wojska list odczytawszy, zasiadła do stolika i zażądała dokumentów.

Oslupiał Pętlakowski, gdy okulary włożywszy, zaczęła mu zadawać kwestye prawne, krytykować dekreta, wskazywać jego własne omyłki — gdy zamiast dobrodusznój świekry, znalazł w niej niebezpiecznego współzawodnika. Zmieniło to zupełnie postać rzeczy. Adwokat musiał się tłumaczyć, a wreszcie żądania swe ograniczyć znacznie. Jednakże po rozpatrzeniu się w dokumentach i w trybie postępowania Pętlakowskiego, jejność nie okazała ochoty powierzenia mu spraw i pieniędzy.

— Wiesz acan co—rzekła chowając okulary— przy dzieciach Wilczka Borkową zostawię; ona mnie tu zastąpi, a ja z nim do Żytomierza jechać muszę. Waćpan prawnik jesteś, nie ujmuję, doświadczony, ale ja dawniej od niego miałam procesa. Nie zaszkodzi moja rada i wdanie się. Sędziowie, często czego dla mężczyzny nie zrobią, kobiecie dokuczliwej akordują. Ja jestem dokuczliwa i znam się.

Wyrok ten wydany nieodwołalnie, dziwne uczynił wrażenie na prawniku; daleko może większe niż obietnica traktamentu Zawistowskiego od pana Wilczka. Nie było się co oponować—skłonił się tylko, trąc czuprynę frasośliwie, a w duchu powiedział:

— Jak Bóg miły, słusność miał: baby są jakich drugich na świecie szukać i nie znaleźć.

Miał jednak nadzieję, że panią Wojską potrafi nchodzić i konfidencyą jęj pozyskać. Mimo to dalsze prowadzenie interesów skomplikowaném się przedstawiało. Wkrótce po otrzymaniu tęj rezolucyi, adwokat pożegnał panią Wojską i powrócił do Maczków. Tu mu zaraz oświadczone, że się o niego domagał Wilczek i że go chorym uczyniono.

Poszedł do izby.

— A co-to, aż na poty musiałeś brać po wczorajszej rezolucyi mojej — odezwał się Choraży. Jakże ci teraz? Nie radbym żebyś przed czasem się do Abrahama przeniósł, boś mi jeszcze potrzebny.

Petlakowski głową potrząsł...

— Jutro jadę, rzekł krótko.

— Szczęśliwej podróży — odparł Choraży — a proszę cię Zawistowskiemu i tym urwipółciom co muie myśla tradować powiedz, że ja do ich skóry wezmę intromissyą. Powiedz im to, niech wiedzą w co grają i co wygrać mogą. Donieś im téż że muie widziałeś, że rękę jedną mam jeszcze—a na nich jęj starczy.

Cały niemal dzień toczyła się podobna rozmowa. dla której, co wyszedł adwokat to go nanowo przywoływano. Wieczorem się pożegnał, wzięwszy ponowione admonicye; nad rankiem już go nie było. Zajechał do Żerdzieliszek, a że Wojska do podróży nie była gotową, pozwoliła mu przodem

jechać; i wyrwał się z téj łaźni tak zmęczony, iż w Przeplotach, gdzie lepszy kontusz mieniał na kitel podróżny, postanowił kilka godzin się przedrzemkać.

I to mu się jednak nie udało.

Ledwie się na sianie ułożył, gdy Otwinowski wszedł z lampką w ręku.

— A co? z powrotem? zapytał.

— Tak, już.

— Z czémże?

Pętlakowski ręce obie pokazał próżne i wymownym ruchem dał do zrozumienia, iż nic nie zyskał.

— Cóż będzie? spytał Otwinowski.

— Co Bóg da.

Lakoniczne te odpowiedzi dopiero po lampce jednéj i drugiéj zmieniły się w regularne i kwieciste opowiadanie. Otwinowski się z niego dowiedział o wszystkiém.

Smutno to jest bohaterowi własnéj powieści odjąć anreolę, jaką nadaje stałość uczucia, lecz miłość prawdy wyznać nam każe, iż Otwinowski wcale na sentyment, jaki dlań była powzięła panna Jagnieszka, nie zaskiwał. Kochał się prawda mocno i gorąco, ale coraz w inném.

Był zawsze szczerym, ale urodził się bałamutem; aże szczęścia jakos do kobiet nie miał, i zawsze mu coś do osiągnięcia celu przeszkadzało.

działo, zakochiwał się łatwo i tracił zaraz głowę. Tak oto i teraz w austeryi się spotkawszy z wdową, odrazu jakimś magnetyzmem pociągnięty ku niej. choć wiedział, że miała inne w głowie i sercu myśli, okrutnie się w nią rozmiłował. I co miał do Piotrkowa powracać interesa pokończywszy, z dnia na dzień wyjazd odkładał, coraz gorzej się bałamucił, wreszcie powiedział sobie, że gotów się z nią ożenić. Może mu wyrządzenie figla Wilczkowi smaku dodawało.

Była to determinacya z jego strony szalona, bo wdowa niewiele mu przynieść mogła, i sama się przyznawała do tego, że pana Wilczka miłowała dotąd. Jednakże wiadomość o jego ruinie majątkowej, miłością tą zachwiała mocno. Powtarzała ciągle:

— Co ja pocznę nieszczęśliwa.

A Otwinowski śmiejąc się odpowiadał:

— Niech-no pani w zwierciadelko się popatrzy. niema się czego frasować.

Przygotowywał ją tak dni kilka. a w końcu jednego dnia zebrało mu się na konfidencyą i rzekł:

— No, co długo mamy gadać — ja się z jejmością ożenię!

Zpoczątku się bardzo wzdragała, wzięła to za żart, odmawiała, drożyła się, a w końcu rzekła:

— No. to zobaczymy. Ja tu pono nic nie wysiedzę — pojedę do domu. przyjeżdżaj wacpan do



mnie. Ja sobie sama, wdowa nieszczęśliwa, rady nie dam.

Stało na tém.

Rozmyślali jeszcze, pocichu się umawiając dui parę, aż jednego rana kazała jójmość zaprzęgać. O mil trzy ją Otwinowski odprowadził i za cztery niedziele obiecał przybyć.

W wigilią wyjazdu Sołotwina się znalazł w ansteryi, gdyż uląkwszy się zapowiedzianego przybycia Wojskiej, drapnął z Maczek. Dopiero gdy się dowiedział, że do Żytomierza wyjechała, odechnął i wracać się zabierał. W czasie krótkiego swojego pobytu w Przeplotach, Sołotwina dowiedział się: *primo*, że Otwinowski gotów był się żenić z wdową, i że wdowa się od tego nie wzdragała.

Naostatek z okropną zgrozą przekonał się (z własnego zeznania jego), iż ten-to sam był Otwinowski, który Wilczka obciął tak haniebnie.

— *Digitus Dei!* krzyknął Sołotwina—i niechże-to ludzie teraz gadają że fatalności niema...

Powróciwszy do Maczków, nie miał nic pilniejszego nad to, by Kwasocie powierzyć tajemnicę... Na oczy widział jak wdowa wyjeżdżała, i że Otwinowski siadł do niej do bryczki, a służącą na swoje wsadził; powiadał że byli w ta-kiój z sobą komitywie. jakby się jutro pobrać mieli.

— A! zmiłuj że się—zawołał Kwasota, o tém nie gadaj Wilczkowi — bo się wściecze. Ja mu sam powiem, że wdowa do domu jechać musiała, a o Otwinowskim gdyby się dowiedział, gotów zwaryować! Dosyć już i tak z nim biedy mamy.

Sołotwina więc język za zębami zatrzymał i bawił Wilczka czém-inném; a ten z niego drwił niemilosierdzie i używał go do tego, aby żonie dokuczać. Kazał mu śpiewać pieśni niedorzeczne, zadawał pytania, na które odpowiedzi przykre jej być musiały, a gdy Sołotwina wygadał się z czém, śmiał się i powtarzać mu kazał.

Pani Jagnieszka, siedząc z pończochą w drugiej izbie, wielu tych lichych konceptów nie słyszała, a tych co ją doszły wcale do serca nie brała. Ale Chorąży chwilami się rozbawiał i z Sołotwiny był rad; a gdy stary się zmęczył, poił go na zabój, aby humor w nim obudzić nanowo. Pani Chorążyna kiedyniekiedy przychodziła odebrać u Kwasotów; tu jednego dnia, gdy się jej nie strzeżono, trafiła na rozmowę o Otwinowskim i wdowie, i—choć cała drżąca dopytywać nie śmiała, dowiedziała się o wszystkiém.

Było to o mroku, nikt nie dostrzegł dwóch łez, które się jej z oczu potoczyły i znikły.

Zabolała ją ta płochosć człowieka, którego innym znała, lecz potem lżej jej było. Widziała w tém dziwne zrzędzenie Boże, które ją nwał-

niało od nienawistnej kobiety przez tego właśnie, co mężowi jój był wrogiem.

Zamilczano długo przed Chorążym o Rózi. Dopiero gdy się zapytał raz Kwasoty, czy jój tam drób i nabiał posyłają do miasteczka, rzekł dzierżawca:

— Niema-bo co i posyłać, już jój tam nie stało.

— Cóż? gdzie! krzyknął niespokojnie Wilczek. Może się kto ważył? mówcie mi zaraz? Baby ją pewnie obsedowały. aż ztąd wypiekły.

Jako żywo—odezwał się Kwasota, nikt jój nie zaczepiał i nie pomyślał o niej nawet, tylko—ot tak—zwyczajnie kobieta słaba: płakała, narzekała, widziała że tu nie ma czekać na co — pojechała do domu.

Znać było po twarzy Chorążego, że go to dotknęło mocno.

— Nie dawszy nawet znać! nie spytawszy, nie opowiedziawszy się mnie! — zaczął mruzczeć. Sama jedna znown taką drogę podejmować!

Kwasota więcj na pierwszy raz mówić mu nie chciał; i tego było dosyć, bo Chorąży wielce się zafrasował i cały wieczór nie wzdychał ale stękał i dyszał okrutnie, rzucając się po łóżku. Rano kazał dzierżawcę zawołać.

— Mój miły Kwasoto—rzekł łagodnie, co mu się rzadko trafiało, byleś mi nieraz pomocnym,

uczyni to dla mnie jeszcze, pojedź do Przepłotów i dowiedz się dokumentalnie jak się to tam z tym wyjazdem miało... Kiedy? jak? co przyspieszyło? Wydaje mi się to prawie niepojętém, żeby tak zerwała się biedna bez racyi.

Dzierżawca przyrzekł pojechać i dowiedzieć się, lecz że nie oznaczył terminu. począł zaraz Wilczek przynaglać, aby co rychlój ruszał i powracał z wiadomością.

Kwasota w istocie miał interes do Moszka i pojechał, choć nie miał się o co dowiadywać. bo wiedział co mu było potrzeba. W mieścinie nowego nie nie napytał. oprócz iż mu żyd z pewném lekceważeniem mówiąc o wdowie, powtórzył. iż z Otwinowskim ciągle miała konszachty. Otwinowski sam w wielkim ferworze i radości. że raz nareszcie do żony przyjdzie, rozpowiadał wszystkim iż się z jójnością żeni.

Gdy dzierżawca powrócił i zawołano go do Wilczka. sama Chorażyna była naówczas u pani Kwasotowej: mogli więc mówić otwarcie i—Kwasota odrazu mu pocichu rzekł, że tam gach jakiś był w téj sprawie.

Zatrząsał się aż Wilczek.

— Co-bo mówisz! Kobieta stateczna i przywiązana do mnie, to nie może być.

Jak nie może być, rzekł Kwasota, kiedy tam

wszyscy bębnią że od niej nie wychodził. i nawet z nią pojechał kawał drogi.

— Ale któż? kto? do kroćstotysięcy! krzyknął Wilczek.

Dzierżawca zmilczał, nie chcąc go dobijać.

— Co tam to ma do rzeczy, kto? Jak mieszek skradną z kieszeni, to tam już niewiele o to idzie kto go wziął, ale że go niema.

— Przecież łotra, co skradł, należy obwiesić przerwał Wilczek.

— A jak się ożeni?

— Mówże kto to ma być? kto?

— Ja tam nie wiem, bom go nie widział, żyd mi tylko nazwisko jego dał i mówił, że — Otwinowski.

Choraży, zwykle jak siarka zapalny i szalony, nazwisko posłyszawszy oczy wielkie wytrzeszczył na Kwasotę, usta otworzył, jak gdyby nie wierzył nszom.

— Otwinowski?? zapytał głosem grobowym, który mu się ledwie dobył z piersi. Ten sam?

— Co ja wiem! Moszko twierdzi, że ten co go Wojska wychowywała.

Wilczek padł na posłanie.

Spodziewał się wybuchu Kwasota, ale to było owo drzewo z przysłowia, co na niedźwiedzia upada; — niedźwiedź ani jęknął. Zatoczył oczyma błędnemu po izbie i dał ręką znać Kwasocie, iż

odejść może. Jak leżał z tym ciężarem na piersi nieruchomy, bezwładny. tak już do wieczoru przeleżał. Zdawało mu się wszystko w świecie obojętném; pytano go — nie odpowiadał; chodzono — zdawał się nie widzieć; żona przyniosła jedzenie — nie tknął go. Wody tylko napił się parę razy, a Jagnieszka wpatrując się w twarz jego, ulękła się jój wyrazu zrozpaczonego. Oczy miał jakby wypalone.

Nie obchodził się dzień jeden bez łajania żony. teraz słowa jój nie powiedział złego; rękę dał opatrzyć. sam ciągle oczy miał w strop wlepione i stękał.

Jagnieszce nawet żał się go zrobiło. Wieczór gdy Sołotwina przyszedł dać dobranoc. Wilczek go ręką chwycił za kołnierz, i ku sobie przygarnął.

— Jedź ty mi do Przeplotów — odezwał się pocichu. Tam się historia stała jakaś, — to niepojęta rzecz; żebyś mi się dopytał jakto było.

Sołotwina do ncha mu się przytulił.

— Zkąd poszło, proszę Chorażego. to ja wiem, bo na to oczy moje patrzyły — zaczął szeptać. Jakiśmy ztąd uciekli przed panią Wojską i jejmością panią Chorażyną, jam się do Przeplotów na bryczce pani Róży uczepił i tak z nią jechałem aż na miejsce. Całą drogę nieboraczka ino

Wilezek.

płakała a klęła, klęła a płakała. To się odezwie zza łez: a! ja nieszczęśliwa sierota! co ja pocznę?—to znowu: bodajby z piekła nie wyleźli.

Takeśmy dojechali do Przeplotów, do Moszka. Stała bryczka, ja zaraz zeskoczyłem, patrzę, we wrotach stoi w boki się wzięwszy drab duży, silny, łeb do góry. Pani się poczęła z bryczki dobywać, bo stopień wysoki był i niewygodny; co zobaczywszy ów szlachcic, poskoczył ku nam. ułapił ją w pól i na rękę wyniósłszy, postawił na ziemi. Ot, jak się poczęło, bo na to oczy moje patrzyły. Więc téż znajomość, konfidencya; a potem już ona w progu stała, on w siemi—i tak godzinami z sobą rozgadywali się.

— Chyba nie wiedziała coza jeden? krzyknął Wilczek.

— A nie! bo z początku i przedemną chytry człek nazwisko taił. A co pan Chorąży chce! co pan chce! *Foemina*, mości dobrodzieju, to jest zawsze, jak powiedział jeden sławny kaznodzieja—*Fe! Mina!* Tylko mina, mości dobrodzieju, mina ale pfe jaka mina...

Tego wyvodu nie dosłuchawszy Wilczek, burknął. Jedź mi się na miejscu dowiedz — jakto było!! Chyba szatańska w tém sprawa. Sołotwina potrząsł głową, dając do zrozumienia, że się i bez interwencyi szatana obejść mogło.



Pojechała tedy pani Wojska dopilnować adwokata do Żytomierza, a o wyjeździe jój Wilczek wcale nie wiedział, bo i tak jój nie widywał. Podróż ta jednak, z wielkim frasunkiem i kłopotami podjęta, wcale się nie poszczęściła. Wojska wiele mogła, ale w miejscu obcém, wśród ludzi nowych, gdzie Petlakowski miał stosunki, była na jego łasce.

Petlakowski zaś przez drogę z myślami się bijąc, do tego przyszedł przekonania, iż baby mu się pozbyć wypadało, zbrzydzić jój interes i psuć we wszystkim, aby się stał jój potrzebnym i sam wziąć mógł wszystko w ręce.

Petlakowski ów, jak był niepozorny, małuski, w potrzebie pokorny, pobożny bardzo, tak cichaczem chodząc różne praktykował drogi. Gdy szeroki gościniec był mu niedogodny, puszczał się na manowce.

Według niego wszystko to tłumaczyło i uniewinniało, że miał pięcioro robaczków, a nie było niepodobieństwa by się liczba ta jeszcze powiększyć nie miała. Dla tych robaczków pracował, dla nich się poświęcał—i oczy do niebios podnosił błagając o błogosławieństwo.

Upředziwszy panią Wojską, pierwszém było staraniem Petlakowskiego, tak jój drogi wszystkie zasiekami pozawalać, aby nigdzie trafić nie mogła. Wiedział już poniekąd z kim miał do czynienia.

nie rachował jednak na taką energią jaką jejmość miała rozwinać.

W pierwszych dniach, gdy się wzięła do interesów, powtarzał tylko pocichu:

— O! knta! knta baba!

Rozpoczęły się chodzenia i roboty. Powołano wierzycieli do układów, ale Pełlakowski im szepnął cicho, aby się mocno trzymali i na żadne się kompromisy nie zdawali, bo co zecheą wziąć mogą. Stanęli więc twardo, wdowa także, nie zrobiono nic—poszły rzeczy na drogę prawa.

Ten adwokat miał przyjaciół, znajomych, wpływy; przed Wojską grał rolę pomocnika, wistocie szkodził jej wielce. Obróciły się więc interesa Chorążego jaknajgorzej; świekra chrypla z gadania, nie dosypiała, nie dojadła, tymczasem owrnęką wieś zatradowano, a do nadteterowskiej przypuszczano szturm. Wysiedziawszy tu kilka tygodni Wojska się przekonała, że sama nic nie zrobi, musiała się zdać na Pełlakowskiego. Obraziła go jednak tém, że pieniądze potrzebne na prowadzenie sprawy zostawiła nie jemu, ale w depozycie u kasztelana Pruszyńskiego, który je miał w miarę udowodnionej potrzeby wydawać.

Pełlakowski zbłądł posłyszawszy ten dekret, lecz zmitygował się.

— Czekaj, jedzo! rzekł w duchu—ja ci za to zapłacę! bekniecie wszyscy...

Z pokorą przystawszy na ten warunek, odprawił panią Wojską do domu.

Co tam się i jak działo, w szczegóły wchodzić nie potrzebujemy, dosyć zawczasu powiedzieć, że Chorażego czekała nieochybna ruina.

On tymczasem leżał z niedogojoną ręką, doglądany przez żonę, zawsze dla niej tak nieznośny jak był, lecz mniej często do wybuchów gwałtownych skłonny.

Ręka z wolna się zaciągała, doktor obiecywał rychłe jój wygojenie, lecz dopóki rana była otwarta, ani się bardzo poruszać ani wyjeżdżać nie pozwalał.

Cokolwiek sił odzyskawszy, Wilczek się przynajmniej, z ręką na chustach, mógł przechadzać po izbie i poruszać, a i to mu było wielką pociechą.

Od czasu jak się o niecnój zdradzie Rózieczki dowiedział, stał się dziwnie milczącym; nie gniewał się, szydził tylko i pogardliwemi doskwierał słowami.

Gdy mu milczenie dokuczyło, brał Sołotwinę do izby, kazał mu piosenki przeciw niewiastom śpiewać, powtarzał je i zawiązywał rozmowy zjadliwe, w których nie oszczędzał płci białej.

Wszystkiego tego jójmość z drugiej izby, prześiadując w nią, bardzo często godzinami całemi

słuchać musiała, niekiedy jednak zuaku nie dała by to ją obeszło.

Spory z mężem w początkach tak gwałtownie przez niego wywoływane, ustały. Burknął czasem, ofuknął, polajał, a nie otrzymując odpowiedzi rychło ustawał.

Biednej kobiecie nudziło się straszliwie samą, tęskniła za dziećmi, w których całe jej życie tkwiło. Gdy czasem ze wsi chłopki przychodziły za interesami do dworu, przynosząc dziatki z sobą, a trafiło się, że pani Jagnieszka je u Kwasotowej spotkała, szła do tych biednych chłopiąt, patrzyła na nie i łzy się jej z oczów toczyły, przypominając swoje tak jak osieroczone. Choć siostra, pani Borkowa, pilno ich tam strzegła i krzywdy nie miały, ale któż dzieciom matkę zastąpi?

Chorażyna trwożyła się zazdrośnie o to, że się one do siostry jej przywiążą, że o niej zapomną.

Często donoszono z Żerdzieliszek, że się chłopcy dobrze mieli—to jednak nie starczyło Jagnieszce. Byłaby pojechała do nich, lecz męża się nie godziło odstąpić.

Pisząc do pani Borkowej ważyła się w końcu dodać raz; aby jej kiedy dzieci choć na godzinę do Kwasotów przywiozła. Chłopcy mieli—starszy czwarty, młodszy rok trzeci, ale się dziwnie

bujno i wcześniej rozwijali, a paplało to i swawoliło nad wiek ochoczo i głośno. Już w nich poczyniała grać ta krew ojcowska kipiąca, niepowstrzymana, co i do wielkich czynów pędzi i do złego zagrzewa, jak nią losy pokierują.

Borkowa piękny dzień wybrawszy, młodszego chłopca na kolana wzięła, drugiego posadziła przy sobie i ruszyła z tą niespodzianką do Maczków.

Nakazała ona dzieciakom aby się cicho sprawowały. lecz gdy wysiadać przyszło, chłopcy zobaczywszy nowy dwór, psy w ganku, ludzi, oba głośno poczęli wykrzykiwać. Wilczek znał już we dworze wszystkie głosy ludzkie, nderzyła go wrzawa dziecięca. Chodził właśnie po izbie, otworzył drzwi i nrzał żonę, która wybiegła, instynktowo poczuwszy dzieci, pokłękła i z obu stron objęła za szyję rękami chłopaków. ścisła ich i całowała.

Obrazek ten, na który rzucił okiem, natychmiast trzasnąwszy drzwiami aby nań nie patrzeć, poruszył go niewypowiedzianie. Gniewał się nie wiedząc czego, chciał lajać, nie wiedząc za co, otworzył drzwi powtórnie, ale już w sieniach pusto było, znikły dzieci, żona z niemi pobiegła do Kwasotów, gdzie wesoly hałas, opowiadania i szcembioty słychać było. Wilczek nszu nastawił, serce mu biło.

W izbie z nim był tylko zwykle asystujący mu i błazniący Sołotwina.

— Słuchaj no, stary — odezwał się do niego, zdaje mi się, że jęomości dzieci przywieźli. Pochowali je przedemną. Cóż to jest? Myślałam że mój zbrojca, że ja je zjem! Żeby mi tu zaraz chłopców przyprowadzili.

Gdy Sołotwina wbiegł z tym rozkazem naprzeciwek do Kwasotów, Jagnieszka zczzerwieniała, pobladła, przycisnęła do piersi dzieci i stała niema.

— Niema co, odezwała się rezerwująca Borkowa, jęści mi dzieci trzeba pokazać...

— To ja nastraszy, albo... nie mogła dokończyć Chorążyna, przyszła jej na myśl blizna, którą miała na czole.

— Nie chcesz ty—to ja pójdę z niemi, odparła Borkowa, a że im nie dam nic zrobić złego, możesz być pewną.

To mówiąc śmiała kobieta na ręce chwyciła jednego, za rękę drugiego i natychmiast zabrała się spełnić, co postanowiła.

Jagnieszka patrzyła na nią strwożona. Sołotwina przodem idąc drzwi otwierał.

Wilczek stał wpośrodku izby, widocznie spodziewając się żony z dziećmi, obaczywszy Borkową pokręcił głową i sapnął.

Dzieci, które go już nie pamiętały i nie znały prawie, na widok tego straszego, zarosłego z ręką

poobwiązywaną mężczyzn, przestraszone tulić się zaczęły do ciotki.

Napróżno usiłowała zmusić je aby rękę ojca pocałowały. Młodszy, którego niosła Borkowa, gdy go przytknęła do ręki Chorążego rozplakał się, a starszy rozbeczał za nim. Utnąć ich było trudno.

Chorąży krzywił usta, hamując się tylko dla Borkowej.

— Otóż to widzi jéjmość, jak mnie z łaski mejéj dobrodziejki dzieci kochają. Do téj pory jam ich prawie nie widział.

— A czy to Jagnieszka temu winna? spytała Borkowa.

— To mi się podoba! Któż? ja? Przecie dziećmi nie dysponuję.

To mówiąc chłopcom się przypatrywał, które do niego były dziwnie podobne.

— Dzieci nawet tu w tym dworku napół przez państwa Kwasotów zajęty, pomieścićby nie podobna—dodała Borkowa.

Po pierwszój chwili przestraszn, dzieciaki się uspokoiły, ciekawie tylko wpatrując się w groźną twarz ojca.

Niewiadomo jaka fantazya przyszła Wilczkowi być na nie laskawym. Leżało jabłek kilka na stole, dał po jedném chłopcom. Młodszy przyjął wprawdzie owoc, ale go obu rączkami ścisnąwszy,



wolał z pod oka na ojca patrzeć; starszy opatrzył, ukąsił i jakby go to ośmieliło, wysunął się po pokoju sznurkować.

Stała szabla przy łóżku, którą już Wilczek nie mógł władać, chyba lewą ręką. Wisiały przy niej purpurowe nbarwione rapcie, galonami świecące, chłopak wprost na szablę się puścił i jabłku dając się toczyć po podłodze, oburącz ją porwał, a oczy mu się zaiskrzyły.

Zobaczywszy to Wilczek, cały drgnął, rozśmiał się i impetycznie do chłopca przypadł, jedną ręką tuląc go ku sobie i całując. Dzieciak tak był tą nową zabawką zajęty gorąco, że się nawet nie bronił.

— Prawy Wilczek będzie z niego wolał Choraży—jak zoczył szablę, krew w nim do niej zagrała. Hej! hej! trzeba byś się do niej wziął zawczasu i ojca maikuta wyręczył.

Łza mu się z oka potoczyła i wstał. Borkowa ledwie mogła starszego odwołać od szabli i z obu razem po chwili wyszła do Kwasotów, gdzie ją czekała niespokojna Jagnieszka.

Spojrzały sobie w oczy.

— Wszystko poszło jaknajśliczniej—szepnęła siostra. Spisał się starszy i do szabli pobiegł, ojcu się tém serce rozradowało. myślałam, że go zjé!

Pierwsze to było lepsze poruszenie w człowieku, które z pod popiołów i zgnilizny żywą iskrę dobyło.

Jagnieszka pozostała ze swymi chłopcami u Kwasotów, aż do godziny odjazdu ich. Wilczek już się nie śmiejąc upominać o dzieci, Sołotwinę tylko raz wraz posyłał.

— Idźno zobacz, co oni tam robią. czy im choć jeść dali, bo te baby gotowe ich też morzyć głodem. a to żreć potrzebuje.

Przed wyjazdem Borkowa poszła znowu z chłopcami pożegnać Chorążego. Tym razem zimniejszym się być zdawał. ale w końcu szepnął.

— Niechajby czasem się przetrzęśli... a przyjechali.

Gdy bryczka odchodząca zaturkotała. poszedł do łóżka i położył się, żony już dnia tego nie widząc. Jagnieszka była zarazem smutną. odżywną i niespokojną.

Widok chłopców na myśl jej przywiódł przyszłość ich. życie z mężem tym, wychowanie, wszystkie walki. które ją czekały i męczeństwo nie żony już ale matki, stojącej w dzieci obronie.

Wilczek w Łomżyńskiem. choć u siebie w domu, czuł się obcym, nad Teterowem i Owrukiem był dopiero u siebie. Nudziło mu się coraz bardziej. a że rana się dogajała, siły wracały. ciągle wzdychał do powrotu i podróży.

Nie mógł się téż z tą myślą pogodzić, że szabli wyrzec się musi;—szabli, bez której dawniej stąpić nie chciał. Było to zostać bezbronnym na łasce ludzi, których ani w mowie swój ani w obejściu się nie szczędził nigdy. Jedyną tedy pociechą było lewą rękę wprawiać do władania orężem. Słyszał o tém i widział takich co się lewą bijali, czemużby i on nie miał tego potrafić. Często więc dobywał swój starój przyjaciółki dożywotniój i machał nią, a wywijał. W początkach szło to ciężko i niezręcznie, potém coraz lepiej i raźniej, choć do dawniej wprawy i zwinności jeszcze było daleko.

Na tych próbach fechtowania najgorzej Sołotwina wychodził. Wilczek kazał mu zwykle po obiedzie brać do ręki lada kij i bronić się, a sam nań nacierał. Stary Sołotwina, choć niegdyś nieźle nawet się rąbał, wprawę był stracił, ociężał i już mu to nie szło. Z wielką więc pociechą dla Chorążego bywał regularnie pobity i dostawał kilka płazów po plecach, które potém rozcierał.

— Bo jegomość masz taką ciężką rękę—wolał jęczać, że choć niby łaskawie się ze mną obchodzisz, a przysięglbym że sińce są.

— Bo powinni być! śmiał się Wilczek.

Ręka była zagojona, lecz jedno miejsce, błoną delikatną pokryte, razy kilka się na nowo

otwierało—musiano ostrożności zażywać, bo się zaogniało.

Pani Wojska z Rusi już była powróciła. przebąkując że możeby nieźle było, gdyby Wilczek sam wrócił tam i interesów swoich pilnował.

Stosunek z panią Jagnieszką zawsze napozór był ten sam, chłodny, czasem do rozdrażnienia dochodzący. jednakże Wilczek się mitygował. a gdy z pokorą i spokojem swym zwykłym odchodziła, często za nią długo wzrokiem wiódł i powzdychiwał. Nie spojrzeli sobie w oczy nigdy prawie, a jedno na drugie potajemnie spoglądali, jakby badając wzajemnie. Jagnieszka o mężu przed nikim. nawet przed siostrą. nie mówiła wcale, albo mówiła tłumacząc go i nie dopuszczając przy sobie go obwiniać. Od czasu do czasu Borkowa przyjeżdżała z dziećmi. a Chorąży zaraz dowiadywał się o tego zucha, co się to brał do szabli, i przynosił mu ją do zabawy.

Oba chłopcy, że na nich nie wykrzykiwał i nie połajał nigdy, oswoili się z nim i dokazywali w jego izbie co chcieli. Śmiał się z nich i na chwilę dzieciuniał. Jéjmość przeze drzwi przyglądała się i także uśmiechnęła się nieraz.

Stosunek jednak wogóle pozostał zimny, suchy—przykry. Ani jedno ni drugie pierwszego

roku do zgody zrobić czy nie mogło, czy nie śmiało.

Gdy pani Jagnieszka siedziała u Kwasotów a był Sołtwina, z którym najchętniej gwarzył Wilczek, odzywał się do niego często.

— Widziałeś ty kiedy taką kobietę? Ta, to jakby ten bałwan co go dzieci zimą ze sniegu robią, lód i mróz w niej więcej ~~nie~~. Żeby się rozśmiała, żeby się poruszyła, żeby dała dobre słowo? Nigdy!

— Proszę Chorążego, odpowiadał Sołtwina, jakże można wymagać aby po wojnie—pobity pierwszy rękę wyciągał?

— A któż ją pobił! wołał Wilczek. One mnie pobiły, nie ja ich. Kto tu zwyciężony? Nie one—patrzaj, że przeprowadziły z Wojską co chciały, a ja w kpy poszedłem! Jużci jej do nóg nie padnę, miłosierdzia prosząc. Mam taką naturę, że mi o pokorę najtrudniej! Co nie mogę, to nie mogę.

I tak się po starciu ciągnęło.

Wojska miała ciągle listy i raporta od Pełtakowskiego, który jej nie ukrywał stanu oplakanego interesów, zawsze dając nczuć, że ona w czémś zawiniła, nie dając mu swobody należytój.

Staręj się to znudziło wreszcie.

— Niema na to rady, powiedziała Borkowój. jedź powiedz Jagnieszce niech się zabierają i ruszają, niech sam się do jurysty weźmie. Już też się wylizał, a może go bieda nauczy rozzum.

Pojechała pani Borkowa z tém naprzód do siostry. a gdy ta zamilczała, wdawać się sama nie chcąc, poszła do Chorążego.

— Matka się waćpam kłania—rzekła. Kazała powiedzieć, że nieodrzeczy by może było na Wołyni jechać i interesów dopilnować, bo Pętłakowski zły czy dobry, ale i na niego oko mieć trzeba.

Ponieważ doktor tylko na ocieplone powietrze czekać kazał, a wiosna jakoś wczesna się okazywała, Wilczkowi zaś nawet ze Solotwiną piekielne już dojadły nudy, chwycił się zaraz téj myśli.

— A! na miłego Boga, bodaj jednéj godziny jechać jestem gotowy. Już tego kraju mam póty i téj niewoli w jaką mnie wtrąciło kalectwo.

Z Kwasotą pomówiwszy na prędce, natychmiast dał Chorąży rozkazy do podróży. chociaż rękę jeszcze na chustce nosić musiał bo mu doskwierała. Pobiegła Jagnieszka pożegnać matkę i zabrać dzieci...

Szła tedy kolasa jejmościna w koni cztery przodem, z nią. chłopcami i dziewczyną niańką a służącą; za nią bryka pana Chorążego obłado-

wana i wozik mały z kuchtą i rądlami, bo bez tego naówczas dłuższej podróży odbyć nie było można.

Powoli się wlekli; często uiecierpliwy Wilczek długie dnie wyznaczał na noclegi—i nocy zachwyił. Jechał chmurny i jakby sromając się kalectwa swego, dopiero gdy ku Wołyniowi zbliżać się poczęli, polesia okrażające go przerzuwszy, gdy się kraj ten i wesoły i żyzny a we wszelakie dary Boże obfity ukazał oczom jego, a przypomniał młodość tu spędzoną, poweselał Wilczek, rażniej mu się stało na sercu.

Już ku Żytomierzowi się zbliżając, na popasach i noclegach natrafił znajomych i dawnych towarzyszków wesołego żywota; tu dopiero ściskania się, wrzawa i kielichy musiały występować. Wracala buta dawna i humor ów kawalerski. Każdemu opowiadał ukazując rękę swoją, że to jeszcze rachmiek nieskończony. Bóg miłosierny—mówił—zdybiemy się gdzieś jeszcze. moja lewa uciego już młynca robi, jeszcze mu uszy poobcinam!

Na ostatni nocleg przypadła między pagórkami stojąca karczma ogromna, na wielkim trakcie do której przybywszy z wieczorn Wilczek, rozłasowawszy się w uiej. wrota kazał pozamykać szczelnie i gospodarzowi oświadczył, że nikogo więcej nie wpuści.



Tymczasem. co na wiosnę nie nowina. zerwała się burza z ulewą i piorunami. straszna tak, że i pod dachem niebardzo sucho było. Wilczek. uchowaj Boże piorun. kazał ludziom być w pogotowiu. i sam chodząc po szopie czekał aż się nawałnica skończy. gdy we wrota karczmy walić poczęto i wołać:

— Otwieraj!

Przyskoczył sam Chorąży i odpowiedział. że gospoda pełna. aby sobie szli precz. bo im nie otwiera. Przez szpary wrót widać było knę koni i wozów parę.

Głos z drugiej strony groził i lajał. że wrota wysadzić każe. Odpowiadano sobie wzajemnie. Wilczkowi i tyle nie było potrzeba ażeby go do szalu pobudzić.

Wyrostka pchnął aby mu szablę natychmiast przyniósł i parę pistoletów podróжных. A tu już wrota trzeszczeć zaczynały. bo je z tamtej strony drągami podważano.

— Jakem żyw w łeb palnę jak psu—kto mi się tu krokiem waży! wołał Wilczek.

— Patrz-ino abys sam po lbie nie dostał! krzyknął zapamiętałe podróжны z drugiej strony. Gospoda dla wszystkich wolna.

Ledwie Chorąży miał czas rapcie przypasać i pistolety w rękę wziąć. gdy jedna połowa wrót wylamana z wrzeczadźów. z ogromnym ło-

Wilczek.

11

skotem padła na ziemię, i w téjże chwili Wilczek dotrzymując danego słowa, zmierzzył do stojącego na koniu u wrót mężczyzny—palnął.

W zmroku rozjaśnianym na chwilę błyskawicami postrzegł, gdy dym się rozszedł, że ów napastnik za piersi się chwycił, zachwiał, ludzie do niego skoczyli i z konia walącego się wzięli na ręce. Krzyk i lament dały się słyszeć za wrotami.

— Dobrze mu tak, niechaj nie czyni gwałtu na publicznej drodze! zawołał Wilczek—ma czego chciał. Odstąpił jednak od wrót i nie bronił wnieść pod dach ranionego, jak mu się zdawało, człowieka, gdy posłyszał ludzi jego krzyczących:

— Jezu. Marya! w samo serce!

Mimowoli swój zbliżył się i poznał zbladłą, już trupiejącą twarz—Otwinowskiego.

On to był, jadący na wesele! on, którego nie-szczęśliwy traf jakby naumyślnie wpędził na mściwą kulę Wilczkową.

Choraży poznawszy go, oczom jeszcze nie wierzył; stał osłupiały, jakby w ziemię wrósł. Dopiero po chwili zdobył się na pytanie:

— Kto wasz pan?

— Otwinowski.

Zszedł Wilczek jak obłąkany od wrót do gospody, gdzie żona wystraszona i burzą i strzałem, tuląc dzieci, modliła się drżąca. Postrzegł-

szy męża straszliwie zmienionego domysliła się nieszczęścia...

Choraży był prawie nieprzytomny. Staął przed nią, popatrzył długo.

— Zabiłem! odezwał się—zabiłem! Przeznaczenie było! Bóg chciał! Nie wiedziałem kto...

Jagnieszka nie miała siły zapytać kogo zabił i krzyknąwszy oczy zakryła.

— Zabiłem Otwinowskiego! dodał Wilczek...

Stłmiony krzyk wyrwał się z jej piersi—i płakać poczęła.

Choraży przechadzał się po izbie niespokojny. Burza zaczynała ustawać—myślał długo, posępny, mrużąc sam do siebie.

W pół godziny potem kolasa, bryka, wóz, wszystko w posępném milczeniu wyciągało z gospody na całą noc w dalszą drogę.

Choraży z trupem niechciał pod jednym dachem nocować.

Nie śmiał go nikt zatrzymywać a nie było też komu; strwożony karczmarz pchnąwszy konnego do miasta, zaryglował się w izbie, truchlejąc o własne życie. Ludzie zabitego płakali nad nieboszczykiem.

Siadłszy do bryczki swej Wilczek półsemy, rozgorączkowany, jechał z takimi myślami wijącemi mu się po głowie, jakgdyby rozum od nich miał postradać.

Nie zabójstwo go tak niepokoiło. bo pragnął zemsty i szukał tego nieprzyjaciela. — strwożony był tém zrządzeniem losu, który mu rzucił na pastwę tego człowieka, jakby mówił: — oto masz czegoś był głodnym! W przygodzie téj nocnej, niespodzianej, było coś przerażającego, jakby wdzanie się jakiegoś niewidzialnej siły i pomsta Boża.

Choraży nie rozumiał czy mu to służyć miało na wybawienie czy na zgubę — w sumieniu czuł zgryzotę i obawę wielką. Mimowolnie myśl podnosiła się ku Bogu, modlił się gorąco, łzy z pod męzkich powiek tryskały, zaciskał ręce, jęczał.

W tém osłupieniu jakimś, którego nie pojmował, bo mu nie podlegał nigdy, prawie zapomniawszy o dzieciach i żonie, nie dając ludziom żadnych rozkazów, sam niewiedział jak znalazł się nad ranem w Żytomierzu, a ujrzawszy miasto, dopiero oprzytomniał nieco. Z katedry, z kościoła jezuitów i bernardynów odzywały się właśnie ranne dzwony, wołające na mszę świętą. Mieścina tylko co się budziła. Bryka przeciągała wtedy około muru okalającego kościół bernardyński, na którym stał naówczas, zwrócony w ulicę, obraz śmierci z napisem starym, przypominającym ludziom ich przeznaczenie:

*Śmierć goni, czas ucieka.*

*Bóg widzi. wieczność czeka.*

Choraży spostrzegłszy drzwi w kościele otwarte, wyskoczył z bryczki, nawet się koniom nie kazawszy zatrzymać i wbiegł do środka.

Ksiądz właśnie ze mszą wychodził; Wilczek padł przed ołtarzem krzyżem na ziemię, począł się modlić i płakać.

Sam nie wiedział jak długo tak przeleżał wśród gromadzących się ciekawie ludzi, rozmazany wpół-obłąkany, narzekając i na siebie i na los swój nieszczęśliwy.

Jeden wyrostek tylko towarzyszył mu do kościoła, młakszy się o pana; konie, powóz Chorażyny pociągnęły wprost do dworku przy Wilskiej ulicy. gdyż Jagnieszka, mimo całej siły ducha, znękana upadała od zmęczenia i trwogi.

Gdy się ranna msza skończyła, a Choraży przy pomocy chłopca powstał z ziemi, jakaś odwaga i determinacja gwałtowna wstąpiły weni. Gotów był czoło stawić wszystkiemu co go spotkać mogło.

— Dzień się wola Boża nademną! zawołał.

Nie zwróciwszy się już ku dworkowi za żonę, nie chcąc spoczynku, wprost poszedł Choraży do urzędu zameldować się sam jako zabójca podróźnego, który mu się nocą do karczmy przez niego zajętej dobijał.

Zarazem prawie z nim wieść o tém morderstwie, przez konnego posłańca z gospody, doszła z drugiej strony do urzędu.

Nie było zabójstwo tego rodzaju rzadkością w onych czasach, niekiedy o takie strzały przypadkowe czy nmyślne długie się toczyły procesa (jak między Ciechanowieckimi i Strutyńskimi). często z nich obwinieni wychodzili bezkarnie. Miewała jednak sprawiedliwość paroksyzmy surowości, gdy sprawcą był człowiek, na którego czyhali nieprzyjaciele, czego przykładem dekret na Wołodkowicza.

W podobném jemu położeniu znajdował się Chorąży, na którego oddawna czatowali ludzie przezeń lekceważeni a mściwi. Dla nich była to sposobność pozbycia się człowieka, którego się obawiali. Starczyło samych wierzycieli Wilezka i ich popleczników do podniesienia wrzawy i nawoływania n sądn. aby dało przykład surowy.

Dla wszystkich, których sobie wybrykami dawnemi naraził Chorąży, wieść o popełnioném przez niego zabójstwie była mianą z nieba, radością wielką, tryumfem.

Na przyjaciół nie wiele można było rachować, bo ci dostoją w szczęściu, ale gdy się noga osłiznie — kryją się, aby obżalowany nie pociągnął ich z sobą.

Mógł się więc spodziewać Choraży wrzawy przeciw sobie wielkiej, a mało głosów za sobą. Nie chciał jednak uchodzić sprawiedliwości, ani się kryć od kary.

Gdy pod wieczór, napróżno oczekując na męża, Chorażyna łamała ręce, sama nie wiedząc co ma czynić, nadszedł z lisią miną, zasmucony niaby głęboko. Pętłakowski, zwiastując jej tonem kondolencyjnym, iż pan Choraży sam się oddał w ręce sprawiedliwości i do więzienia inkwizycyjnego został wzięty. Nie tał przed nią pocziwy człek, wyrażając trwogę wielką, że sprawa była bardzo niedobra, ludzie źle usposobieni, a skutki jej mogły wypaść fatalnie.

— Zgrzeszyłbym, gdybym to tał przed panną Chorażyną dobrodziejką, mówił wzdychając i składając ręce. Jedna szczególniejsza okoliczność może wpływ wielki wyrzucić na sędziów — któż uwierzy aby to być miało dziełem przypadku? Zabity był antagonistą jegomości, mieli z sobą do czynienia, powiedzą ludzie iż zasadzka była i morderstwo rozmyślane.

Chorażyna słuchała w rodzaju niemego osłupienia.

Pętłakowski, który zawsze w niej wstręt jakiś obudzał, teraz wydał się jej ze swą bolesciwie skrzywioną twarzą fałszywym, niemal straszny. Zmilkła przed nim nie chcąc się ani roz-



wodzie ani tłumaczyć, ni zwierzać z tém co czynić miała. Zażądała tylko od prawnika, ażeby jaknajprędzej z mężem, chociażby przy świadkach, widzieć się mogła.

Pętlakowski i w tém upatrywał trudności nieprzełamane, dopóki by inkwizycja zupełnie skończoną nie została. Do tej zaś tyle różnych musiano używać osób i świadków. iż rychłego jej odbycia spodziewać się nie było można.

Natomiast. serdeczność wielką okazując prawnik, w sekrecie radził Chorążynie natychmiast na wieś pośpieszać, gdzie jej tradycja groziła, ażeby w razie zajazdu choć mobilja i precjoza ratować mogła. gdyż przy zajechaniu majątku i to przepaść mogło.

Można było sądzić, iż się energicznej pani chciał ztąd pozbyć, tak usilnie o wyjazd nalegał.

Na to mu Jaguieszka żadnej stanowczej nie dała odpowiedzi.

Pętlakowski zakławszy się, iż chorążego bronić będzie tak jakby własnego życia, odszedł zostawując wrażenie człowieka, który knuł zdradę i rachował na nieszczęście cudze.

Pierwsze godziny. dzień pierwszy złamał nieszczęśliwą niewiastę, czuła się bezsilną—wejrzenie na dzieci wróciło jej energią i mężstwo.

Przez matkę wrażony i z własnego instyn-

ktu wstąpienie miała ku adwokatowi, czuła potrzebę innego doradcy i opiekuna. Na nieszczęście przeszłe życie Wilczka odstręczyło od niego poważniejszych ludzi, odepchnęło lubiących spokój i unikających wrzawy a szalu... Jeden Baranowski na myśl przychodził Chorążynie, który, chociaż do zapalczywego myśliwstwa dopomagał Wilczkowi, człowiekiem był (gdy nie polował) statecznym, poważanym powszechnie i zacnym. Bawić się w dobrej kompanii lubił, jak wszyscy swojego czasu, ale usłużyć umiał i narazić się nie lękał. Napisała więc Chorążyna do pani Baranowskiej, prosząc męża jej o pomoc i opiekę...

Pomimo rady Pętłakowskiego, nie chciała ani jechać do Żebrów, ani się od męża oddalać, bo mu się być pomocą spodziewała. Drugiego posłańca natychmiast do Wojskiej wyprawiła wołając jej na ratunek.

Drugiego dnia, chociaż wielce tą tragedją przerażona, Baranowska nadbiegła sama, oznajmując iż mąż tuż za nią podążał.

Znalazła już Chorążynę zbrojną przeciwko wszystkiemu co ją spotkać mogło, gotową do walki z losem przeciwnym w imię obowiązku, zrezygnowaną niemal spokojną. Ten hart jej duszy żywój i namiętnój pani Baranowskiej wydał się niemal chłodem i obojętnością.

Ona zawsze upierała się przytém, że Chorąży wart jój nie był, i że najlepiej go było — porzucić. Ale—o tém i mowy być nie mogło.

Wprędce po żonie nadciągnął i Baranowski, który się z chętną oświadczał pomocą, nie kryjąc z tém, iż orzech był twardy do zgryzienia. Trzeba było starać się pozyskać ludzi, zwyciężyć uprzedzenia przeciw Chorążemu powzięte niemal słyszuie, gdyż porywczosć jego niepomiarowaną i gwałtownosć znali wszyscy. Na pierwszy odgłos o wypadku nieprzyjaciele Wilczka szerzyć zaczęli to przekonanie, że zabójstwo wcale przypadkowém nie było, że Wilczek czyhał na tego wroga, który go obciął i z jego pupillą miał się żenić właśnie. Ukartowaną więc było rzeczą zasiąść uan na gościńcu, wszcząć zwadę i bezbronnego zastrzelić. Zdawało się to daleko prawdopodobniejszém niż nocny strzał do nieznanego człeka.

Ktokolwiek chciał niewinności dowodzić i trafia — odpowiadano mu:

— Dajcież pokój! Mówcie komu chcecie—dziecko temu nie uwierzy. Dawno to było nplanowane, mieli z sobą na pieńku! Otwinowski chciał się żenić z jejmością, której mu nie dano, obciął szkaradnie Chorążego, i wdówkę mu odmówił—to dosyć. Kto zna Wilczka, ten już wie co się tam z nim działo...

Wszyscy nieprzyjaciele Chorążego, których sobie słowy czy czynem naraził, wrzawę podnosili okrutną, krzyczeli, że powinien gardło dać, jako morderca. który zdradliwie bezbronnego w zasadzkę wprowadził.

Korzystając z bezbronności Chorążego. w nadziei że już żyw nie wyjdzie z więzienia. Zawistowski z towarzyszami wnet się wzięli do tradowania Żebrów. jakoś tak rozbroiwszy Pętla-kowskiego. że nibyto się broniąc. biegając. protestując. nic na to poradzić nie mógł.

Pocichm też posłano do ubogiej rodziny Otwinowskiego, aby przybyła instygować przeciw mordercy i domagać się wymiaru sprawiedliwości.

Adwokat o wszystkiém donosił wiernie Chorążynie głosem jęklwym. ze łzami prawie, świadcząc się smutkiem. zaklinając. że na to nie było rady. że on sam tak się już naraził prześladowcom Wilczka, którzy się nań odgrażali, że przez ulicę mu przejść straszno było.

Chorążyna milczała — wiedziała odrazu iż na niego rachować nie mogła.

Zajechano więc jednego dnia majątek nad-teterowski. a że wioska w Owruckiem już była zatradowana, a łomżyńska szła dzierżawą i stała pod procesem nieskończonym z Kwasotą. Chorążynęj pozostał jeden tylko nędzny dworek

przy Wilskiej ulicy i — pomoc matki. Dochodni ani grosza mieć nie mogła, zapasu nie miała, a obrona w sprawie kryminalnej i inne procesa z wierzycielami ciągłych wydatków wymagały.

Pętłakowski przychodził po pieniądze, choć wiedział dobrze, że ich nie było, i tłumaczył się potem iż sparaliżowanym został nie mając ich w porę.

— Wszyscy potem powiedzą — winien Pętłakowski, a cóż on zrobi grosza nie mając przy duszy. Stracę reputację Bóg świadkiem — tyle wszystkiego!

Baranowski, najlepszych chęci człowiek. jak największa część szlachty polskiej, pieniędzy nie miał nigdy, kredytu mało. Cała nadzieja na pani Wojskiej spoczywała.

Z tą znowu, nawet córce sprawa łatwą nie była. Z tego co miała wyzuwać się nie mogła, nie chcąc na łasce dzieci pozostać.

Codzień prawie ktoś do dworku ze złą nowiną i smutną przychodził twarzą. Sprawa jawnie obrót brała niedobry, Pętłakowski coraz dziwniej bałamucił, gadał wiele, a potajemnie ujęty przez wierzycieli Chorążego nie robił już nic. narzekał tylko. Lamentował, sykał, na ludzi składał winę. Pana Boga nieustannie wzywał na świadectwo i w pomoc — rozpaczał, płakał na-

wet niekiedy przed panią Wilczkową, i pewien że się oczyścił. siedział w kątku.

Przed ludźmi jak Baranowski. składał winę wszelką na brak owego *nervus rerum faciendarum*, bez którego, jak mówił. i anioł z trybunału nie wyszedłby cało.

Oczekiwano więc pani Wojskiej jak wybawicielki, a listu od niej i jej nie było tak długo, iż nieszczęśliwa Chorążyna drobne klejnociki, jakie z sobą miała, dla utrzymania siebie. męża i dzieci sprzedawać już musiała.

Czyniła to potajemnie. nie żaląc się. nie skarżąc. nie prosząc nikogo. a że Wilczek w więzieniu o niedostatku wiedzieć nie mógł i kwitki jego ciągle przynoszono—wszystko szło niemal dla niego. Odmówić mu było—narzekałby na opuszczenie. W tej nawale klęsk mnogich pani Jaguieszka zdawała się urastać do bohaterstwa cichego, kryjąc się z tém co cierpiała, okazując oblicze niemal obojętne. skąpiąc słów. krzątając się około dzieci i codzien na każdy turkot zwracając się z nadzieją do matki.

Wojska nie przybywała; posłaniec nie wracał. list nie przychodził. nie wątpiła więc że ją matka nie opuści.

Lecz dnie. godziny stawały się nieprzebytymi wiekami ciągle zawiedzionych nadziei.

---



Inkwizycyjne więzienie nie było naówczas bardzo surowém, dla kogo innego mogły się drzwi jego otwierać i przystęp ludzi potajemnie był możliwy. Wilczka wszakże pod pozorem iż był bardzo niebezpiecznym człowiekiem, popędlivym, przewrotnym, trzymano pod ścisłą strażą. Niechętni mu powiadali, że miał zamiar ujsć aby broić znowu, i że, choć się sam oddał w ręce sprawiedliwości, teraz lękał się jój wymiaru.

Odmawiano więc żonie przystępu do niego, Pełlakowski tylko w obec świadków mógł się widywać z klientem, na co, choć się uskarżał, rad był w duszy z tego.

W początkach determinowany i mężny, pewny siebie, gdy się zamknięcie i sekwestr przeciągać zaczęły, jak każdy człowiek temperamentu gorączkowego, niecierpliwego — przebywszy pierwszy kryzys gwałtowny, na siłach opadać zaczynał, rozpaczał niemal o sobie.

Nie wiedział o tém, że żonie się z nim widzieć nie dopuszczano, bo o niej z obcymi mówić nie chciał i nie pytał nawet co się z nią działo, w przekonaniu będąc, że ona go opuścić, wyrzec się musiała, któż wie, może mścić chciała nawet za krew zabitego.

Po długim milczeniu, wybuchnął z tém raz przed Pełlakowskim, który, choć bronił Chorążynę, czynił to tak mało, nieskutecznie, półgębkiem,



że w Wilczku ntwierdził przekonanie, iż w nięj miał najzjadlejszego nieprzyjaciela.

Nie mówił już nawet więcej o tém, a gdy adwokat wspomniał o nięj, nsta mu zamykał i odezwać się nie dozwalał. Cóż w tém było dziwnego zresztą? Czł sam, że jego obejście się z żoną serca jęj pozyskać mu nie mogło.

— Chce się odemnie nwołnić, bo mnie zawsze nienawidziła. Jak mi łeb zetną, łatwo znajdzie drugiego — młoda jest. Biedne moje chłopcy... zmarnięją w cudzych rękach — woła Boża! pomssta Boża!

Z tęg rozpacz, tęsknoty, przewidując już, iż się przyjdzie pożegnać ze światem, do serca nie ze wszystkiem zepsutego skrncha wstąpiła. zrodził się żal szczery, chęć poknty, wstręt własnej przeszłości. Zmienił się popędliwy człowiek w pokutnika.

Zaraz po zabójstwie biegł już był instynktem do ołtarza, szukając ratunku; toż samo uczucie, które go rzuciło krzyżem na podłogę, kazało w religii szukać pociechy i spokoju.

Nie łndził się nadziejami próżnemi. wiedział ilu i jak zjadłych miał nieprzyjaciół, a jak mało mógł mieć obrońców. W żonie i matce jęj npatrywał też swych prześladowców. Miał się już za zgnbionego. Pozostawało Boga przeblagać i zginać mężnie, jak szlachcicowi przystało.

Życia nie było mu wcale żal — żałował tylko dzieci.

Ile razy na myśl mu przyszedł chłopak, co do szabli jego skoczył tak rażno. Wilczek mokre łzy ocierał i mruczał — biedna ty sieroto moja! Ani opieki. ani litości nie będą mieli nad tobą, boś mój — a takiego ojca dziecko... niechaj ginie jak i on!!...

Dnie i noce myśli te go dręczyły. samotność. do której nie był nawykłym. niemal o chorobę przyprawiała. Próbował czasami pić, ale wino w nim wściekłość zwiększało, a w końcu, jak wszyscy do gromadnych hulanek nawykli. sam-na-sam z sobą pić nie umiał. Nie smakowało mu wino tylko z ludźmi.

Upiwszy się z rozpacz, chorował potem i sromił się przed sobą.

Z tych co do niego przystęp mieć mogli, dla obrony w sprawie. mało się kto później pokazał. Pętlakowski jak najmniej.

Z tego znękania i rozpacz, nrosła chęć wielka modlitwy, pobożność gorąca i łzawa. Kłęczał pół dnia i odmawiał secinami pacierze za duszę zabitego.

Korzystając ze zbliżającej się Wielkiej-Nocy i spowiedzi. zażądał w końcu księdza Chorąży.

Lecz i w wyborze duchownego dano mu ucząć jak go sobie lekceważono. Dla dostojniejszego

więźnia należał z prawa jeden z jezuickich patrów, jemu, jakby dla okazania że już osądzonym jest i nic innego nie wart, posłano bernardyna, człeka prostego, ojca Bonifacego, który zwykle skazanych na szubienicę dysponował.

Wybór ten, którym go chciano dotknąć i npokorzyć lub nastraszyć, był jednak daleko szczyśliwszym niż się złym ludziom zdawało.

Ojciec Bonifacy był w istocie prostym człowiekiem, doktorem teologii tytnłować się nie miał prawa, ojcowie jezuici wysmiewali się z jego nieświadomości w zawikłanych kwestyach teologicznych, z niedokładnej znajomości łaciny i naiwnego rozwiązywania trudności natchnieniem jakimś serdeczném—ale był to człowiek szczerze pobożny, miłosierdzia wielkiego, poświęcenia bez granic, pracy niezmordowanej, i, jak św. Franciszek, kochał się w ubóstwie swém, w sukni połatanėj, w umartwieniach ciała, które, jakby na złość, im je srożej karmił, tém piękniej kwitło i bujało.

Spojrząwszy nań nie domyśliłby się nikt w nim człowieka tak na cierpienia bliźnich cznłego, tak zapominającego dla nich o sobie. Ojciec Bonifacy wyglądał baryłkowato, rmmiano, twarz miał okrągłą, w podbródki zawiesziste opatrzoną, pasek ledwie go mógł objąć, a choć żył często wodą i chlebem, z powierzchowności wziąć go było można za obżartucha.

On sam, w pokorze ducha, fizyonomią tę zwodniczą uważał za krzyż Pański, który nosił wesoło, jak inne swe krzyże i krzyżyki. Był to jałmużnik nbogich, pocieszyciel biednych, doradca ludu w łachmanach; wyręczano się nim w sądzie gdzie trzeba było o głodzie, chłodzie, niebezpieczeństwie iść na ratunek wstrętliwój nędzy, chorobie lub zepsuciu.

Pod tym brudnym habitem krył się prawdziwy rycerz Chrystusowy, wierny syn mistrza z Asyżu. Z utrapień życia na niczem mu nie zbywało, nawet na posmiewisku u ludzi.

Choć ze wszystkiój swój współbraci pewnie był duchem i czynem najświętobliwszym, nikt go nawet o świętobliwość nie posądził. Dla tłumu był to sobie, at. prosty bernard opasły.

Zdziwił się nieco pan Chorąży gdy oczekując na kapłana, zobaczył owego niepoczesnego ojca Bonifacego, który dnia tego — zmęczony daleką pieszą wędrówką na przedmieście, nad Kamionkę, do chorego nędzarza — nadzwyczaj czerwono wyglądał i potem się oblewał.

Uczynił na Wilczku przykre z początku wrażenie. Ale gdy usiadłszy, mówić począł łagodnie, gdy głosem się odezwał tak jakoś sympatycznym, serdecznym, płynącym z duszy — Chorąży poczuł na oczach łzy i o powierzchowności zapomniał.

Twarz też ta pospolita, rysów grubych, bezkształtnych, gdy na nią zstąpił promień natchnienia zmieniała się w tak miłą, iż się stawiała prawie piękną, jak owi odmlodzeni zakonnicy, których w raju Fra Angelico aniołowie do niebios prowadzą.

Bernardyn, obcując z ludźmi wielą, znał już nieszczęsną historią Wilczka z powieści, widywał go przedtém, zasłyszał nawet coś o zabiegach nieprzyjaciół i niecnój zdradzie Pętłakowskiego, o której pocichu szeptano. Zbliżka jednak historia ta znaną mu nie była. Chorąży przekonaawszy się o tém z pierwszych słów jego począł mu mówić o sobie, a choć wyznania te spowiedzią jeszcze nie były, skrucha i żal nadały im charakter, jaki ona tylko mieć mogła. W słowach jego, wyrywających się z piersi zboliałej, czuć było upamiętanie, potępienie samego siebie. Nie starał się uniewinniać, potępiał się owszem, karmił popędlivość swą i butę, płakał nad życiem mizernie strawioném.

Im dłużej mówił, tém się mocniej uczuciem tém przejmował, a po księdzu Bonifacym, choć milczał, widać było jak gorące dlań miał współczucie. Nie groził mu, nie straszył go, pocieszać go zaczął.

Gdy przyszło do tego, że i przeciw żonie czuł się winnym, zarazem skarżąc iż go opuszczono,

że rodzina jej i ona sama instygować uai są gotowe, ksiądz mitygować począł, zaprzeczał rzeczy niedowiedzionej.

W końcu mówili już jak starzy znajomi, przyjaciele. i Wilczek wylał mu się cały.

Siedzieli tak więcej godziny, bo Chorążemu zwierzanie się tu widoczną ulgę czyniło, rad je był przedłużać, wstrzymywał odchodzącego, prosił by go nie opuszczał.

Ojciec Bonifacy coraz więcej czując dlań litości, obchodził się z nim jak z dzieckiem. przemawiał słowy prostemi. ale te odrazu do serca trafiały.

— Pan Bóg karze, napomina, dotyka, dziecko moje, często tylko aby ku sobie nawrócił i do upamiętania nakłonił. Ażali to już nie jest dobrodziejstwem Jego iż was przywiódł do pokuty? Możecie się skarżyć, choćbyście życie doczesne stracili. gdy wiekuiste pozyskacie skrucną?

Oprócz téj pociechy religijnej, ojciec Bonifacy i po światowemu przemawiał. nie dozwalając tracić nadziei. ni wątpić o ludziach. boć — nie wszyscy już źli byli, zawzięci i mściwi. Żał mu było człowieka. w którym choć wiele złego naniósł burzliwe życie, jak powódź mudy nanosi, przecież grunt w nim czuł zdrowy i do poprawy chęć szczerą.

Gdy się ta długa wreszcie skończyła rozmowa, a ksiądz powstał, pot z czoła ocierając, Wilczek się poczuł orzeźwionym i spokojniejszym. O. Bonifacy wyszedł z mocnym postanowieniem przyczynić się, o ile potrafi, do oswobodzenia Chorążego.

Dla ubogiego księżyny łatwem to nie było, bo wielkiej konsyderacyi u góry stojących ludzi nie miał. Pokornie się trzymał w progn, gdy do nich szedł z obowiązku. Tam téż nie myślał iść nawet, ale przypominał sobie co o zdradzie Petlakowskiego zasłyszał.

Człowieka tego znał niegdyś jeszcze małym i odartem chłopięciem i pochlebiał sobie, że na niego wpłynąć może.

Mówiliśmy już o wielkiej pobożności adwokata. Nie była ona udaną ani fałszywą, owszem szczerą, wielką ale nierozumną; bo się tak molił do Boga o bezkarne dokonanie szachrajstwa, jak włosi ślubną świecę za zabicie nieprzyjaciela.

Pojęcia jego religijne mętne były, zasadzał wszystko na formie i literze.

Petlakowski ile razy kogo oszukał, odpościł potem za to z suchotami. Zdawało mu się, że rachunek z Panem Bogiem został w ten sposób skończonym.



Bernardyn w domu jurysty był poufałym gościem, od tego jeszcze czasu gdy w nim bieda panowała.

Wprost więc z więzienia poszedł na Berdyczowską ulicę, do dworku Pętlakowskich i zastał adwokata w jego kancelaryi ciasnej i brudnej, samego, gdyż skrybenci się na odpoczynek wyrwali.

Zobaczywszy ojczulka dobrodzieja, Pętlakowski przybiegł go w rękaw pocałować i stołek mu podał, uśmiechając się doń przyniłażco.

— A czemu ojczunio nie łaskaw był wprost do mojej żonki i robaczków, bo to tu w tych papierzyskach i sięść uiema gdzie wygodniej.

— Wszystko jedno—rzekł ojciec Bonifacy—ja bo mam z acanem do pomówienia na osobności.

I powtórzył z akcentem pewnym:

— Tak, na osobności, we cztery oczy.

Jurysta się zdziwił niezmiernie.

— A o czémże to takim?

— Boję się o was, panie Pietrze, żebyście sobie nie obciążyli sumienia. Idę z więzienia; opowiadał mi, że łzami w oczach, wszystkie swe sprawy Wilczek, który siedzi za mężobójstwo. Człek nie jest bez grzechu, ale nie tak zły, jak go ludzie sądzą. Ty miałeś sprawy jego w rękach, widzi mi się, żeś nie bardzo pilno chodził

za niemi. żeś się — nie daj Boże! — dobrowolnie opuszczał. E! e! patrzajże! Pan Bóg nie daruje gdy zaniedbasz co do ciebie należy, a. nchowaj panie, zdrady—los Jndasza!!

Petlakowski obie ręce podniósł do góry, jakby wzywał pomocy niebios.

— Boże wszechmogący! bądź świadkiem duszy mojej! zawołał patetycznie. Jegomość stajesz w obronie tego kryminalisty, tego, można powiedzieć, zbrojca, który tyle nabroił. że go nie w świecie nie może oczyścić! Tyranem był dla żony, ani z niego ojciec dla dzieci. ani zięć dla świekry. Najgorszego życia, rozpustnik, gwałtownik, wkońcu zbrojca! zbrojca! Jakże go tu obronić? jak salwować?

— No—cicho! odparł ojciec Bonifacy. Ja mu do sumienia zajrzałem, i powiadam ci, zaręczam słowem kapłańskiem. że żałuje szczerze za grzechy i poprawi się. Nie sądźcie abyście sądzonymi nie byli.

— A ty na sumienie go nie bierz. panie Pietrze. bo mi się z tego nie obmyjesz.

(Nachylił mu się do ucha)

— Ludzie gadają, słyszysz. po ulicach się już z tem noszą, że ty go jak Jndasz sprzedałeś. kiedy bronić byłeś obowiązany, kiedy on ci za-wierzył? He? Ej!! Pietrze! w piekle gorąco. Zdrada, to smoła po same łopatki! Tego ty ani

odmodlisz, ani odpościsz. ani odleżysz krzyżem. gdy na ciebie wdowa i sieroty płakać będą i wołać pomsty Bożej.—Ej! Pietrze, Pioterku, powiadam ci źle będzie z tobą! Pójdzie on przed trybunał niebieski i oskarży cię, powołają i wasze ci abys stanął się tłumaczyć, a co powiesz gdy hukną aniołowie, żeś zdrajca!! E?

Petlakowski zarzuteń tym tknięty stał jak wkuty do ziemi, oczy spuścił, sapał ciężko. Miał już Wilczka za tak nieodwołalnie przez wszystkich potępionego, iż nikt nie mógł stawiać w jego obronie. Przemówienie za nim ojca Bonifacego. samo to, że ludzie już o jego niepoczciwości wiedzieli i głosili, przestraszyło go.

— Ojczulku, dobrodzieju, niechaj nieba nie oglądam, jeżeli....

Tu chciał już skłamać, gdy trwoga go zadławiła. dokończyć nie mógł. A mżby go wzięto za słowo? Zmieszany zamilkł nagle i ojca tylko pokornie w rękaw pocałował, bijąc się w piersi. Tą mimiką dwuznaczną chciał zastąpić wyrazy których wymówić się lękał.

O. Bonifacy pogroził.

— Dobrze ci życzę i przestrzegam, rzekł, Boga się bój! Rachuj się z sumieniem! Pamiętaj. że na gorszy i straszniejszy sąd. niż ludzkie trybunały sprawa twa przyjdzie. a tam żaden kon-

dykt nie pomoże... tam akta w porządku i każda myśl twoja zaintabulowana.

To mówiąc wstał.

— Ej! pamiętaj — kończył — duszy nie gub. Obronisz go czy go nie obronisz. w tém wola Boża i łaska; stanie się co Opatrzność zadyktuje do serc sędziów, ale gdy ty zawiniś, powinności nie spełnisz, człowieka sprzedasz za grosz mizerny! ej! smoły wiekniśtej nie ujdiesz bratku.

Nie gub swojój i jego duszy. nie czyni dzieci sierotami. bo zato, nie do czyśca na lat kilkaset jak ty sobie może projektujesz, ale pod widły Lucypera i na ruszt, na wieki wieków. amen.

A tak! a tak! w smole cię usmażą, smołą cię napoją.

Pętlakowski smoły i Lucypera obawiał się okrutnie. czyścić. polatawszy, byłby go akomodował, ale o piekle wiekniśtem nawet pomyśleć się lękał. A tu ojciec Bonifacy w tych rzeczach znawca, obiecywał mu już na pewno smołę wiekniśtą.

Raz jeszcze pocałował w rękaw bernardyna i palnął się w piersi z całej siły.

— Ale cóż ja na to poradzić mogę? zawołał. morderstwo rozmyślne na gościńcu! Jakże go tu oczyścić.

— Morderstwo nie rozmyślne. ale przypadkowe, odparł ksiądz. Winien ci on, ale i ręka Bo-

za w tém była! Zresztą, panie Piotrze, jam nie sędzia, do mnie to nie należy! ja nic nie wiem? Mówię ci tylko, patrzaj abyś sumienia nie zaszalał; patrzaj abyś Judaszem nie był. Los jego żony i dzieci drobnych mieć będziesz na sumieniu.

Pokiwał palcem ojciec Bonifacy i pośpieszył do drzwi, nie chcąc nawet zachodzić do pani Piotrowej.

Po wyjściu jego, Pełlakowski stanął i zadumał się głęboko. Poczul, że bernardyna miał słuszność i że dla przyjaźni Zawistowskiego do piekła iść, byłoby zawiele. Postanowił, aby wilk był syty i owca cała—bodaj wyrzec się prowadzenia interesów; zdać papiery i umyć ręce, dopóki jeszcze ostatecznie zawałane nie były.

Pochlebiał sobie, iż jego postępowanie w sprawie tak złego człowieka, nie będzie mu w górze za złe poczytaném, tymczasem jednak i ludzie już gadali. Musiała więc sprawa dojść do wiadomości władz wyższych i na rejestr grzechów być zapisaną! Trzeba było reparować co się zrobiło—aby smoły unikać.

Wezwanie bernardyna do pana Wilczka zeszło się prawie jednocześnie z przybyciem pani Wojskiej do córki. Jagnieszka wybiegła na jej spotkanie, do kolan matki pochylając się ze łzami. Bo choć moc ducha miała wielką, chwilami

już ją opuszczała, czuła potrzebę opieki, widząc się tak osieroconą i nieprzyjaciolmi otoczoną.

Wojska, która miała czas w drodze i wypłakać się pokryjonn i dobrze rozmyśleć jak postępować należało, nie okazała najmniejszego wzruszenia. choćby dlatego, ażeby córce nie dawać złego przykładu miękkości serca.

— Tu niema się co we łzach rozplýwać, odezwala się energicznie. płacz nic nie pomoże. Męztwo trzeba mieć, wiedzieć co się robi, a rozmyśliwszy się dobrze, do celu iść bez wahania.

Możesz ty mi dziś powiedzieć, że ja co cię za niego wydałam, prawie poniewoli, wszystkiemu jestem winna.

Darmo to już dziś wyciągać na stół—nieszczęście się stało, wydobyć z niego trzeba.

Człek zły, niepoprawiony, gwałtownik, rozpustnik, utracynsz, szalawiła, tyran, niema się co nad jego losem rozpadać. Niech się sobie z nim dzieje co chce. Utną nm łeb, mała strata, krótki żal, pieniędzy na to tracić nie warto.

Przyjechałam po ciebie, dzieci zabieraj i jedź ze mną, stanie dla was chleba w Żerdzieliskach. Z wierzycielami się później rozprawimy.

Jagnieszka zdumiona spojrzala zza łez na matkę, w twarzy jęj jaśniało jakieś uczucie nie dające się określić. Wojska czekała na odpowiedź.

— Ale to nie może być, niesnało przemówiła Wilczkowa, potroszę się na odwagę zbierając—matusin kochana! to nie może być! Samiście mnie mu oddali, a ja przysięgłam do śmierci! Ojciec to moich dzieci. Co ja im powiem, gdy dorosłszy mnie spytają—co uczyniłam z ojcem? gdy ludzie im powiedzą—żem ja go opuściła i zaparła się. Posądzą mnie żem zemstę w sercu miała. Matuniu! to nie może być! A! nie! nie! bronić go musimy i ratować—ty i ja! aż do ostatka! do grosza ostatniego i lzy ostatniój!

Wojska słuchała z surową twarzą, brwi się jój ściągały.

— Jeszcze czego! jeszcze czego! zauruczała. Masz ty go zaco bronić, kiedy on cię dla jakiejś tam pupilki porzucił.

— Więc i ja go porzucić mam? i za grzech grzechem płacić? Matuniu! I schyliła się za kolaną ściskając matkę, tuląc głowę w jój dłoniach. Wojska zamilkła, nie chcąc okazać wzruszenia, a nim się namyśliła co odpowiedzieć miała, Chorażyna porwała się, szybko lzy ocierając.

— Matuniu ratować trzeba i jego i mnie i dla dzieci. Moja nadzieja w tobie? Mnie sił braknie, was tu same wrogi otaczają. W twoje ręce los nasz składałam, ty nas ratuj! matuniu kochana, ratuj.



Surowa i zimna pozornie, a przed dziećmi nigdy zbytniego nieokazująca uczucia. Wojska swoim zwyczajem córce nakazała milczenie, nie przyrzekając nic, ani się wyrzekając niczego. Gdy się do roboty zabierała, w słowach była oszczędną.

Chorażyna, znając ją, zrozumiała z tego milczenia, że przy pierwszym swém postanowieniu obstawać nie będzie.

Nazajutrz rano, nic nie mówiąc córce, Wojska poszła sama na miasto, wysłuchiwała mszy na intencją córki i wprost się do sędziów udała.

Już oddawna czekano na nią z obiadem we dworku, gdy nadeszła z powrotem uachmurzona, zmęczona, zadumana ale pewna siebie. Chorażyna pytać jęj nie śmiała o nic, czekała czy sama co nie powie. Wojska zapytała tylko o dzieci, poskarżyła się na zmęczenie podróżą, o wycieczce rannęj nie mówiła ani słowa.

Po obiedzie nadbiegł, jakby strwożony, Pętla-kowski z kupą papierów pod pachą i zamknął się z Wojską w osobnym pokoju. Zdala usłyszała tylko Wilczkowa podnoszący się głos matki, jękliwe i płaczliwe tłumaczenie się adwokata, prze-rywaną żywą rozmowę, po której jurysta wyszedł zamyślony z głową spuszczoną.

Widać go było w podwórku odchodzącego pod wrażeniem odbytej konferencji, podnoszącego ramiona do góry, machającego rękami, jakby sam

tłumaczył się przed sobą. Dwa razy stanął w dziedzińcu, niby coś przypomniaławszy sobie i chcąc powrócić, lecz zaniechał w końcu tego zwrotu i poszedł do domu.

U wieczerzy znów Wojska mówiła tylko o dzieciach, o potrzebach domowych, o drożyznie, niepocziwości ludzi, a gdy się rozchodziły zamruczała; jakby sama do siebie:

— To łajdak!

— Kto? podchwyciła Chorążyna.

— Któż ma być, ten obwieś! jurysta; rękę podnosząc do góry dodała Wojska:—ale ze mną to nie njdzie! Musi mi on inaczej śpiewać, a nie— to źle będzie.

Przed matką nie śmiała odezwać się z życzeniem, ażeby jej męża wolno było odwiedzić. Chciała zawiesić mu dzieci i przekonać go, że pamiętała o nim. Czuła że to było obowiązkiem.

Zwierzyła się z tém poufnie przyjaciółce Baranowskiej, prosząc aby ona przez męża się o to postarała. bo Petlakowskiemu nie ufała, lukwizycy były tak jak skończone.

Zaczął więc biegać za tém przyjaciel, i, co łatwo przewidzieć było, pozwolenie wyrobił, gdyż żonie przysługiwało prawo widzenia męża, i zła tylko wola mogła go jej zaprzeczyć.

Nazajutrz, nie mówiąc Wojskiej, zabrała chłopców jakby do kościoła na nabożeństwo i ze

mszy powlokła się do więzienia z bijącym sercem i wielkim niepokojem w duszy. Isć musiała, nie wiedząc jak zgorzkniały niewolą człowiek miał ją przyjąć?

W samym tym wyrazie: więzienie, dla kobiety, która nigdy nie przypuszczała aby się kiedy o nie miała ocierać—było już coś przerażającego. Budynek w którym się ono znajdowało, wszystko co otaczało tak zwaną wieżę, zakratowane okna, drzwi pozamykane na drągi i kłódki, chmurne fizyonomje stróżów—odjęły prawie mężstwo Wilczkowej.

Trwoga jój ogarnęła dzieci, które uspokajać było potrzeba i ośmielać. Młodsze musiała wziąć na ręce, starszy ciągnął za nią nczepiwszy się sukni, oglądając po brudnych murach, nie mogąc pojąć poco tu ojca miał szukać i dla czego tu był zamknięty.

Wilczek nie tylko nie spodziewał się przybycia żony, ale nie przypuszczał nawet aby ona go widzieć chciała. Od bytności ojca Bonifacego cały był teraz w modlitwie i książkach pobożnych, czytał właśnie gdy drzwi się otworzyły i w nich ukazała blada pani Jagmieszka z młodszym synkiem na ręku.

Wilczkowi zdawało się to jakimś złudnym widzeniem, czémś nieprawdopodobnym, wymodlonym chyba cudem. Podniósł ręce nie mając zrazu si-

ły powstać ze stolka. tak go doń zdumienie przykuło. Tymczasem starszy synek, sponfalony z nim bardziej, pobiegł ku niemu, rzucił się na szyję i począł wołać, śmiejąc się:

— Tata! tata kochany!

Wilczek przyciskał go do siebie i płakał.

Zbliżyła się powoli żona, spojrział na nią z trwogą i wstydem, nie wiedząc jak miał ją powitać.

— Przyprowadziłam dzieci... odezwała się pocichu.

O sobie mówić nie śmiała—wiedząc, że pożądaną być nie mogła. Wejrzała na niego i oczy ich poraz pierwszy od lat wielu spotkały się z sobą. Litość wstąpiła w serce Jagnieszki, tak nieszczęśliwym się jej zdał i zmienionym; żal i skrucha zbudziły się w piersi Wilczka, tak się czuł miłosierdzia niegodnym.

— Bóg zapłać, odezwał się głosem znizonym, w którym dawniej buty nie było — Bóg zapłać; wielka to dla mnie pociecha.

— Miałbyś ją daleko wcześniej, dodała Chorażyna, ale na moje nsilne prośby dotąd odmawiano. Staralam się ciągle napróżno.

— Staralaś się?? zapytał zdziwiony więzień.

— Staralam jak tylko mogłam.

Zamilkli, dzieci szczebiotały coraz głośniej.

Zamiast rozweselenia mowa ich nierozważna coraz to nowe rany, ledwo zasklepione, rozjątrzała. Starszy synek chciał koniecznie, aby ojciec wyszedł z nimi a nie siedział osobno w tój brudnej gospodzie; ciągnął go, całował, prosił. Nie mógł zrozumieć tego, że ojcu wyjść nie wolno było.

Wilczka dotykało to tém mocniej, iż ciągle się karmił trwożnemi przecuciami. że gardło dać musi. W mowie jego przebijało się ciągle to na śmierć przygotowanie.

— Dobrze żeście przyszli zobaczyć się zemną. rzekł napół do żony, pół do dzieci—Bóg wam to zapłaci. Godziny moje policzone, tyle mego szczęścia na ziemi. Uwolnię was od ciężaru i niepokoju. Wszystko już dla mnie skończone — oby Bóg miłosiernym raczył być duszy mojej.

Chorażyna nieśmiałym głosem wtrąciła. wahając się:

— Matka moja przybyła—staramy się. robim co tylko można. Nie trzeba rozpaczać jeszcze.

Wilczek patrzył na nią.

— Albom ja komu tu na co potrzebny, wyjąknął. Co wam po mnie! Jam zawadą i postrachem. Kto wierzy bym innym potrafił być, choć dziś kajam się i żałuję?

Gdy głowę dam, przebaczcie mi moje winy! nie pamiętajcie!

Wilczek.

Chorażyna nigdy go jeszcze tak przemawiającego nie słyszała, serce jęj się poruszyło, ale nie śmiała ani się odezwać, ani przybliżyć, ani dać znaku współczucia.

Choraży długo na nięj wzrok zatrzymał, potem spojrzał na dzieci, sznurował usta wstrzymując się od wybuchu.

Tymczasem starszy chłopiec szczebiotał ciągle.

— Tata zarósł tak — i blady! Może głodny? Izba taka paskudna — lepiej z nami iść do domu. Poco tu siedzieć?

Nikt nie odpowiadał, więc szarpał ojca za rękę, a Wilczek, pomilczawszy zwrócił rozmowę do żony.

— Jęjmość téż zmizerniałaś, musiałaś się zapłakać, juści nie zanną, ale za tym, któregom zrządzeniem Bożem zabił.

Chorażyna zecerwieniła się z bólu, jakiś czas oczów nie śmiała podnieść, zwłoczyła z odpowiedzią, choć ona jęj drżała na ustach.

— Dawno mi on był obcym! rzekła krótko.

To wspomnienie zabitego padło na nich oboje jak brzemię, z pod którego się już nic dobyć nie mogło. Chorażyna szepnęła wkrótce, że odejść mnsi, obiecując z dziećmi powrócić, choćby dnia jutrzejszego, jeśli by tego życzył sobie.

— A! przez miłosierdzie przychodźcie czasem! często! odezwał się Choraży wzruszony mocno.

Zdawało się jakby poufalej chciał się przybliżyć do żony, lecz zawahał się — nie śmiał, ona też z daleka trwożliwem skinieniem głowy go żegnała. Dzieci jeszcze go z sobą ciągnęły. Tak doszli do drzwi. Wilczek nagle pochylił się, z respektem njął za rękę żonę i pocałował.

— Przebaczcie mi wszystko, com wam zawi-  
nił, rzekł głosem cichym. W takiej godzinie jak  
ta, w imię Boże godzi się darować.

Chorążyna zmieszana nie miała czasu odpowiedzieć, drzwi stały otworem przed niemi, a w nich człowiek obcy. Wilczek szybko cofnął się w głąb i na stół padł, głowę kryjąc w dłoniach.

Z uczniem litości, która się wypowiedzieć nie dawała. Chorążyna wyszła z więzienia. Mężna niewiasta postradała tu mężstwo swoje, mąż, który tak długo był tyranem, budził w jej sercu teraz więcej niż miłosierdzie. Czła, że dobrém słowem mógł całe jej serce pozyskać.

Miłość ta spóźniona, krwią i łzami oblana, teraz dopiero przychodziła, gdy się może na wieki rozstać było potrzeba i owdowieć z ręki kata, i nosić przez całe życie żałobę krwi i sromu. Wilczkowa zapłakała polykając łzy, tnąc dzieci, ostatnie dobro swoje. Oba chłopcy, na przekorę jej smutkowi, wesoło szczebiotali o ojca, pytali, a prawdy im odpowiedzieć nie było można.



Tak doszli do dworku. Zobaczywszy zdala babkę dzieci się wyrwały do niej, opowiadając o odwiedzinach swych u ojca. Wojska spojrzała na córkę z poszanowaniem, nie powiedziała nic. Nie pytała nawet, dając jęj odejść i w samotności odetchnąć po wrażeniu jakiego doznała.

Nie wiedząc jaką zmianę wypadek tragiczny spowodził w nsposobiemiach Wilczka, była prawie pewna, że nieszczęśliwa córka umiała jak dawnięj. od męza cierpieć wymówki i łajania. Dzieci nie umiały jęj powiedzieć nic więcj nad to, że ojciec się im wydał chorym, smutnym i że mieszkał w izbie brudnej i ciasnej.

Sądzenie sprawy, do którego się przygotowywano, odraczane pod różnemi pozorami, przeciągało się jeszcze. Tymczasem Wojska nie traciła próżno chwili, biegała trafiając wszędzie, wszystkich zdumiewając energią swoją, natarczywością. nporem. Nic ją nie zrażało, niczem się jęj zbyć nie było podobna. Sędziów gdy nie mogła w domu. łapała na ulicy, po kościołach, na wschodach. godzinami czasem czekała na nich w progu domu na zimnie i słocie; opłacała sługi. ujmowała żony. umiała się docisnąć gdzie chciała.

Gdy zaczęła mówić poważnie, zimno. surowo. nie łatwo ją zbić było i przeargumentować. Sędziowie w końcu konsyderacją dla niej i respekt powzięli. niektórzy się obawiali.

Pętlakowski także. czy nastraszony przez ojca Bonifacego, czy istotnie zaniepokojony na sumieniu, chodził czyunięj, słuchał rozkazów Wojskięj. a czego sam uczynić nie mógł, z tém albo ją posyłał lub ostrzegał przed niebezpieczeństwem.

Zmieuiło się nieco położenie, przekonania wielu skłoniły się na stronę obwinionego.

Z drugięj jednak strony. ci szczególnięj co zawładnęli majątkami Chorążego, dobrawszy sobie jego nieprzyjaciół ku pomocy i mnogą liczbę gardłaczy. instygowali przeciw Wilczkowi, na czém świat stał, wołając aby go gardłem karano. zęb za zęb.

Cała publika podzieloną téż była na dwa obozy. roznamiętniające się i walczące z sobą przy każdém spotkaniu; przychodziło do wybuchów namiętnych. rwano się do szabel za i przeciw niemu. Jedni bronili zajadle, drudzy następowali wściekle.

Szczęściem może dla Wilczka jeden z sędziów, który znacznego używał wpływu, pośrednio był interesowany by Chorążego puścić z życiem. karząc go tylko więzłą i grzywnami.

Pamiętali bowiem wszyscy. że w młodości on sam miał bardzo podobną sprawę o mężobójstwo, zabiwszy szlachcica na gościńcu w zwadzie: kto ma koniu z gościńca ustąpić. Było to zimą, za-

spy ogromne śniegu wyminąć się nie dawały, dwaj nieznajomi sobie zapasnicy tak się rozżarli, że się do rusznic w saniach leżących porwali, a pan sędzia wypaliwszy, przeciwnika ubił na miejscu.

Proces o to ciągnął się długo, a skończył ugodą z rodziną i odsiedzianą więżą w wesołej kompanii.

Rodzina nboga Otwinowskiego, krewni dalecy (gdyż bliższych nie miał i dlatego był na wychowanin i łasce u pani Wojskiej), rada była skorzystać z wypadku, pożywić się, wziąć okup za krew, i czekała tylko aby z nią traktowano.

Sama pani Wojska, dla której mieli poszanowanie, zagaiła o to układy. — Baranowski tymczasem zabiegał, aby sprawiedliwość rozbroić; chodził po sędziach, stawiał im mnogie przykłady spraw podobnych ukończonych więżą, rekolekcyami i nawiązkami.

Tymczasem Chorążyna uzyskawszy już pozwolenie widywania męża, codzień prawie dzieci mu przyprowadzała.

Od pierwszego spotkania z nią, dawny ton Wilczka, który do żony inaczej jak ze wzgardą i szyderstwem nie przemawiał, zmienił się, jak widzieliśmy, zupełnie. Nie śmiał się zbliżyć do niej, ani przemówić czulej, ale w głosie, postawie, w oszczędnych i dobieranych wyrazach.

w tém co mówił do dzieci. zalecając im aby matkę szanowały i kochały, widać było że odmienił sentymenta, że sam ją szanował i kochać był gotów.

Zwyciężyła go nareszcie.

Lecz ile razy przyszło mu na pamięć jak się dawniej z nią obchodził, gdy spoglądał na czerwoną jeszcze bliznę jej skroni. zdawało mu się niepodobieństwem. aby mogła mu zapomnieć i przebaczyć przeszłość.

Z każdym dniem jednak teraz zuieniał się ich stosunek i ponętniejszym stawał. Chorążyua ośmielona mówiła więcej, przynosiła mu wiadomości pocieszające. zdawała sprawę ze staraniami matki, z zachodów Baranowskiego, z poprawy Pętłakowskiego.

(O tym już mu i ojciec Bonifacy doniósł. że go porządnie zbурczał i ustraszył. aby inaczéj się brał do sprawy.)

Wiedział już Chorąży. że mu wszystkie wioski pozajeżdżano. ale w obec gardlowéj sprawy jakoś go to niewiele obchodziło.

— Pani Wojska da temu rady. gdy na nią spadnie opieka nad wnukami—mówił prawie spokojnie — będą musieli zdać przed nią rachunek. Wiem że nie popuści. Zresztą chleba kawałek zawsze się dla Wilczków znajdzie, a ja już nie niepotrzebuję.

Długo tak gotował się na śmierć, lecz gdy potem nadzieja łaskawszego dekretu i życia zawitała, gdy Pełlakowski przyszedł pierwszy mu zwiastować, iż prawie pewnym był że się skończy na wieży i grzywnach, a żona to potwierdziła, stary Wilczek wnet się ze skóry skruszonego grzesznika wydobył.

— Niechajże Zawistowski z towarzyszami Pana Boga proszą aby mi łeb ucięto! zawołał z dawnym impetem, bo jeśli ja żyw wyjdę z téj sprawy. oj! skóra będzie w robocie... Tak mi Boże dopomóż! Ostrożności mnie nanczono, strzelać nie będę. ale bizuna zza cholewy nie puszczę i przy pierwszém spotkaniu co się rzekło, to się dotrzyma.

Gdy to potem przy żonie powtórzył. spojrziała nań wyraziście, nie mówiąc nic — zmieszał się i poprawił:

— Nie bójcie się, awantury nie zrobię. nchowaj Boże, ale wypłacę długi jak należy.

Chorażyna spojrziała jeszcze, Wilczek potarł głowę.

— Zresztą, dodał ciszej—co tam ryby łapać przed niewodem... Kto tam wie co będzie? Jeszcze się jednéj biedy nie wydychało. Bóg z niemi. Lepiej o tém i nie gadać.

Pani Wojska. chociaż milczała o tém i trzymała w tajemnicy, przewidując jakie tu mogą

być potrzeby, wzięła znaczny kapitał z domu. Nie żałowała go też gdy raz poczęła chodzić około sprawy zięcia, ale córce zawczasu zapowiedziała, że co wyda to jój z posagu odliczy.

— Nie mogę dla ciebie Borkowej krzywdzić — mówiła, choć mi żal, że ci się majątku uszczupli, a sprawiedliwą muszę być.

— Niech matka z mojego bierze co chce — choćby wszystko! odparła Chorążyna, ja nie pożyczę. Życie jegomości trzeba ratować, dzieci i ja nie będziemy sierotami.

Wojska, która zmianę w córce dawniej już dostrzegła, uśmiechnęła się.

— W Bogu nadzieja, nic mu się nie stanie, choć drogo przyjdzie za swawolę zapłacić! A no, Pan Bóg już z wami, jeśli na to wyjdzie, że się pożyczycie odmieni i serca ku sobie nakłonią, nie pożyczę grosza!

Chorążyna odpowiedziała z cicha, nieśmiało:

— O! zmienił się pan Michał dużo i na lepsze — ani go poznać!

— No. no! byle to trwało — rzekła Wojska. Tacy ludzie jak on we wszystkim zbyt kuja: pasya niemi owładnie — zabijać gotowi, przyjdzie skrucza — u nóg leżą, a wszystko to u nich ogień słomiany. Buchnie wysoko i już po nim. Ja ich znam.

— Ale nie — przerwała Chorążyna — innym jest! wiercie matulin, innym będzie. Ja go teraz poznałam lepiej. a i on też mnie inną znał, niż dawniej sądził—Bóg łaskaw.

Na tém skończywszy pani Jagnieszka, synka starszego wzięła na kolana i uściskała go, on był zakładnikiem pokoju między nimi, kochali go oboje. Dosyć było przytomności dziecięcia ażeby Wilczek ochłonał i złagodniał, wejrzenie żony zaraz go do opamiętania skłaniało. Miała już tego próby w więzieniu.

Nadszedł nareszcie ów dzień sądu długo oczekiwany, wiadano zawczasu jakim dekretem być ma, obawy nie było ażeby przyszło głową opłacić. Krewni Otwinowskiego zagodzeni z pretensyi kwitowali, pewnem było, że za mężobójstwo przypadkowe sądzić będą na wieżę i grzywny.

Sędziowie przypuszczali iż strzał dany był dla postrachu, bez zamiaru zabójstwa i świadomości do kogo rusznica była wymierzona;—zrządzeniem Bożem padła kula w piersi człowieka, który też nie był bez winy.

Gdy już wyrok ferować miano, ci co go sobie jak najśroźszym mieć życzyli, zbiegli się tłumnie w ostatniej godzinie, aby jeszcze nalegać o surowość, wiedzieli bowiem iż oswobodzenie Wilczka mieć będzie dla nich następstwa



niemiłe. Zawistowski z towarzyszami usiłowali jeszcze podzielać na sędziów i nastraszyć ich. Rozpoczęli swą robotę niezręcznie, uciekając się do odgrózek. wołając na przekupstwo, dowodząc że sędziowie podarkami i groszem pozyskać się dali.

Tém ich tylko rozjątrzyli przeciw sobie.

Na parę dni przed ogłoszeniem wyroku, miasto wrzało i kipiało podzielone na dwa obozy; cudem tylko obeszło się bez nowego krwi przelewn.

Zawistowski, nie mogąc gdzieindziej, wywoływał publicznie po gospodach. że gdy Wilczka uwolnią, człowiek życia nie będzie pewnym ani jednej godziny.

— Uda mu się bezkarnie zgładzić jednego— to czego sobie ma żałować; będzie po gościńcach rozbijał. Choć się wynosi do Bisurmanów, kiedy w chrześcijańskiej Rzeczypospolitej niema sprawiedliwości!

Wtórowali mu drudzy, nie wyjawiając nazwisk, ale dając do zrozumienia. że złotko pani Wojskiej dużo na szali sprawiedliwości zaważyło. Wrzawa ta poróżniła wielu, zasiała nowych nienawiści dużo, ale już napisanego nie zmieniła wyroku.

Dnia tego, gdy go ogłaszać miano. Chorążyna się znalazła przed izbą sądową; zaledwie od-

czytano dekret, Baranowski jęj o tém przyszedł oznajmić,—pierwsza pobiegła do więzienia.

Chciała sama oznajmić o tém mężowi, który od dwóch dni między trwogą a nadzieją, nie śpiąc i nie jedząc, po izbie chodził, naprzemiany modląc się i bijąc z myślami.

Petlakowski, ażeby podnieść cenę własnych starań, nie omieszkował mu donosić o tém co partya Zawistowskiego dokazywała, jak sędziów starano się zastraszyć, jak na nich naciskano, nie dając im pokoju. Wilczek więc do ostatniego momentu nie był pewien życia.

Gdy się drzwi otworzyły i żonę swą samą, bez dzieci, zobaczył w progu, z twarzą dziwnie zmienioną, z oczyma rozjaśnionemi, zadyszana od szybkiego pochodu, tak że mówić nie mogła — Choraży stanął niepewien co się stało—nie śmiejąc czytać z niéj co mu przynosiła — życie czy śmierć. Krótka chwila milczenia wydała się jak wiek długą.

Wtem Wilczkowa ręce rozpostarła i na szyję mu się rzuciła, wołając:

— Bóg łaskaw!!

Choraży jeszcze nszom nie wierzył; stał osłupiały, chwycił jęj ręce, całował, potem pochylił się nagle, padł do nóg żonie i począł je ścisnąć upokorzony.

— Aniołem jesteś, kobieto ty moja! a ja byłem dla ciebie katem, anim wart mieć taką żonę. Samego siebie się wstydam i biję w piersi jako grzesznik wielki. Daruj ty mi. przebac. królowo moja złota! Jeżeli cię słowem w życiu kiedykolwiek obrażę—niechaj głowę dam. bo nie wart będę żyć!

Chorażyna z ziemi go podnieść musiała. Pierwszy uścisk serdeczny połączył tę parę zwaśnioną. którą nieszczęście dopiero wspólnym bólem związało na wieki.

Wilczek nie mniej czuł się szczęśliwym z odzyskaniej żony, jak z ocalonego życia.

— Dobrodziójko moja. klejuocie najszacowniejszy — wołał drżący, bądź teraz moją opiekunką i stróżem. pilnuj. ostrzegaj. abym nie popadł w dawne grzechy. Na ciebie się zdaję. w ręce twe oddaję wolę moję.

Domawiał tych słów. gdy gromada dawnych przyjaciół i znajomych, z Baranowskim na czele. wtoczyła się do więzienia z powinszowaniami, wołając:—Vivat Choraży! Vivat!!

Jéjmość ustąpiła na chwilę, a Wilczek humor odzyskał. Zaczęto gwarno opowiadać o intrygach nieprzyjaciół. i z ust Chorażego znowu się wyrwała pogróżka. Ale wtém spojrział na żonę i na dany znak z uśmiechem. otrząsł się zaraz.

— Przebaczono mi,—nie będę i ja krzywdy mojej dochodził. Zechcą się ułożyć ci napastnicy, dam im ująć cało, dla miłości Bożej. A no niech śpieszą. pókim dobry!

Chorążyna potwierdziła to nowym uśmiechem, a Pętlakowski się zaraz wysunął cichaczem dać znać Zawistowskiemu, że furtka do wyjścia była otwarta.

W tryumfie niemal Chorążego do dworku przeprowadzano. gdzie uan! oczekiwały dzieci i Wojska. Na twarzy jej nie było widać najmniejszego odbłyśku radości wszystkich ożywiającej. Stała chłodna i obojętna na pozór, jak była życie całe, a gdy Chorąży przystąpił do ncałowania jój ręki—rzekła mu pocichu:

— Patrzajże asindziej, abys drugi raz w taką każu nie popadł, bo Pan Bóg raz jeden łaskaw.

— Niech jójmość dobrodziójka będzie spokojną—odezwał się Chorąży — baranka ze mnie zrobili. a gdybym znowu zębów miał dostać, to mi je teraz Jagnieszka upiżuje jednóm wejrzaniem, bom się zdał pod jój komendę.

---

## Epilog.

---

Czegóż chcieć więcej? powieść skończona. Prawda, a słówko jeszcze nie zawadzi. ażeby nie była tak jakby nożem ucięta. Zawistowski z towarzyszami nazajutrz wyprawili posłów i pośredników dla rozpoczęcia układów.

Wilczek był tak szczęśliwym, że się dosyć okazał powolnym, ale gdy przyszło do obrachunku —położył w nim sto bizunów, za których ustąpienie należało mu się bitych talarów tysiąc, bo sobie nie mniej je cenił.

Zdołano przecie wmówić w niego, żeby je wymazał i z téj pretensyi kwitował. Pętłakowski biegał całe dwa dni z dworku przy Wilskiej do dworku na Berdyczowską, nosząc wzajemne propozycye i starając się nieprzyjaciół przejednać.

Trzeciego dnia komplancya nareszcie podpisana została, ale gdy zażądano aby się zejść na neutralnym gruncie i podać sobie ręce—Wilczek odmówił.

— Zgoda zgodą, rzekł. ale z przyjaźni kwituję i nie chcę jój. Niech się lepiej z Żebrów wynoszą. bo mi tam pilno dzieci zawieźć i żonę, i odpocząć pod własnym dachem.

Powiedzcie im, że się jeszcze nie zabiżniły rany, więc i smarując je można zajątrzyć.

Na tém się skończyło. W dni kilka można już było jechać do domn, który wyglądał jak po tatarach. bo gospodarstwo choć krótkie dobrze się dało we znaki.

Nie mógł już strzymać Chorąży. aby na te nowe inkrutowiny do starego domn nie sprosić sąsiedztwa i nie sprawić łuszyku. Gdy mu to Wojska wymawiać i odradzać chciała. pocałował ją w rękę. pokłękawszy.

— Od tego nie odstąpię. rzekł. będzie to moje wesele, bom dopiero teraz żonę poznał, pokochał i serce jój ku mnie się też nakłoniło. musimy obchodzić ten festyn wielki szczęścia naszego — jak przystało! mroczyscie.

Tak się też stało. Sprosił Chorąży tłum szlachty ogromny. sprowadził kilka beczek węgrzyna. kapełę. postawiono moździerze pod oknami i cały tydzień trwała radość wielka a uczowanie lukullowe. Kury i kaczki wyrzućto do nogi, cieląt mało co zostało. a po wyjeździe gości. oprócz łagrów. w piwnicy kropki nie było.

Odtąd Chorąży, choć charakterem nie zmienił, bo do śmierci gorączką pozostał jakim był, przez przywiązanie do żony mitygował się wielce. Dostyc czasem było jednego jój spojrzenia, aby się utemperował i ochłoniął.

Szedł potem jójmość w rękę pocałować z uśmiechem i przepraszał że się umiósł.

Zaraz jakoś po tém weselu, ponieważ interesów było z dawnych czasów podostatkiem, musiał pan Chorąży do Żytomierza jechać, do Pętlakowskiego.

Staął gospodą w swoim dworku, a że czas był skwarny, w ganku na ławce odpoczywał o mroku. gdy postrzegł nieśmiało, krokiem to przyspieszonym, to bardzo wolnym, zbliżającą się kobietę.

Sądził, że do innego domu szła, więc niewiele zważał na nią, gdy nagle przypadła do ganku, i Wilczek poznał w niej dawną przyjaciółkę Rózieczkę; co go tak zmieszało, że języka w gębie zapomniał.

Już mu ona całkiem z głowy była wyszła, ale stare grzechy, choćby człowiek żałował za nie, nie łatwo go puszczają.

Rózieczka płacziwym głosem, niezmiernie czule, poczęła rozwodzić żale nad losem swoim, jakby snponowała iż w dawnych stosunkach nic się nie zmieniło i zmienić nie mogło.

Wilczek.



Wilczek stał niemy, zafrasowany, oglądając się tylko, czy uchowaj Boże kto téj schadzki nie widzi, aby o niej ludzie nie gadali.

Rózieczka weszła na ganek i usiadła, on stał i na parę kroków się od niej oddalił. Namyslał się jeszcze, gdy jejność poczęła po dawnym.

— Cóżes to jegomość mowę stracił czy co, żeby nawet nie dać mi dobrego słowa, po tylu biedach, którem dla niego wycierpiała?

— Moja mościa dobrodziejko — odezwał się Choraży — mnie bo się widzi, że my już na tym świecie z sobą nic nie mamy do mówienia. Co było, skończyło się dawno, żonę moję kocham, i w żadne się nie myślę wdawać amory inne, bobym i moję duszę zgubił i waćpanią do zguby prowadził.

Kobięta usłyszawszy to w płacz, lament wielki, aż się Wilczek uląkł strasznie — mąż ludzie zobaczą i posłyszają.

— Taka to wdzięczność za to, że mi się poświęcała, że mnie ludzie ogadali, poczęła wykrzykiwać Rózieczka.

Ale na rany Pański! czego asindzka chcesz? Mów! uczynię co można, byles się odczepiła odemnie.

Znowu tedy płacz się począł i szlochanie i jęki, a Wilczkowi ze strachu włosy dębem stawały, tak mu wstyd było.

— Idź asinǳka zkądeś przyszła — odezwał się. tu ludzie podpatrzą. posłyszają i na nią a na mnie wygadywać będą. Chcesz czego odemnie, powiedz gdzie mam szukać, przyjdę sam. dam co mogę. byłem spokojnym był i wstydu nie miał.

Nie rychło jednak, i to z kłopotem uie miałym. potrafił wymóǳ Chorąży na wdowie, iż łzy otarłszy odeszła. żądając aby w zajeździe u Arona odwiedził ją, gdyż musiała widzieć się z nim koniecznie.

Chorąży, gdy odeszła. siedział z godzinę. przyjść nie mogąc do siebie. Tego dnia ani mógł ni chciał szukać wdowy — wybrał się nazajutrz około południa.

Zastał ją nad potrzebę strojną i nad miarę czułą. Poczęła tedy mu przypominać dawne czasy, nżalać się nad niestałością serca męskiego i t. p. Wysłuchawszy tego Chorąży, zagadnął tylko, czém służyć jój może. bo co się tycze serca, te żonie i dzieciom było oddane całe, rozerwać go uie mógł.

Znowu polamentowawszy nad losem kobiet nieszczęśliwych, padających zawsze ofiarą zdradliwości rodzaju męskiego, rzekła Rózieczka:

— Cóżem miała czynić nieszczęśliwa sierota. musiałam rada uie rada za Otwinowskiego iść. a i tegoś mi waćpau ubił; com płakała, com łez

wylała, to Pan Bóg tylko policzy... nawet sześć tygodni po nim chodziłam w grubój żałobie.

— No, już ja go jójmości nie wskreszę—odezwał się Chorąży—to darmo...

Kołując długo i wiele mówiąc o losie swym nieszczęśliwym naprzód, potem o sieroctwie, potrzebie ratowania się i t. p., wyznała wdowa, iż miała pretendenta bardzo uczciwego człowieka, szlachcica, Imć Pana Safianowicza, który żenić się z nią był gotów choćby dziś, ale na różne potrzeby weselne i domowe brakło parę tysięcy złotych. I gdyby te miała, pogodziłaby się zresztą z losem swoim.

Parę tysięcy złotych w owych czasach wcale inne miały niż dziś znaczenie. Sumka to była, zwłaszcza na prowincyi, i trudna do dostania i nbogiego człowieka mogąca na nogi postawić. Nie było o nią łatwo a zwłaszcza tak zadłużonemu panu Chorążemu, lecz dla zbycia się tego wspomnienia siły nieczystej, która nad nim panowała, dla świętego spokoju, gotów był i cztery poświęcić.

— Wiesz że co, moja dobrodziejko — rzekł wstając—dam ci te dwa tysiące, choćym u żyda je miał wziąć, a no—niechaj to będą i ostatnie pieniądze i widzenie się ostatnie.

Nie dawszy czasu na pożegnanie czulsze, na które się wdowie zbierało, drapnął natychmiast

Choraży, i Pętłakowskiemu pod kwit jéjmości pieniądze wypłacić kazał. Lękając się zaś podziękowania i nowych odwiedzin. tegoż dnia konie kazał zaprzęgać i na całą noc ruszył do domu.

Jechał zgryziony, gniewny i npokorzony, chociaż—wyznać i to należy, momentami mu biednej kobieciny żal było, ale wnet tę pokusę odpychał.

W Żebrach się go tak prędko nie spodziewano, myślał więc i o tém co powie przed żoną, czy jéj wyzna prawdę całą, czy biedę tę czém inném załata. Zdało mu się niepoczciwém kłamstwo, i gdy pani Jagnieszka wyszła przeciwko niemu zdziwiona. pytając co się stało. iż prędziej go widzi niż się obiecywał, pocałowawszy ją w czoło. z żołnierską otwartością ze wszystkiego się jéj wyspowiadał.

— Widzisz tedy, dobrodziejko ty moja — dodał w końcu, primo że dla ciebie, klejnocie mój drogi, sekretów mieć nie chcę, że poczciwie chcę żyć i miłuję cię tak jako więcej i goręcej nie można. Jagnieszka się uśmiechnęła i, co osobliwa rzecz w niewieście, nigdy potem mężowi ani wypomniała, ani wymówiła owo utrapienie, którego się on sam wstydził.

Rózieczka wyszła tedy za męża, za pana Saffianowicza, i więcej o niej słyhać nie było.

Żyli państwo Wilczkowie w najlepszej zgodzie lat trzy jeszcze. Chorąży zdrów był i zawsze się myśliwstwem zabawiać lubił, bo kto w niém raz zasmakował, nie łatwo rzuca. Ostatniej zimy, długo stojąc w mroźny dzień na stanowisku, gdy wilcy z kniei powychodzili, rozgniewało go to tak, że się zburzył mocno, żółć się w nim poruszyła, i zaraz po łowach w łóżko się musiał położyć. Posłano po doktora, zalewano go miksturami, pilnowała żona, robił fizyk co umiał, ale gorączka wzięła górę i Chorąży opatrzonzy Sakramentami, panu Bogu ducha oddał.

Owdowiała pani Jagnieszka jak przykładnie dzieci wychowywała, majątkiem zarządzała, jak piękne wiodła życie w tym stanie, ci co ją znali wychwalić nie mogą. Lecz Bóg ją widzieć przeznaczył na to, aby wszelkimi boleściami była wypróbowaną. Dorośli już synowie, gdy się z nich pociechy spodziewać mogła, jeden ospy dostawszy zmarł, drugi kąpiąc się w Ślęczy utonął.

Pozostała sama jedna na świecie z cieniami umarłych, znosząc bez szemrania cios, który ją dotknął. Wzięła na wychowanie jedną z córeczek Borkowej, i tę wyposażywszy, przy niej potem światobliwego życia spędziła ostatki. Ci co pamiętają Chorążynę w starości, mówią, iż do najpóźniejszych dni mało co zmieniona, czynna zawsze, wyprostowana, z twarzą bladą, której wiek

i smutek surowy wyraz nadawały, była jakby chodzącym posągiem, powagi pełnym. Ani uśmiechu na jej ustach, ani łzy na oku nie widywano—skamieniała się zdawała. A choć krzątała się wielce, nigdy chwili nie mogąc wytrwać bez roboty, rzadko nawet odezwała się słowem do ludzi. Żyła tak sama w sobie. i jakby cudem przewidziawszy swój zgon, przygotowywał się do niego. usnęła spokojnie, pobłogosławiwszy wszystkich z wieczoru...



Malinowski Ant.

Adam.

Myr

O

O

P

P

S

S

Biblioteka Raczyńskich

JIK 439



JIK0439